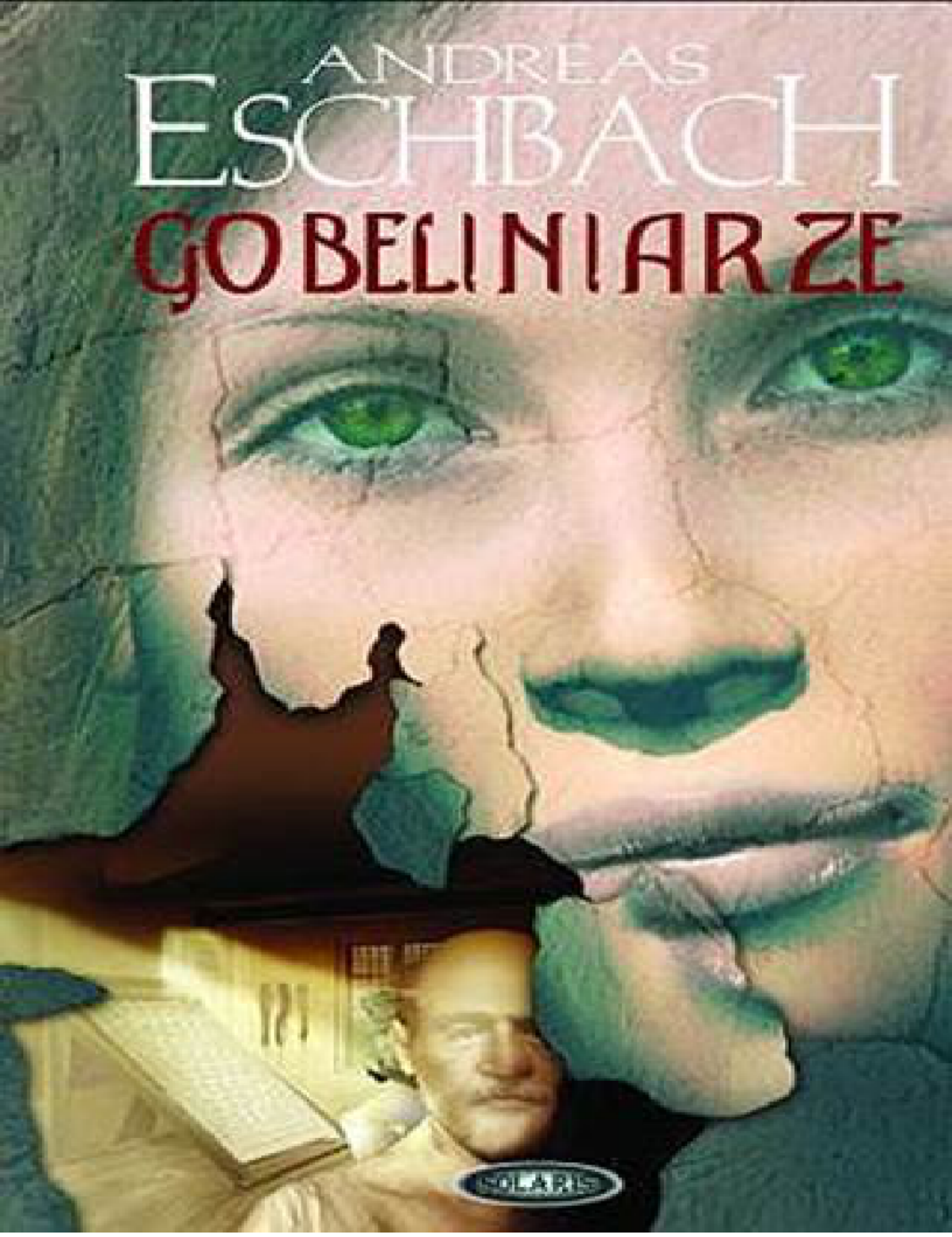
ANDREAS
ESCHBACH
GOBELINIARZE
SOLARIS

SHOUT
SHARE
IT

Annotation

Powieść zyskała już w Polsce znakomite recenzje, w plebiscycie SFINKSa znalazła się na drugim miejscu w kategorii "najlepsza powieść zagraniczna 2004 roku".

Świeża, oryginalna powieść science fiction, rozpoczynająca się w stylu mrocznej fantasy, a kończąca jak klasyczna space opera.

W odległej galaktyce, na wszystkich zasiedlonych światach cała gospodarka podporządkowana jest tkaniu wielkich gobelinów z… włosów kobiet. Gobeliny są wywożone milionami przez statki kosmiczne cesarza.

Tymczasem pewnego razu przybywa na planetę zwiadowca nowego rządu, z informacją, że imperator został obalony. Tymczasem gobeliny nadal są wysyłane w nieznanym kierunku. Co się kryje za tą tajemnicą?

- Andreas Eschbach
  -
  - Gobeliniarze
  - Handlarze kobierców
  - Kaznodzieja
  - Utracony gobelin
  - Wędrowna handlarka
  - Przybysz z daleka
  - Poborca podatków
  - Złodzieje gobelinów
  - Palce flecisty
  - Cesarski archiwista
  - Jubad
  - Cesarz i rebeliant
  - Jeszcze cię kiedyś zobaczę
  - Pałac łez
  - Gdy znów ujrzymy gwiazdy
  - Powrót
  - A jego zemsta trwa wieki
  - Epilog
  - Andreas Eschbach

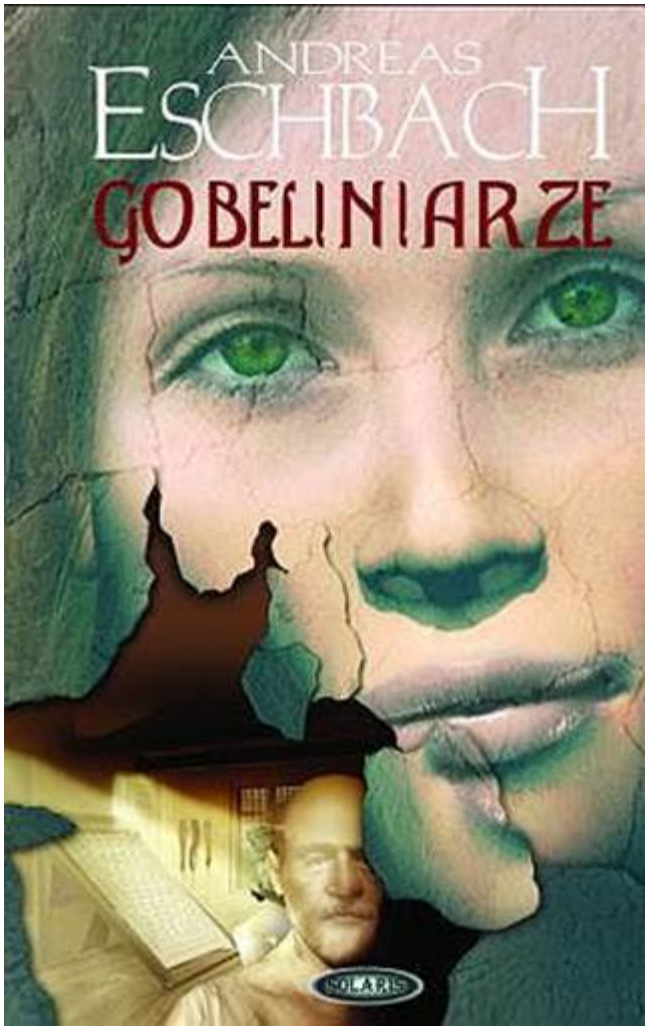
ANDREAS
ESCHBACH
GOBELINIARZE
SOLARIS

Andreas Eschbach

Gobeliniarze

Przełożyła Joanna Filipek
Tytuł oryginału: Die Haarteppichknupfer
Data wydania: 1995
Wydanie polskie Data wydania: 2003

Dies ist die Geschichte der Haarteppichknüpfer. Ich kann Ihnen nicht versprechen, daß Sie sie mögen werden. Ich kann Ihnen nicht einmal versprechen, daß sie Ihnen gefallen wird.

Versprechen kann ich Ihnen nur eines: Sie werden sie niemals wieder vergessen.

Andreas Eschbach

Oto historia tkaczy włosianych kobierców. Nie mogę obiecać Wam, że ją polubicie. Nie mogę nawet obiecać, że się Wam spodoba.

Obiecać mogę tylko jedno: nie zapomnicie jej już nigdy.

Gobeliniarze

Supeł po suple, dzień po dniu, przez całe życie, ciągle te same ruchy dłoni, stale takie same supły na delikatnych włosach, tak cieniutkie i drobniutkie, że z czasem palce poczęły drżeć, a oczy od stałego wytężania wzroku utraciły dawną ostrość widzenia – mimo to postępy były prawie niezauważalne; nawet, jeżeli miał dobry dzień i tak od świtu do zmierzchu udawało mu się wydłużyć włosiany kobierzec najwyżej o kawałek długości jednego paznokcia. Ślęczał więc nad skrzypiącą ramą, przy której siedział jeszcze jego ojciec, a wcześniej ojciec jego ojca, tak samo pochylony, przy oku stary, na poły zmętniały okular, ramiona wsparte na wytartym pulpicie, prowadził igłę samymi tylko koniuszkami palców. I tak wiązał supeł za supłem, metodą przekazywaną od pokoleń, aż wchodził w trans, w którym nareszcie było mu dobrze; znikał ból pleców i nie czuł już w kościach starości. Nasłuchiwał różnorodnych odgłosów domu zbudowanego przez dziadka jego pradziadka – wiatru, zawsze tak samo świszczącego nad dachem i wpadającego w otwarte okna, brzęku naczyń oraz rozmów jego żon i córek na dole w kuchni. Znał dobrze każdy z tych dźwięków. Rozróżniał głos akuszerki, od kilku dni mieszkającej w ich domu, gdyż Garliada, jego druga żona, czekała na rozwiązanie. Słyszał, jak zabrzęczał cicho dzwonek, potem drzwi otwarły się i szmer rozmów zabarwił się podnieceniem. Prawdopodobnie zjawiła się oczekiwana dziś handlarka, mająca przynieść artykuły spożywcze, tkaniny i różne inne rzeczy.

Potem schody zaskrzypiały pod ciężkimi krokami. To z pewnością jedna z żon, przynosi mu obiad. Na dole zaproszą teraz handlarkę do stołu, by dowiedzieć się najnowszych plotek i pozwolić wcisnąć sobie jakąś tandetę. Westchnął, dociągnął supeł, nad którym akurat pracował, odłożył soczewkę powiększającą i odwrócił się. To była Garliada, stała tam ze swoim olbrzymim brzuchem, trzymała w dłoniach parujący talerz i czekała, aż on niecierpliwym ruchem ręki przywoła ją bliżej.

– Co też sobie myślą te kobiety, żebyś ty, w twoim stanie, musiała pracować? – burknął. – Chcesz urodzić moją córkę na schodach?

– Czuję się dziś zupełnie dobrze, Ostvanie – odpowiedziała Garliada.

– Gdzie jest mój syn?

Ociągała się.

– Nie wiem.

– Sam się mogę domyślić! – parsknął Ostvan. – W mieście! W tej szkole! Żeby czytać książki, aż oczy go rozbolą i żeby nabijać sobie głowę bzdurami.

– Chciał naprawić ogrzewanie i powiedział, że musi wyjść kupić jakąś część.

Ostvan podniósł się ze swojego stołka i wyjął z jej rąk talerz.

– Przeklinam dzień, w którym zgodziłem się, żeby chodził do tej szkoły w mieście. Czy przedtem Bóg mi nie sprzyjał? Czyż nie podarował mi pięciu córek i dopiero potem syna, bym nie musiał uśmiercić żadnego dziecka? A czy włosy moich żon i córek nie mają tylu barw, że nie potrzebuję ich farbować i mogę tkać kobierzec godzien samego cesarza? Dlaczego coś musi przeszkadzać, bym wychował syna na dobrego gobeliniarza i zajął kiedyś swe miejsce przy Bogu, bym mógł pomagać mu w tkaniu wielkiego kobierca życia?

– Nie próbuj wadzić się z losem, Ostvanie.

– Jak nie spierać się z takim synem? Dobrze wiem, dlaczego to nie jego matka przynosi mi jedzenie.

– Mam poprosić cię o pieniądze dla handlarki – powiedziała Garliada.

– Pieniądze! Ciągle tylko pieniądze! – Ostvan postawił talerz na okiennym parapecie i poczłapał do skrzyni ze stalowymi okuciami, ozdobionej zdjęciem kobierca utkanego przez jego ojca. Leżały w niej pieniądze, które pozostały jeszcze po sprzedaży tamtego dywanu, popakowane w oddzielne pudełeczka, oznaczone numerami kolejnych lat. Wyjął jedną monetę. – Weź. Ale nie zapominaj, że to w skrzyni musi nam starczyć do końca życia.

– Tak, Ostvanie.

– A kiedy wróci Abron, przyślijcie go zaraz do mnie.

– Tak, Ostvanie – odeszła.

Cóż to było za życie, nic, tylko troski i zmartwienia! Ostvan przyciągnął krzesło do okna i zasiadł do jedzenia. Jego spojrzenie zagubiło się w skalistym, nieurodzajnym pustkowiu. Dawniej zdarzało się czasem, że wychodził poszukać pewnych minerałów potrzebnych do tajemnych receptur. Kilka razy był też w mieście, by kupić chemikalia albo narzędzia. Ale pewnie już nigdy więcej nie wyjdzie. Nie był młody; niedługo ukończy swój dywan, wtedy będzie już pora pomyśleć o umieraniu.

Później, po południu, jego pracę przerwał dźwięk pośpiesznych kroków na schodach. To był Abron.

– Chciałeś ze mną rozmawiać, ojcze?

– Byłeś w mieście?

– Kupiłem wkład do pieca.

– W piwnicy są przecież wkłady, starczy jeszcze dla kilku pokoleń.

– Nie wiedziałem.

– Mogłeś mnie zapytać. Ale dla ciebie dobry jest każdy pretekst, żeby wyjść do miasta.

Abron podszedł bliżej, nie wzywany.

– Wiem, nie podoba ci się, że jestem tak często w mieście i czytam książki. Ale nie potrafię inaczej, ojcze, to jest takie interesujące… jest tyle rzeczy wartych poznania – ludzie żyją na tyle sposobów…

– Nie chcę tego słuchać. Dla ciebie istnieje tylko jeden sposób na życie. Nauczyłem cię tego, co musi wiedzieć gobeliniarz, i to ma ci wystarczyć. Umiesz wiązać wszystkie rodzaje supłów, jesteś wtajemniczony w impregnację i techniki farbowania, znasz wzory przekazane nam przez tradycję. Kiedy zaprojektujesz swój kobierzec, weźmiesz sobie żonę i będziecie mieć wiele córek, a każda o włosach innej barwy. W dzień twego ślubu odetnę mój dywan od ramy, zapakuję i podaruję ci, a ty sprzedasz go w mieście cesarskiemu handlarzowi. Tak uczyniłem z dywanem mego ojca i tak on postąpił wcześniej z dywanem swego, a ten przedtem z dywanem swojego ojca, mojego pradziadka; tak dzieje się z pokolenia na pokolenie, od tysięcy lat. I jak ja zaciągnięty przeze mnie dług spłacam tobie, tak ty swój spłacisz synowi, a on znów swojemu, i tak dalej. Tak było zawsze i nie zmieni się nigdy.

Abron westchnął ciężko.

– Tak, z pewnością, ojcze, ale to wszystko mnie nie cieszy. Wcale nie mam ochoty zostać gobeliniarzem.

– Ja jestem gobeliniarzem i dlatego ty też nim będziesz! – Ostvan podenerwowanym gestem wskazał na niedokończony dywan na ramie. – Przez całe życie tkam ten kobierzec, całe moje życie, i z pieniędzy, które za niego dostaniesz, będziesz korzystał przez całe twoje życie. Masz względem mnie dług, Abronie, i żądam, żebyś spłacił go swemu synowi. Daj Bóg, żeby nie przysparzał ci tylu trosk, co ty mnie!

Abron nie odważył się spojrzeć na ojca, gdy odpowiadał:

– W mieście słychać plotki o rebelii i rychłej abdykacji cesarza… Kto będzie płacił za kobierce, gdy już nie będzie cesarza?

– Szybciej zgaśnie ostatnia z gwiazd, niż przyblaknie sława cesarza! – zagrzmiał Ostvan. – Czy nie uczyłem cię tego przysłowia już wtedy, gdy jeszcze ledwo potrafiłeś siedzieć obok mnie przy ramie tkackiej? Czy sądzisz, że ktoś może po prostu zjawić się i obalić porządek, ustanowiony przez Boga?

– Nie, ojcze – wybąkał Abron. – Oczywiście, że nie.

Ostvan przyjrzał mu się.

– Idź teraz i pracuj nad projektem twojego kobierca.

– Tak, ojcze.

Późnym wieczorem Garliada poczuła pierwsze bóle. Kobiety towarzyszyły jej do przygotowanego wcześniej pokoju porodowego; Ostvan i Abron zostali w kuchni.

Ostvan przyniósł dwa kubki i butelkę wina, pili w milczeniu.

Czasem słyszeli dobiegające z pokoju porodowego jęki albo krzyki Garliady, rozdzielane przeciągającymi się okresami, w których nic się nie działo. To miała być długa noc.

Gdy ojciec przyniósł drugą butelkę wina, Abron spytał:

– A co będzie, jeśli to chłopiec?

– Wiesz tak samo dobrze, jak ja – odparł Ostvan stłumionym głosem.

– Co wtedy zrobisz?

– Od niepamiętnych czasów obowiązuje prawo, że gobeliniarz może mieć tylko jednego syna, gdyż jeden kobierzec starczy na wyżywienie tylko jednej rodziny. – Ostvan wskazał na stary, pokryty plamami miecz, wiszący na ścianie. – Tym mieczem twój dziadek uśmiercił dwu moich braci w dniu ich narodzin.

Abron milczał.

– Powiedziałeś, że to Bóg ustanowił ten porządek, wybuchnął w końcu. – To musi być bardzo okrutny Bóg, nie sądzisz?

– Abronie! – zagrzmiał Ostvan.

– Nie chcę mieć do czynienia z twoim Bogiem! – krzyknął Abron i wypadł z kuchni.

– Abronie! Zostań tutaj!

Ale Abron wbiegł po schodach do sypialni i już nie wrócił.

I tak Ostvan czekał w samotności, nie pił jednak więcej. Godziny mijały, a jego myśli coraz bardziej posępniały. W końcu w krzyki rodzącej wmieszał się pierwszy płacz dziecka, Ostvan usłyszał, jak kobiety rozpaczają i szlochają. Wstał ociężale, jakby każdy ruch sprawiał mu ból, zdjął ze ściany miecz i położył go na stole. Potem stał i przygnębiony czekał cierpliwie, aż akuszerka wyszła z pokoju porodowego, niosąc w ramionach noworodka.

– To chłopiec – powiedziała opanowanym głosem. – Czy zabijecie go, panie?

Ostvan spojrzał na różowawą, pomarszczoną twarzyczkę dziecka.

– Nie – odrzekł. – Będzie żył. Chcę, by na imię mu było Ostvan. Tak jak mi. Nauczę go rzemiosła gobeliniarza, a jeśli nie będę żył dostatecznie długo, kto inny dokończy jego wykształcenia. Zanieś go z powrotem do matki i powtórz jej, co ci powiedziałem.

– Tak, panie – powiedziała akuszerka i wyniosła dziecko.

A Ostvan wziął ze stołu miecz, poszedł z nim do sypialni i zabił Abrona.

Handlarze kobierców

Yahannochia przygotowywała się do dorocznej wizyty handlarza włosianych kobierców. Była ona jak przebudzenie dla miasta, przez pozostałą część roku drzemiącego w bezruchu pod palącymi promieniami słońca. Pierwszymi zwiastunami odmiany były girlandy, tu i ówdzie pojawiające się pod niskimi stropami oraz ubogie wiązanki kwiatów, którymi próbowano zakryć plamy na ścianach domów. Z dnia na dzień przybywało coraz więcej kolorowych chorągiewek łopoczących na wietrze, jak zwykle wiejącym nad dachami, a zapachy, dobywające się z garnków w ciemnych kuchniach, zalegały ciężko w wąskich uliczkach. Wszystko po to, by przygotować się do Wielkiego Święta. Kobiety godzinami szczotkowały włosy swoje i swych dorastających córek. Mężczyźni nareszcie połatali buty. Fałszywie brzmiące tony ćwiczących fanfary trębaczy mieszały się z wszechobecnym szmerem podnieconych głosów. Dzieci, zwykle bawiące się cicho i smętnie po zaułkach, dziś z krzykiem biegały wokół, ubrane w swe najlepsze ubrania. Panowało barwne ożywienie, święto zmysłów, gorączkowe oczekiwanie Wielkiego Dnia.

Aż wreszcie nadszedł czas. Jeźdźcy, wysłani na zwiady, powrócili, trąbiąc pomykali uliczkami i ogłaszali:

– Handlarz nadjeżdża!

– Który? – wyrwało się z tysięcy krtani.

– Na wozach są barwy handlarza Moarkana – odpowiadali zwiadowcy, cięli ostrogami i galopowali dalej. A imię handlarza podawano dalej, krążyło ono po domach i chatach, i każdy miał o nim coś do powiedzenia. – Moarkan! – Przypominano sobie, kiedy był ostatnio w Yahannochii i jakie wówczas można było u niego kupić towary z dalekich miast. – Moarkan! – Dociekano, skąd handlarz przyjeżdża, z jakich miast przywozi wieści lub może nawet listy. – Nadjeżdża Moarkan…!

Lecz musiały minąć jeszcze całe dwa dni, nim potężny orszak handlarza dotarł do miasta.

Najpierw pojawiła się piechota, żołnierze maszerujący przed karawaną wozów. Z daleka wyglądali jak jedna ogromna gąsienica porośnięta błyszczącymi kolcami, pełznąca wzdłuż drogi do Yahannochii. Gdy zbliżyli się, można było rozróżnić mężczyzn w skórzanym rynsztunku, dzierżących skierowane ku niebu oszczepy, których nagie ostrza połyskiwały, odbijając słoneczny blask. Kroczyli ciężko, na twarzach skorupa zmieszanego z potem kurzu, spojrzenie nieobecne i otępiałe z wyczerpania. Na plecach wszyscy nosili barwy handlarza, jak wypalone znaki.

Za nimi postępowali jezdni. Na prychających, z trudem

kiełznanych koniach, nadjeżdżali drogą, uzbrojeni w miecze, topory, ciężkie bicze i noże. Niektórzy z dumą przypasali stare, okopcone miotacze promieni, a wszyscy butnie spoglądali w dół na mieszkańców miasta, stojących szpalerem wzdłuż drogi. Uchowaj Boże, by ktoś zanadto zbliżył się do orszaku! Natychmiast spadały na niego bicze; jeźdźcy z trzaskiem torowali szeroką aleję wśród gapiów, by zapewnić przejazd sunącym za nimi wozom.

Wozy były ciągnięte przez wielkie, kudłate bawoły rasy baraq, których splątana sierść cuchnęła tak, jak mogą cuchnąć tylko te bawoły. Nadjeżdżały skrzypiąc, trzeszcząc i kołysząc się; ich kanciaste, okute żelazem koła mozolnie mełły suche koleiny. Wiadomo było wszystkim, że wozy wyładowane są kosztownościami pochodzącymi z odległych ziem, aż po dach upchnięto w nich worki pełne rzadkich przypraw, zwoje delikatnych tkanin, beczki drogich smakołyków, ładunki szlachetnych gatunków drewna i szkatuły, wypełnione po brzegi niezliczonymi szlachetnymi kamieniami. Na kozłach nieruchomo siedzieli toczący wokół wściekłym wzrokiem furmani, popędzali kroczące obojętnie i ciężko bawoły, aby te, nienawykłe do panującego wokół zamętu, nie zatrzymały się.

Nadjeżdżał wspaniale zdobiony, ciągnięty przez szesnaście bawołów wielki wóz mieszkalny handlarza i jego rodziny. Każdy wyciągał szyję w nadziei, że choć na moment ujrzy samego Moarkana, lecz ten się nie pokazał. Okna były zasłonięte i tylko na koźle siedziało dwóch osowiałych furmanów.

Wreszcie na końcu jechał wóz z kobiercami. Przez zgromadzony na poboczu tłum przeleciał szmer. Naliczono nie mniej niż osiemdziesiąt dwa bawoły zaprzęgnięte do tego stalowego kolosa. Jego pancerna skrzynia nie miała nawet najmniejszego okienka, ni szczeliny, zaledwie jedne jedyne wąskie drzwi, do których klucz miał tylko i wyłącznie handlarz. Potężnie trzeszcząc, osiem szerokich kół ważącego tonę giganta grzęzło głęboko w podłożu, a furman musiał stale spuszczać bat na futro bawołów, by te posuwały się naprzód. Wóz jechał w eskorcie jezdnych, żołnierzy, nieufnie toczących wokół badawczym spojrzeniem, jakby obawiali się, że w każdej chwili mogą zostać napadnięci i obrabowani. Powszechnie wiadomo było, że w tym wozie wieziono kobierce z kobiecych włosów, zakupione przez handlarza podczas tej wyprawy kupieckiej oraz pieniądze na kupno następnych, niezmiernie dużo pieniędzy.

Dalej sunęły inne wozy: wozy mieszkalne wyższego personelu handlarza, wozy z zaopatrzeniem dla żołnierzy i wozy do transportu namiotów i innego sprzętu, niezbędnego w tak wielkiej karawanie. Za orszakiem biegły dzieci z miasta, krzyczały, gwizdały i wołały pełne zachwytu nad podniecającym widowiskiem.

Wśród dźwięków fanfar karawana wtoczyła się na wielki plac

targowy. Flagi i sztandary łopotały na wysokich masztach, a miejscy rzemieślnicy doglądali swych stoisk ustawionych w kącie wielkiego rynku. Wystawili na nich na sprzedaż swe wyroby w nadziei na dobry interes z przekupniami z orszaku handlarza. Gdy wozy karawany handlarza zatrzymały się, kupcy z jego orszaku bez zwłoki rozpoczęli budowę swoich stoisk i straganów. Plac ponownie rozbrzmiał mieszaniną głosów, słychać było okrzyki i śmiechy, stuk narzędzi i pobrzękiwanie rurek rusztowań. Mieszkańcy Yahannochii tłoczyli się nieśmiało na uboczu, zaś jezdni handlarza przeciskali się na swoich dumnych rumakach przez ożywiony rozgardiasz na placu – gdy ktoś z miejscowych wydał im się nadto wścibski, grozili mu, kładąc dłoń na przypasanym biczu.

Pojawiła się miejska starszyzna, nadeszli odziani w swe najlepsze stroje, eskortowani przez gwardię miejską. Ludzie ze świty handlarza rozsunęli się, tworząc ścieżkę, którą starsi miasta kroczyli w kierunku wozu Moarkana. Tam cierpliwie czekali, aż otwarto od środka małe okienko, przez które wyjrzał handlarz. Zamienił kilka słów z dostojnikami, po czym skinął na jednego ze swych podwładnych.

Herold handlarza zwinnie jak jaszczurka wspiął się na dach wozu handlarza, stanął tam na szeroko rozstawionych nogach i rozrzucając szeroko ramiona, zawołał:

– Yahannochio! Ogłaszam otwarcie targowiska!

– Od pewnego czasu dochodzą nas zadziwiające pogłoski o cesarzu – powiedział jeden ze starszyzny do Moarkana, gdy wokół trwała hałaśliwa ceremonia otwarcia targowiska. – Czy może wiadomo wam coś bliższego na ten temat?

Chytre oczy Moarkana zwęziły się.

– O jakich pogłoskach mówicie, panie?

– Chodzi mi o pogłoskę, że cesarz abdykował.

– Cesarz? Czy cesarz może abdykować? Czy słońce mogłoby bez niego świecić? Czyż nie zgasłyby gwiazdy na nocnym niebie, gdyby zabrakło cesarza? – Handlarz potrząsnął swą obrosłą sadłem głową. – I dlaczego cesarscy przewoźnicy kupują ode mnie włosiane kobierce, jak od niepamiętnych czasów? Ja także słyszałem te pogłoski, ale nic o tym wszystkim nie wiem.

Na dużej, przystrojonej scenie poczyniono tymczasem ostatnie przygotowania do rytuału będącego właściwym celem przyjazdu handlarza: rytuału przekazania włosianych kobierców.

– Obywatele Yahannochii, przybądźcie i zobaczcie! – wołał mistrz ceremonii, białobrody człowiek potężnej postury, odziany w brąz, czerń, czerwień i złoto, barwy cechu tkaczy włosianych kobierców. A ludzie przerwali swoje zajęcia i rozmowy, zwrócili wzrok na scenę i powoli zbliżyli się.

Tego roku trzynastu tkaczy ukończyło kobierce i teraz miało

podarować je swoim synom. Dywany zamocowano na wielkich statywach, wisiały tam przysłonięte szarymi chustami. Dwunastu tkaczy stawiło się osobiście, starzy, przygarbieni mężczyźni, z trudem trzymający się na nogach i mrugający wokół swymi na pół oślepłymi oczami. Ostatni z tkaczy już nie żył, reprezentował go młodszy członek cechu. Po drugiej stronie sceny stali synowie starych rzemieślników, trzynastu młodych mężczyzn.

– Obywatele Yahannochii, skierujcie swoje spojrzenie na te kobierce z kobiecych włosów, które staną się ozdobą cesarskiego pałacu! – Jak co roku, gdy na te słowa tkacze odkryli dywany, dzieła całego swego życia, przez tłum przebiegł pełen podziwu szmer.

Lecz tym razem w zgodny akord głosów wmieszała się nuta powątpiewania.

– Czyż nie mówiono, że cesarz abdykował? – pytał co poniektóry.

Fotograf, przybyły w orszaku handlarza, wszedł na scenę i oferował swoje usługi. Jak każe tradycja, sfotografowano osobno każdy kobierzec, każdy ze starych tkaczy wziął drżącymi palcami zdjęcie, wykonane przez fotografa jego wiekowym, odrapanym aparatem.

Potem mistrz ceremonii rozpostarł ręce szerokim, uciszającym gestem, zamknął oczy i czekał, aż cisza zapanuje na wielkim placu. Wszyscy zamarli i jak urzeczeni śledzili wydarzenia na scenie. Zamilkły wszystkie rozmowy, rzemieślnicy przy stoiskach odłożyli narzędzia i przyrządy, każdy zatrzymał się tam, gdzie akurat stał, zapanował taki spokój, że słychać było nawet szelest ubrań i szum wiatru wiejącego nad dachami wysokich domów.

– Składamy dzięki cesarzowi za wszystko, co posiadamy i za wszystko, czym jesteśmy – mistrz ceremonii uroczyście wyrecytował tradycyjną formułę. – Niesiemy dzieło naszego życia w dziękczynnym darze temu, który darował nam życie, bez którego bylibyśmy niczym. Każdy świat imperium składa daninę dla przyozdobienia cesarskiego pałacu, tak i nas uszczęśliwiono tym zaszczytem, pozwalając uradować oko cesarza naszą sztuką. Ten, który stworzył najjaśniejsze gwiazdy na niebie i ciemność między nimi, wyświadcza nam łaskę, stawiając swą stopę na dziełach naszych rąk. Niech będzie uwielbiony teraz i po wszystkie czasy.

– Niech będzie uwielbiony – zaszemrali ludzie zgromadzeni na wielkim placu i skłonili głowy. Na znak mistrza ceremonii uderzono w gong.

– Nastała godzina – zawołał, zwrócony do młodych mężczyzn. – Godzina odnowy wiecznego testamentu tkaczy włosianych kobierców. Każde pokolenie ma dług względem poprzedniego i spłaca go własnym dzieciom. Czy pragniecie dotrzymać zobowiązań tego testamentu?

– Pragniemy – odpowiedzieli chórem synowie.

– Otrzymacie więc dzieło rąk waszych ojców i zaciągniecie wobec nich dług – mistrz ceremonii dokończył formuły i dał sygnał do drugiego uderzenia w gong.

Starzy gobeliniarze wyciągnęli przed siebie noże, by ostrożnie przeciąć taśmy mocujące ich kobierce do ram. Odcięcie dywanu od ramy było aktem symbolicznym – oznaczało dokończenie życiowego dzieła. Jeden po drugim synowie podchodzili do ojców, którzy ostrożnie zwijali swoje gobeliny i wkładali je w ręce synów, niejeden ze łzami w oczach.

Gdy został przekazany ostatni kobierzec, rozległy się oklaski, zaczęła grać muzyka i jakby pękła tama, na nowo rozbrzmiał głośny rwetes targowiska, na którym zapanował teraz prawdziwie świąteczny nastrój.

Dirilja, piękna córka handlarza, ze swego okna przyglądała się rytuałowi przekazania kobierców i gdy rozbrzmiała muzyka, w jej oczach także pojawiły się łzy, lecz były to łzy bólu. Szlochając, oparła głowę o szybę i kurczowo wczepiła palce w długie, jasne, rudawe włosy.

Moarkan, zajęty przed lustrem układaniem fałd swojej wspaniałej błyszczącej peleryny, parsknął ze złością.

– Minęły już ponad trzy lata, Diriljo! Znalazł pewnie inną i nic tu nie pomogą nawet wszystkie łzy świata.

– Ale obiecał, że będzie na mnie czekał! – szlochała dziewczyna.

– Ba, łatwo się to mówi, gdy jest się zakochanym – odpowiedział handlarz. – I łatwo się o tym zapomina. Młody mężczyzna o gorącej krwi obiecuje to co trzy dni innej.

– Nieprawda. Nigdy w to nie uwierzę. Przysięgliśmy sobie wieczną miłość aż do śmierci i była to święta przysięga. Tak święta, jak przymierze unii światów.

Moarkan przez chwilę w milczeniu przyglądał się córce, po czym z westchnieniem potrząsnął głową.

– Przecież prawie go nie znałaś, Diriljo. Uwierz mi, jeszcze będziesz zadowolona, że tak się to skończyło. Co by cię czekało jako żonę tkacza włosianych kobierców? Zawsze, gdy chciałabyś się uczesać, stałby za tobą i zdejmował ze szczotki każdy twój włos. Musiałabyś dzielić go z dwoma albo trzema kobietami, a może byłoby ich jeszcze więcej. Jeśli urodziłabyś mu dziecko, zawsze obawiałabyś się, że ci je zabiorą. Jeżeli wyjdziesz za Buratiego…

– Nie zostanę żoną grubego, tłustego handlarza, nawet, gdyby miał zapłacić za mnie kobiercami ważącymi tyle, co ja sama! – krzyknęła ze złością Dirilja.

– Jak chcesz – odpowiedział Moarkan. Obrócił się z powrotem do lustra i założył ciężki, srebrny łańcuch, symbol swego stanu. – Teraz muszę iść. – Otwarł drzwi, do środka wdarł się gwar targowiska. –

Zresztą – dodał, wychodząc – wygląda na to, że los jest po mojej stronie – cesarzowi niech będą dzięki!

W towarzystwie starszego cechu gobeliniarzy, handlarz wkroczył na scenę, by oszacować wartość kobierców i dokonać zakupu. Moarkan dostojnie zbliżył się do pierwszego dziedzica i kazał pokazać sobie dywan, mięsistymi palcami sprawdził grubość supłów i dokładnie obejrzał wzór, nim zaproponował cenę. Muzyka nieprzerwanie grała dalej; ewentualni gapie mogli tylko obserwować czynności handlarza i reakcje tkaczy na jego ofertę. Wszystko, co mówili, ginęło bezpowrotnie wśród panującego na targowisku tumultu.

Młodzi mężczyźni przeważnie przytakiwali tylko z opanowanym wyrazem pobladłych twarzy. Wtedy handlarz kiwnięciem dłoni przywoływał czekającego w odległości kilku kroków pracownika i udzielał mu krótkich wskazówek. Ten z pomocą kilku żołnierzy troszczył się o dalszy przebieg transakcji – dostarczenie i przeliczenie pieniędzy, transport włosianego kobierca do wozu pancernego – Moarkan tymczasem przechodził do następnego dywanu.

Mistrz cechu interweniował, gdy cena wymieniona przez handlarza wydawała mu się bezzasadnie niska. Czasem dochodziło z tego powodu do ożywionych dyskusji, jednak Moarkan był na mocniejszej pozycji. Tkacze kobierców mogli tylko wybierać między przyjęciem jego warunków lub czekaniem cały kolejny rok, z nadzieją, że następny handlarz zaproponuje im lepszą cenę.

Jeden ze starych gobeliniarzy upadł nagle, gdy Moarkan wymienił cenę i umarł kilka chwil później. Handlarz poczekał, aż ciało zostanie zabrane ze sceny i niewzruszony kontynuował wyceny. Tłum niemal nie zauważył tego zajścia. Podobne wypadki zdarzały się prawie każdego roku, a wśród tkaczy uważano taką śmierć za szczególnie zaszczytną. Nawet muzyka nie przestała grać.

Dirilja otwarła jedno z okien po stronie wozu przeciwnej niż scena i wystawiła przez nie głowę. Jej piękne długie włosy zwracały uwagę i za każdym razem, gdy zauważyła, że ktoś zerka w jej stronę, kiwała na niego i pytała:

– Czy znacie Abrona?

Większości imię to z niczym się nie kojarzyło, ale niektórzy go znali.

– Abron? Syn tkacza kobierców, czyż nie?

– Tak, znacie go?

– Kiedyś bywał tu często w szkole, ale mówiono, że jego ojciec był temu przeciwny.

– A teraz? Co robi teraz?

– Nie wiem. Już od dawna nikt go nie widział, od bardzo dawna…

To było dla Dirilji jak cios w samo serce, lecz gdy nareszcie trafiła na starą kobietę, która znała Abrona, przemogła się i zapytała:

– Czy nie mówiono, że ożenił się?

– Ożenił? Abron? Nie… – powiedziała stara kobieta. – To musiałoby odbyć się przecież podczas święta w zeszłym roku albo w jeszcze poprzednim, a o tym wiedziałabym na pewno, bo trzeba wam wiedzieć, że mieszkam tutaj, zaraz przy rynku, w małym pokoju na strychu tego domu, tam po drugiej stronie…

Tymczasem rozpoczęły się przygotowania do zalotów. Gdy skończono sprzedawać ostatnie kobierce, zbliżyli się ojcowie, prowadząc swe córki dorosłe do wieku odpowiedniego do zamęścia i stanęli z nimi na skraju sceny, kiedy zaś handlarz ze starszym cechu opuścili scenę, kapela zmieniła nutę na skoczne taneczne melodie. Dziewczęta wykonując wabiące ruchy, powoli zbliżały się w tańcu do młodych tkaczy, stojących pośrodku sceny ze szkatułami pełnymi pieniędzy i z zakłopotaniem obserwujących odgrywane przed nimi widowisko.

Teraz mieszczanie stłoczyli się ciaśniej wokół sceny i klaskali zachęcająco. Spódnice dziewcząt wirowały w tańcu, a one same kręciły głowami, aż ich włosy fruwały w powietrzu i w świetle zachodzącego słońca wyglądały jak kolorowe płomienie błędnych ogników. Tańcząc, zbliżały się do upatrzonych młodych mężczyzn, przelotnie dotykały ich piersi lub policzków i odskakiwały z powrotem, wabiły i podniecały, śmiały się i przewracały oczyma, czasem nawet unosiły spódnicę nad kolano lub szybkim ruchem przesuwały dłonie po krągłościach ciała.

Tłum krzyknął z radości, gdy z kręgu młodych ludzi oderwał się pierwszy i poszedł za jedną z dziewcząt. Ta rzucała mu obiecujące spojrzenia, cofała się jednak, niby nieśmiało i czubkiem języka przesuwała po półotwartych ustach, by zniechęcić pozostałe, które miałyby ochotę spróbować szczęścia u tego samego mężczyzny; wabiła go i przyciągała tak aż do swego ojca, gdzie młodzieniec mógł tradycyjną formułą poprosić o jej rękę. Jak było w zwyczaju, ojciec żądał wtedy pokazania zawartości skrzyni młodego tkacza i razem, przez zgiełkliwe zamieszanie, szli do kręgu na środku sceny, z którego odrywali się teraz pojedynczo także inni młodzi mężczyźni, by wybrać sobie pierwszą żonę. Tam młody gobeliniarz otwierał pokrywę szkatuły i ojciec, jeśli był zadowolony z tego, co zobaczył we wnętrzu, udzielał zgody. Teraz przychodziła kolej na starszego cechu, by sprawdził włosy kobiety. Jeśli on także nie miał żadnych zastrzeżeń, dokonywał zaślubin i wpisywał je do księgi cechu.

Dirilja wpatrywała się w scenę, nie widząc właściwie, co się na niej dzieje. Wabienie młodych tkaczy wydało jej się bardziej niedorzeczne i pozbawione znaczenia niż dziecięce zabawy. Ponownie

przeżywała godziny spędzone z Abronem, wtedy, przed trzema laty, gdy pochód handlowy jej ojca ostatni raz zatrzymał się w Yahannochii. Widziała przed sobą jego twarz, pamiętała pocałunki, czuła na ciele dotyk delikatnych dłoni i przeżywała na nowo strach, że zostaną przyłapani na schadzce, która dawno przekroczyła granice, jakich wypadało przestrzegać niezamężnej młodzieży. Słyszała jego głos i doznała jeszcze raz tej samej co wówczas pewności, że to było bardzo poważne.

Nagle zrozumiała, że nie będzie umiała żyć dalej, jeśli nie wyjaśni, co stało się z Abronem. Mogłaby próbować o nim zapomnieć, ale ceną, jaką musiałaby zapłacić, byłaby utrata wewnętrznej pewności siebie. Nigdy nie wiedziałaby, czy może sobie zaufać. Nie była to sprawa urażonej dumy czy zazdrości. Jeśli świat był tak urządzony, że pewność, którą czuła, okazałaby się ułudą, to nie warto było na nim żyć.

Wyjrzała przez wszystkie okna wozu, nigdzie nie mogła dojrzeć ojca. Prawdopodobnie siedział teraz ze starszymi miasta, wymieniał się nowinkami i prowadził swe tajemnicze interesy.

Na rynku zapalono pierwsze pochodnie, gdy Dirilja zaczęła pakować ubrania i inne drobiazgi do niewielkiej torby.

Muzyka przestała grać. Niektóre stoiska już rozmontowano, towary załadowano z powrotem na wozy i liczono pieniądze. Wielu mieszczan rozeszło się do domów.

Po zakończonych zaślubinach młodych gobeliniarzy z ich pierwszymi żonami, teraz, w migotliwym świetle pochodni, na scenie odbywał się targ drugich żon. Stali tam wyczekująco mężczyźni ze swoimi młodymi, lub już nie tak bardzo młodymi, córkami. Niektórzy starsi tkacze, często w towarzystwie żon, człapali powoli od jednej dziewczyny do drugiej, taksując je spojrzeniami. Wprawnymi palcami sprawdzali przydatność włosów, tu i ówdzie rozpoczynały się już targi. Wzięcie drugiej żony nie wymagało specjalnych ceremonii; wystarczało, by ojciec wyraził zgodę, mogła odejść z tkaczem od zaraz.

Następnego ranka odjazd karawany opóźniał się. Wozy stały gotowe do jazdy, bawoły niespokojnie parskały i grzebały kopytami, piesi żołnierze czekali ustawieni kołem wokół orszaku. Słońce wznosiło się coraz wyżej, a ciągle nie odtrąbiono odjazdu. Plotka głosiła, że zaginęła Dirilja, córka handlarza kobierców. Ale oczywiście nikt nie miał odwagi zapytać.

Wreszcie usłyszano jeźdźców, galopujących uliczkami miasta. Zaufany sługa handlarza pospieszył do jego wozu i zapukał w szybę. Moarkan otwarł drzwi i wyszedł, odziany w najlepsze szaty i przyozdobiony we wszystkie insygnia swej godności. Z kamienną twarzą wysłuchał sprawozdania szpiegów.

– Szukaliśmy wszędzie, w mieście i na drogach z miasta ku wzgórzom – opowiadał przywódca jazdy – lecz nigdzie nie trafiliśmy na ślad waszej córki.

– Ona nie jest już moją córką. – powiedział Moarkan posępnie i rozkazał: – Dajcie sygnał do odjazdu! I zaznaczcie na mapach, że nie chcemy już nigdy przybyć do Yahannochii.

Orszak handlarza został wprawiony w ruch powoli, ale niepowstrzymanie, jak kamienna lawina. Tym razem, podczas wyjazdu z miasta, na poboczach stało już tylko kilkoro dzieci. W chmurze kurzu toczył się monstrualny pochód wozów, zwierząt i ludzi, zostawiając ślad kół i odcisków kopyt tak głęboki, że potrzeba było kilku tygodni, by zawiał go pył.

Dirilja czekała w ukryciu na skraju miasta, aż karawana handlarza zniknie za horyzontem, potem jeszcze jeden dzień, nim odważyła się wyjść. Większość ludzi nie rozpoznawała jej, a ci nieliczni, którzy ją poznali, zadowalali się pogardliwym spojrzeniem.

Udało jej się dowiedzieć, jak dotrzeć do domu tkacza włosianych kobierców, Ostvana. Wyposażona w trochę prowiantu, butelkę wody i szarą chustę dla ochrony przed słońcem i kurzem, ruszyła w drogę.

Bez konia podróż była długa i uciążliwa. Z zazdrością patrzyła na handlarkę zbliżającą się z naprzeciwka, małą, stareńką kobietę, jadącą na jucznym ośle i prowadzącą za sobą dwa inne, wysoko załadowane belami tkanin, koszami i skórzanymi workami. Choć Dirilja miała przy sobie dość pieniędzy, by kupić każde zwierzę w mieście, przecież nikt nie sprzedałby jej nawet kulawego osła, jej, młodej kobiecie podróżującej samotnie.

Kamienista ścieżka wspinała się pod górę, coraz częściej musiała zatrzymywać się dla złapania oddechu, a kiedy słońce stanęło wysoko na niebie, wczołgała się w cień pod nawisem skalnym i wypoczywała, aż poczuła, że wracają jej siły. Tak minął prawie cały dzień, nim dotarła do celu.

Dom chylił się, wyblakły i zwietrzały, jak czaszka starego zwierzęcego szkieletu. Czarne otwory okien zdawały się wpatrywać badawczo w młodą kobietę, wyczerpaną, stojącą na czysto zamiecionym podwórku i rozglądającą się niezdecydowanie.

Niespodziewanie otwarły się drzwi i niepewnym krokiem, kiwając się na słabych nóżkach, wyszło z nich małe dziecko, a za nim szczupła kobieta o opadających długimi lokami włosach.

Serce Dirilji skurczyło się z trwogi, gdy poznała, że małe dziecko to chłopiec.

– Przepraszam, czy to dom Ostvana? – spytała z trudem.

– Tak – powiedziała kobieta i z ciekawością przyjrzała jej się od stóp do głów. – A kim wy jesteście?

– Na imię mam Dirilja. Szukam Abrona.

Twarz kobiety sposępniała, jakby padł na nią cień.

– A czemu go szukasz?

– On był… To znaczy, my… Jestem córką handlarza włosianych kobierców Moarkana. Abron i ja zaręczyliśmy się… ale on nie przyszedł i… – Urwała, gdy po tych słowach kobieta podeszła do niej i ją objęła.

– Mam na imię Garliada – powiedziała. – Dirilja, Abron nie żyje.

Wprowadziły ją do środka, Garliada i Mera, pierwsza żona Ostvana. Usadziły na krześle i podały szklankę wody. Dirilja opowiedziała swoją historię, a Mera, matka Abrona, swoją.

Gdy wszystko zostało już powiedziane, milczały.

– Co mam teraz zrobić? – spytała po cichu Dirilja. – Opuściłam ojca bez jego zgody; musi się mnie wyrzec, a jeśli go jeszcze kiedyś spotkam, będzie musiał mnie zabić. Nie mogę wrócić.

Garliada wzięła jej rękę.

– Możesz zostać tutaj. Ostvan weźmie cię na drugą żonę, gdy z nim porozmawiamy i wszystko mu opowiemy.

– Tu będziesz przynajmniej bezpieczna – powiedziała Mera i dodała: – Ostvan jest stary. Nie będzie cię brał do swego łoża, Dirilja.

Dirilja powoli skinęła głową. Jej spojrzenie spoczęło na małym chłopcu, siedzącym na podłodze i bawiącym się małą ramą tkacką, powędrowało potem do szeroko otwartych drzwi, popatrzyła w dal, poprzez niezliczone łańcuchy skalistych szczytów i dolin, na zakurzone, nieurodzajne pustkowie, znające tylko wiejący bez końca wiatr i bezlitosne słońce. Potem rozwiązała węzełek i zaczęła rozpakowywać rzeczy.

Kaznodzieja

Nagły podmuch wiatru potargał mu włosy, splątane pasma opadły na twarz. Nerwowym ruchem dłoni odgarnął je i markotnie przyjrzał się białym kosmykom, które zostały mu w palcach. Każde przypomnienie faktu, że nieubłaganie stawał się coraz starszy, napełniało go wstrętem. Otrząsnął dłonie, jakby chciał równocześnie otrząsnąć się z tych myśli.

Za długo zasiedział się w tych wszystkich domach, zbyt wiele razy próbował przekonywać upartych ojców. Doświadczenie długiego życia powinno było nauczyć go, że to tylko strata czasu. Teraz wieczorny wiatr szarpał wytartą szarą pelerynę i robiło się coraz chłodniej. Wędrówka samotnymi ścieżkami do odległych domów tkaczy włosianych kobierców z każdym rokiem zdawała mu się coraz trudniejsza. Postanowił złożyć jeszcze tylko jedną wizytę, potem ruszyć już w drogę powrotną. Dom Ostvana i tak leżał po drodze.

Bądź co bądź starość miała jedną zaletę, co niekiedy nastrajało go nieco łagodniej: zapewniała mu ona w oczach ludzi autorytet i szacunek, jakich nigdy nie przyniosło mu niezbyt poważane stanowisko nauczyciela. Coraz rzadziej zdarzało się, że musiał długo dyskutować o tym, czy dzieci mają uczęszczać na zajęcia szkolne lub że ojciec wzbraniał się przed zapłaceniem czesnego za następny rok. I coraz częściej wystarczało ostre spojrzenie, by zdusić tego rodzaju opory w zarodku.

Ale to wszystko stanowiło mizerny argument za starością. Jeśli tylko miałbym wybór, myślał zadyszany, człapiąc pod górę po stromej ścieżce. Miał w zwyczaju wyprzedzać trochę kalendarz i zbierać czesne nieco wcześniej, dzięki czemu odbywał swoje wędrówki jeszcze w chłodnej porze roku. Przede wszystkim były to odwiedziny u tkaczy włosianych kobierców, bo wszyscy mieszkali daleko za miastem, a z racji ich godności wypadało iść do nich osobiście – te dni za każdym razem były męczące. Nie chciał odbywać tych wędrówek w słonecznym żarze końca roku.

Dotarł wreszcie do tarasu przed domem. Na złapanie oddechu potrzebował kilku minut, przyglądał się więc domowi Ostvana. Budynek był dość stary, jak większość domów gobeliniarzy. Bystre oko nauczyciela poznało po ułożeniu kamieni technikę murowania rozpowszechnioną w poprzednim stuleciu. Po niektórych przybudówkach poznawał, że pochodzą z nowszych czasów, choć na pierwszy rzut oka też wydawały się stare.

Kogo dziś jeszcze interesują takie rzeczy? – pomyślał markotnie. To także była wiedza, która zaginie wraz z nim. Zapukał do drzwi, spoglądając przy tym szybko w dół, sprawdzając ułożenie fałd

nauczycielskiej togi. Schludny wygląd był bardzo ważny, szczególnie w tym domu.

Drzwi otwarła stara kobieta. Poznał ją. Była to matka Ostvana.

– Garliado, bądź pozdrowiona – powiedział. – Przychodzę po czesne za Taroę, twoją wnuczkę.

– Parnagu – odpowiedziała po prostu. – Wejdź.

Oparł laskę o ścianę domu i wszedł, zbierając fałdy togi. Zaprosiła go, by usiadł i podała mu kubek wody, potem poszła na tyły domu, by przywołać syna. Przez uchylone drzwi dobiegały Parnaga odgłosy jej człapania, gdy wspinała się po schodach do pracowni tkackiej.

Wypił łyk wody. Dobrze mu zrobiło, że mógł chwilę posiedzieć. Rozglądał się po pomieszczeniu znanym już z poprzednich wizyt, widział białe, surowe ściany, pełen plam miecz wiszący na haku, rząd butelek z winem na półce wysokiego regału. Zza uchylonych drzwi pochwycił spojrzenie jednej z żon tkacza, zajętej w pokoju obok składaniem bielizny. Potem ponownie usłyszał kroki, tym razem młode, sprężyste.

Przez drzwi wszedł młody mężczyzna o szczupłej, zaciętej twarzy. Ostvan młodszy. Mówiono o nim, że odnosił się do bliskich bardzo szorstko i grubiańsko. W jego obecności miało się wrażenie, że stale próbuje coś udowadniać. Parnag nie darzył go sympatią, choć jednocześnie wiedział, że Ostvan w stosunku do niego odczuwał głęboki szacunek. Pewnie przeczuwa, że to mi zawdzięcza życie, pomyślał Parnag gorzko.

Pozdrowili się sztywno i Parnag zdał Ostvanowi sprawę z postępów, jakie w poprzednim roku poczyniła w nauce jego córka Taroa. Ostvan wszystkiemu przytakiwał, ale nie zdawało się go to zbytnio interesować.

– Wychowujecie ją w posłuszeństwie i miłości do cesarza, prawda? – upewnił się.

– Oczywiście – powiedział Parnag.

– Dobrze – skinął głową Ostvan, wyjął kilka monet i odliczył ilość potrzebną na czesne.

Parnag odszedł, pogrążony głęboko w myślach. Każda wizyta w tym domu budziła w nim na nowo wspomnienie dawno minionych czasów, kiedy był jeszcze młody, silny i wierzył, że może zmierzyć się z całym kosmosem, gdy czuł się dostatecznie mocny, by własnymi siłami wydzierać światu jego prawdy i tajemnice.

Parnag prychnął rozdrażniony. To wszystko działo się dawno temu. Dziś był starym, zdziwaczałym człowiekiem, cierpiącym od nadmiaru wspomnień, nic ponadto. Poza tym pochmurnie – czerwone słońce stało już nisko nad horyzontem, a jego promienie, zbyt słabe, by ogrzać wędrowca, rzucały długie cienie. Powinien się pospieszyć, jeśli chce dotrzeć do domu przed zmrokiem.

Uwagę Parnaga zwrócił poruszający się cień. Gdy podążył za nim wzrokiem, rozpoznał na horyzoncie sylwetkę jeźdźca. Wielka postać siedziała pochylona, jakby śpiąca, na nędznym małym wierzchowcu, który z trudem przestępował z nogi na nogę.

Nie potrafił powiedzieć dlaczego, lecz ten widok wzbudził w nim przeczucie zbliżającego się nieszczęścia. Zatrzymał się i zmrużył oczy, nie udało mu się jednak nic więcej zobaczyć. Śpiący jeździec, wieczorem, nie było to absolutnie nic niezwykłego.

Gdy dotarł do domu, stwierdził ku swemu niezadowoleniu, że zapomniał zamknąć okno izby szkolnej. Niestrudzony północny wiatr miał cały dzień, by nawiać przyniesionego z pustyni, lekkiego jak kurz piasku i równomiernie przyprószyć nim całe pomieszczenie. Rozdrażniony Parnag wyjął wystrzępioną miotłę z szafy, w której trzymał także swoje nieliczne pomoce naukowe. Musiał wymieść piach nawet z framugi okna, nim udało mu się je zamknąć. Zapalił glinianą lampkę olejną, w jej ciepłym, migocącym świetle zabrał się do wycierania stołów i krzeseł, potem oczyścił półki na ścianie i sczytane książki, w końcu zmiótł piasek z podłogi.

Usiadł potem zmęczony na jednym z krzeseł i zapatrzył się przed siebie. Niespokojne światło, ta izba nocą – to także przywoływało wspomnienia, rozbudzone wizytą w domu Ostvana. Kiedyś często tutaj siedzieli, czytali fragmenty książek i dyskutowali na ich temat, zdanie po zdaniu omawiali z wielką namiętnością i niejeden raz zastał ich przy tym poranek. Potem nagle rozwiązał tę małą grupę, z dnia na dzień. Później zawsze unikał przebywania tutaj wieczorem.

Miał jeszcze tamte książki. Leżały w ciemnym kącie na strychu, upchnięte w stary, dziurawy worek ukryty pod opałem. Postanowił stanowczo nie rozpakowywać ich już nigdy w życiu i dać swemu następcy możliwość znalezienia ich albo nie.

Nieszczęsny ten, kto zwątpi w cesarza.

Dziwne – przypomniał sobie nagle, że już gdy był dzieckiem, właśnie to ze wszystkich przykazań intrygowało go najbardziej. Może wątpienie było chorobą, z którą przyszedł na świat i jego życiowym zadaniem było ją zwalczyć. Wiara! Jakże daleko mu było do uwierzenia. W rzeczywistości, pomyślał gorzko, poprzestałem na unikaniu tego tematu.

Nieszczęsny ten, kto zwątpi w cesarza. Sprowadzi nieszczęście na wszystkich, którzy z nim przestają.

Wówczas zwycięstwem było zdobycie tych wszystkich książek. Na ich przywiezienie udało mu się namówić przyjaciela, wyruszającego w podróż do miasta portowego i rok później dostał je, doznając przy tym nieporównywalnego z niczym innym uczucia tryumfu. Zapłacił za nie ogromną kwotę pieniędzy, ale dla niego były tyle warte. Dałby sobie nawet odjąć prawe ramię, żeby tylko mieć te książki, pochodzące z

innych planet imperium.

W ten sposób, nie zdając sobie z tego sprawy, posiał ziarno zwątpienia na urodzajnym podłożu.

Ku swemu bezgranicznemu zdumieniu odkrył, że w książkach, pochodzących z trzech różnych światów, wspominano tkaczy włosianych kobierców. Nie wszystkie słowa rozumiał, jednak opis tej najwyższej z wszystkich kast był jednoznaczny: mężczyźni, poświęcający całe życie na utkanie z włosów swoich żon i córek jednego jedynego kobierca, przeznaczonego do cesarskiego pałacu.

Pamiętał dobrze chwilę, gdy podczas czytania zatrzymał się, podniósł przerażony wzrok i nieruchomo wpatrywał w kopcący płomień lampy olejnej – jednocześnie formułowały się w nim pytania, nie mające od tej chwili opuścić go już nigdy.

Zaczął obliczać. Większość jego uczniów nie osiągała nigdy wartej wzmianki biegłości w posługiwaniu się wielkimi liczbami, lecz nawet on, choć zaliczał rachunki do swych najmocniejszych stron, prędko popadł w trudności. W samej Yahannochii mieszkało około trzystu tkaczy. Ile mogło być miast podobnej wielkości? Nie wiedział, ale nawet przy bardzo ostrożnych szacunkach dochodził do zapierających dech w piersiach ilości włosianych kobierców, zwożonych corocznie przez handlarzy do miasta portowego, by przekazać je cesarskim przewoźnikom. A jeden dywan wcale nie był mały – jego wysokość i szerokość równały się wzrostowi człowieka, do takich wymiarów dążono.

Jak brzmiał statut cechu tkaczy włosianych kobierców? Każda prowincja imperium przyczynia się do ozdobienia cesarskiego pałacu, a naszym zaszczytnym udziałem jest tkanie najkosztowniejszych kobierców wszechświata. Jak wielki jest ten pałac, że produkcja całej planety nie starczała, by wyłożyć go dywanami?

Zdawało mu się, że śni. Te obliczenia mógł zrobić już dawno, ale nigdy nie przyszło mu to do głowy; do tej pory takie rachunkowe zabawy wydałyby mu się bluźnierstwem. Ale odkąd miał książki, opowiadające o tkaczach włosianych kobierców na trzech innych planetach… A kto wie, ilu ich jeszcze może być.

Nie pamiętał już dobrze, dlaczego wtedy właśnie tak postąpił: utworzył niewielki krąg, spotykający się regularnie wieczorami; kilku mężczyzn, jego rówieśników, którzy uznali, że warto jeszcze się czegoś nauczyć. Był między nimi znachor, kilku rzemieślników i jeden z bogatych właścicieli stad.

To było żmudne i męczące zajęcie. Chciał wychować sobie takich partnerów do rozmowy, jakich potrzebował. Tylu rzeczy musieli się najpierw nauczyć, nim będzie sens dyskutować z nimi o sprawach, które zajmowały go naprawdę. Jak większość ludzi, mieli zaledwie mgliste wyobrażenie o świecie, w którym żyli. Cesarz mieszkał w

„pałacu między gwiazdami”, tyle wiedzieli – ale nie rozumieli, co to znaczy. Musiał więc najpierw przekazać im wszystko, co sam wiedział o gwiazdach i planetach, że gwiazdy na nocnym niebie nie były niczym innym, jak bardzo odległymi słońcami, z których wiele otoczonych było planetami, na których także mieszkali ludzie; że wszystkie te planety oczywiście należały do cesarskiego imperium i że na jednej z nich, niezmiernie oddalonej od serca monarchii, stał potężny cesarski pałac. Musiał pokazać im, jak oblicza się powierzchnię, nauczyć rachowania na wielkich liczbach. Dopiero potem mógł ostrożnie spróbować wprowadzić ich w swe heretyckie przemyślenia.

A jednak nieszczęsny będzie ten, kto zwątpi w cesarza i sprowadzi nieszczęście na wszystkich, z którymi przestaje. To ma początek w jednym punkcie i rozprzestrzenia się potem jak pochłaniający wszystko ogień…

Także następnego dnia, podczas lekcji, nie opuściły go wspomnienia. Małe pomieszczenie wypełnione było jak zwykle do ostatniego krzesła i ostatniego wolnego miejsca na podłodze, na którym dało się usiąść. Dziś musiał włożyć wiele wysiłku w poskromienie zgrai ruchliwych dzieci. Klasa czytała chórem, Parnag, nieobecny duchem, śledził tekst w swojej książce, próbował wyłowić głosy czytające źle lub zbyt wolno. Zwykle mu się to udawało, lecz dziś słyszał głosy ludzi, których tu wcale nie było.

– Na rynku przemawia kaznodzieja – zawołał jeden ze starszych chłopców, syn handlarza chustami. – Ojciec kazał mi po lekcjach pójść go posłuchać.

– Możemy pójść tam wszyscy – odparł Parnag. W sprawach religijnych starał się wykazywać szczególną gorliwość.

Nie zawsze tak było. W młodości był bardziej otwarty, bez zastanowienia mówił o sobie i swoich uczuciach. Gdy nie czuł się dobrze, usprawiedliwiał się przed uczniami, a gdy zajmował go jakiś problem, wówczas także pozwalał sobie na rzucenie takiej czy innej uwagi podczas lekcji. Nawet wtedy, gdy sprowadzone książki wprawiły go w głębokie zwątpienie i poczyniły zamęt w jego myślach, próbował opowiedzieć o tym uczniom.

Spojrzał wówczas w patrzące na niego bez zrozumienia dziecięce oczy i zmienił temat. Tylko jeden uczeń, bystry, niezwykle inteligentny chłopiec imieniem Abron, zareagował inaczej.

Ku swemu zdumieniu w tym małym, chudym chłopcu Parnag znalazł partnera do rozmowy, jakiego bezskutecznie poszukiwał wśród dorosłych. Abron nie wiedział wiele, lecz wiedza, którą posiadał, służyła mu za podstawę do zdumiewająco samodzielnych przemyśleń. Patrząc na kogoś swymi ciemnymi, niezgłębionymi oczyma, potrafił z niewyszukaną, prostolinijną inteligencją dziecka podważać kruche

twierdzenia i zadawać pytania trafiające w samo sedno problemu. Parnag był zafascynowany, toteż bez zastanowienia zaprosił chłopca do udziału w wieczornych spotkaniach swego kółka.

Abron przyszedł i siedział z szeroko otwartymi oczami, nie mówiąc ani słowa. Skutek był taki, że jego ojciec, Ostvan starszy, tkacz włosianych kobierców, całkowicie zabronił mu chodzenia do szkoły.

Nauczyciel zaproponował Abronowi, by ten przychodził do niego, ilekroć zechce, czytać książki i pytać o wszystko, co go zainteresuje. Tak Abron stał się stałym gościem w domu Parnaga. Regularnie udawało mu się pod jakimś pozorem wymknąć do miasta i spędzał potem godziny lub całe popołudnia nad książkami nauczyciela, a ten parzył dla niego ziołową herbatę i najlepiej, jak potrafił, odpowiadał na wszelkie pytania chłopca.

Te godziny, jak wstrząśnięty Parnag zrozumiał dopiero teraz, były najszczęśliwsze w jego życiu. Abron przypadł mu do serca jak własny syn; starał się z niemal ojcowską delikatnością zaspokajać nienasycony głód wiedzy tego dziecka.

Zdarzyło się tak, że Abron był obecny przy niespodziewanej wizycie przyjaciela ponownie wracającego z miasta portowego, z drugą paczką książek – i z niewiarygodną wiadomością.

– Jesteś pewien? – musiał upewnić się Parnag.

– Słyszałem o tym od wielu nieznajomych handlarzy. Trudno podejrzewać, by się umówili.

– Rebelia?

– Tak. Rebelia przeciw cesarzowi.

– Czy coś takiego jest w ogóle możliwe?

– Mówią, że cesarz musiał abdykować.

Abron nie przyszedł nigdy więcej. Kiedyś, później, pod przysięgą milczenia ktoś powiedział Parnagowi, że Abron nie żyje. Widocznie wygłaszał w domu heretyckie, bezbożne mowy, w następstwie czego ojciec zabił go, darowując tym samym życie nowo narodzonemu synowi.

W tamtej chwili Parnag pojął ogrom swej zbrodni. Pozwolił, by jego wątpliwości zniszczyły młode, wiele obiecujące życie. Stał się siewcą nieszczęścia. Bez słowa wyjaśnienia rozwiązał kółko dyskusyjne i odtąd wzbraniał się przed ponownym stawianiem zadawanych tam pytań.

Gdy teraz otoczony uczniami wlókł się do rynku, opadło go uczucie depresji. Był chłodny, słoneczny dzień, lecz jemu zdawało się, że brnie przez mroczną jak noc dolinę. Grzązł we wspomnieniach jak w miałkim piachu. Marginesem świadomości widział siebie, jak czyni kilka niezdecydowanych prób, by utrzymać dyscyplinę w gromadzie dzieci, ale tak naprawdę było mu to zupełnie obojętne i pozostawił je

w końcu samym sobie.

Kaznodzieja siedział na jednym z kamiennych podestów, na których w czasie święta ustawiano scenę. Wokół niego zebrała się grupa ludzi wszelkiego stanu i wieku, w skupieniu słuchających jego słów.

– Podczas mej wędrówki w każdym mieście spotykam ludzi, którzy podchodzą do mnie żalić się, jak źle im się powodzi, skarżą się, że cierpią, czy to z powodu głodu, biedy, czy przez swoich bliźnich – wykrzykiwał właśnie, jakby śpiewał psalm z charakterystyczną dla wędrownych kaznodziejów intonacją, daleko niosącą głos. – Opowiadają mi to wszystko, bo mają nadzieję, że mogę im pomóc – może dobrą radą, a może czyniąc cud. Ale ja nie umiem robić cudów. Nie umiem też dawać rad, przynajmniej takich, jakich nie moglibyście udzielić sobie sami. Robię tylko jedno, przypominam wam o czymś, o czym może zapomnieliście – mianowicie, że nie należycie do samych siebie, lecz do cesarza, naszego pana i życie wasze możliwe jest tylko wówczas, jeśli będziecie żyć w nim!

Ktoś przyniósł mu w ofierze owoc, przerwał kazanie, uśmiechając się zaciśniętymi wąsko ustami, przyjął dar i położył go na stosie innych.

– A jeżeli cierpicie – kontynuował – to cierpienie wasze ma tylko jedną jedyną przyczynę: zapomnieliście o tej prawdzie. Próbujecie myśleć samodzielnie, a to jest początek nieszczęścia. Och! – Jego prawe ramię uniosło się w geście przestrogi. – Tak łatwo jest zapomnieć, że należycie do cesarza. I tak ciężko jest przypominać wam o tym ciągle na nowo.

Jego osobliwie sucha ręka sterczała ku górze z rękawa wystrzępionego habitu. Parnag obserwował tę scenę ponurym wzrokiem. Nie opuszczało go uczucie, że przegrał swoje życie.

– Jak myślicie, dlaczego wszędzie na tym świecie jesteśmy tak zajęci tkaniem włosianych kobierców? Czy robimy to tylko po to, by nasz cesarz nie musiał stąpać po nagich kamieniach? Na to znalazłyby się z pewnością inne, prostsze sposoby. Nie, wszystko to, wszystkie te rytuały to nic innego, jak łaskawe dary naszego cesarza dla nas, to jego wsparcie, którym chroni nas przed zbłąkaniem, strzeże, byśmy sami nie zgotowali sobie zguby. Taki właśnie jest sens. Każdy włos, który tkacz bierze w palce, by wiązać na nim supły, każdy włos przypomina mu: Należysz do cesarza. A wy, wszyscy pozostali, wy, pasterze bydła, rolnicy i rzemieślnicy, to dzięki wam tkacz włosianych kobierców może wykonywać swą pracę. Macie takie samo prawo powtarzać przy każdym ruchu dłoni tę myśl: Należę do cesarza. Robię to dla cesarza. A ja sam – mówił dalej, składając dłonie w pokornym geście przed piersiami – jestem tylko innym skromnym narzędziem jego woli, gdy przemierzam świat i do każdego napotkanego

człowieka wołam: Pamiętaj!

Parnag czuł się nieswojo. Myślał o długiej liście domów, które musiał jeszcze odwiedzić w sprawie czesnego i stanie tutaj wydało mu się stratą czasu. Ale nie potrafił tak po prostu odejść.

Kaznodzieja rozejrzał się błyszczącymi namiętnie oczami.

– Dlatego muszę mówić też o niewierzących, o wątpiących i heretykach, i muszę ostrzegać przed nimi was, którzy macie prawdziwą wiarę. Heretyk jest jak chory na zakaźną chorobę. Nie jest jak wy, którzy czasem zapominacie o prawdzie – to jest ludzkie i wystarczy przypomnieć wam o waszej wierze. Heretyk nie zapomniał o prawdzie, zna ją bardzo dobrze i celowo nią gardzi.

Parnagowi zrobiło się gorąco. Wiele wysiłku kosztowało go zachowanie obojętnego wyrazu twarzy. Nagle wydało mu się, że ten wychudły, brodaty mężczyzna przemawia już tylko do niego.

– Robi tak, bo spodziewa się po tym własnych korzyści i wymyśla na swe usprawiedliwienie wszelkie podstępne wątpliwości i argumenty. A one są trucizną dla serca prostego człowieka, który może od nich oszaleć, heretyk zasiewa w nim ziarno niewiary i zepsucia. Powiadam wam, zgadzając się na obecność heretyka w waszej wspólnocie, postępujecie jak ktoś, czyj dom płonie, a on spokojnie siedzi i spogląda w ogień.

Parnagowi zdało się, że niektórzy z mieszczan zerkali ku niemu nieufnie. Nie zapomniano jeszcze jego buntowniczych pytań, mimo, że minęło już dwadzieścia lat. Z pewnością niektórzy teraz przypomnieli sobie o nich i zastanawiali się…

Mieli rację. Wątpliwości tkwiły w nim jeszcze, jak niszczący zasiew, którego nie był w stanie wyplewić. Widział, jak sprowadził tym nieszczęście na innych, sam wiodąc życie złożone z bezkształtnych, szarych dni. Wątpliwości, raz powstałych, nie można zmusić, by znikły. Nie potrafił już przy każdym ruchu dłoni myśleć: *Robię to dla cesarza.* Mógł tylko myśleć: *Czy w ogóle istnieje cesarz?*

Czy kto widział kiedykolwiek cesarza? Nie wiedzieli nawet, gdzie mieszka, tyle tylko, że gdzieś na bardzo odległej planecie. Oczywiście, były zdjęcia, oblicze cesarza każdy człowiek znał lepiej niż twarze własnych rodziców, lecz o ile Parnag wiedział, cesarz nigdy jeszcze nie postawił stopy na ich planecie. Mówiono, że jest nieśmiertelny, żyje od początku wszech czasów i rządzi wszystkimi ludźmi… Mówiono tak wiele, a nie wiedziano nic. Gdy raz pozwolić sobie na wątpliwości, powstawał niedobry wewnętrzny przymus, by brnąć w nie coraz dalej.

– Strzeżcie się głosów szerzących wątpliwości i niewiarę. Strzeżcie się otwierać uszy na heretyckie mowy. Strzeżcie się każdego, kto wmawia wam, że musicie sami odkryć prawdę. Nic bardziej błędnego! Prawda jest o wiele za rozległa, by mógł ją pojąć jeden słaby, śmiertelny człowiek! Nie, tylko poprzez miłość i posłuszeństwo

cesarzowi możecie uczestniczyć w prawdzie i dać się bezpiecznie poprowadzić.

Kaznodzieja przerwał i spojrzał uważnie na Parnaga. Ten odwzajemnił spojrzenie i jak grom spadła na niego świadomość, że zna tę twarz! Znał kaznodzieję, skądś go znał, było to w tak odległych czasach, że nie potrafił sobie przypomnieć, skąd. To nagłe olśnienie było obustronne; Parnag poczuł, że także został rozpoznany. Zauważył w oczach kaznodziei błysk czegoś w rodzaju paniki, ale trwało to tylko przez moment, potem jego spojrzenie rozżarzyło się znowu fanatyczną, żądną władzy nienawiścią.

Zrobiło mu się niedobrze. Co mogło przypomnieć się obdartemu kaznodziei? Poczuł gwałtowne bicie serca, słyszał, jak krew pulsuje mu w uszach. Niewyraźnie docierało do niego, że przybysz mówi dalej. Czy wzywał teraz tłum do ukamienowania jego, Parnaga? Nie mógł nic zrozumieć.

Zwątpił w cesarza, ściągnął na innych nieszczęście. Czy teraz przyszła kolej na niego? Czy teraz miał się dopełnić jego los, mimo całego żalu i pokuty?

Parnag uciekł. Słyszał, jak mówi coś do swego najlepszego ucznia, prawdopodobnie prosił go, by ten zatroszczył się o powrót dzieci do domu, potem odszedł, czując chrzęst kamieni pod stopami i usłyszał, jak ściany domów odpowiadają echem na dźwięk jego kroków, coraz szybszych i szybszych. Pierwszy narożnik domu zdawał mu się wybawieniem. Żeby tylko zniknąć, zejść z pola widzenia!

Nagle przypomniał sobie, skąd zna tego człowieka. Stanął jak wryty, wydając nieartykułowany okrzyk zaskoczenia. Czy to mogła być prawda? Tamten człowiek, którego znał – kaznodzieją? Choć w głębi serca wiedział, że ma rację, musiał zawrócić i się upewnić. Zatrzymał się przy narożniku, który posłużył mu za schronienie i wyjrzał na rynek.

Nie mogło być wątpliwości. Ten człowiek, który siedział pośród słuchającego nabożnie tłumu, ubrany we włosiennicę świętego wędrowca, był tym samym, z którym w młodości wspólnie prowadzili szkołę w Kerkeemie. Poznał go po sposobie poruszania się, a teraz rozpoznawał także rysy twarzy. Brakart. Tak było mu na imię.

Parnag odetchnął z ulgą, dopiero teraz poczuł, że piersi ściska mu śmiertelny strach, niczym stalowe obejmy. Jeszcze przed chwilą obawiał się, że tamten rozpozna w nim wątpiącego, który wyparł się Boga. Uciekł stamtąd, bo bał się, że zostanie ukamienowany jako heretyk. Teraz wiedział, że nie ma się czego bać. Brakart rozpoznał go, wiedział też, że został rozpoznany – wiedział więc, że spotkał kogoś, kto zna jego tajemnicę. Jego brudną tajemnicę.

Było to prawie czterdzieści lat temu: Kerkeema, miasto na krawędzi krateru wygasłego wulkanu. Rozległy widok na równinę i

dziwaczne cienie, rzucane nieodmiennie przez zachodzące słońce. Wspólnie prowadzili miejską szkołę, dwóch młodych nauczycieli. Podczas, gdy Parnag uchodził za miłego i przystępnego, Brakart szybko zyskał opinię człowieka o bezwzględnej surowości. Rzadko zdarzał się wieczór, by nie zatrzymał jakiegoś ucznia na dodatkowych zajęciach, najczęściej były to uczennice, którym mówił, że są na lekcjach mniej uważne od chłopców.

Lata mijały, aż pewnego dnia konieczność wezwania lekarza, wiele łez i obciążające zeznania wydobyły na światło dzienne tajemnicę, że Brakart wykorzystywał swe uczennice w niemoralny sposób i że to właśnie było przyczyną jego pozornie tak surowej dyscypliny. Uciekł na łeb, na szyję, w nocy, nim rozgniewani mieszczanie zdążyli mu coś zrobić, a Parnag musiał potem przejść przez tak wiele nieprzyjemnych przesłuchań, że w końcu także opuścił Kerkeemę. Tak trafił do Yahannochii.

A teraz spotkali się znowu. Nagle Parnag poczuł się kiepsko. Jakaś jego część beztrosko wiwatowała z radości, że jest bezpieczny, że to on ma na tego drugiego haka, ale drugą połowę wypełniło przygnębienie: Czy tak łatwo miał uniknąć kary? Przecież wątpił i zabił tym młodego człowieka. Bezpowrotnie popadł w zwątpienie, a teraz tego, który mógłby pomścić prawdę, miał w ręku: wydawało mu się to tanim, niegodnym zwycięstwem. Nie, to nie było zwycięstwo, lecz ucieczka. Ratował skórę, ale tracił honor.

Po południu pozostał w domu. Skąpi gobeliniarze na pewno nie zmartwią się, mogąc zatrzymać pieniądze o jeden dzień dłużej. Błąkał się po domu wte i wewte, głęboko zatopiony w myślach czyścił bez potrzeby ten czy tamten przedmiot. Wszystko wydawało mu się szare i nie przynosiło pociechy.

Przez dłuższy czas stał przed skórzanym workiem, wiszącym na haku w sieni, całkiem pochłonięty tym widokiem. Ten worek należał kiedyś do Abrona. Podczas swej ostatniej wizyty chłopiec zawiesił go tutaj i zapomniał zabrać, odchodząc. Od tamtej pory worek tu wisiał.

Znienacka opanowała go nagła chęć, by zaśpiewać. Łamiącym się, niećwiczonym głosem próbował zanucić piosenkę, która fascynowała go, gdy był dzieckiem, rozpoczynającą się od słów: „Cały oddaję się tobie, mój cesarzu…” Nie potrafił jednak przypomnieć sobie dalszego ciągu i w końcu dał za wygraną.

Niespodziewanie rozległo się gwałtowne pukanie do drzwi. Podszedł, by otworzyć. Na progu stał Garubad, pasterz bydła, krępy, siwy mężczyzna w zniszczonym, skórzanym ubraniu. Wówczas, przed dwudziestu laty, Garubad był jednym z członków ich kółka dyskusyjnego.

– Garubad…

– Parnagu, bądź pozdrowiony! – potężny pasterz wydawał się

mieć świetny humor, był wręcz rozochocony. – Wiem, wieki minęły od naszej ostatniej rozmowy, ale koniecznie muszę ci o czymś opowiedzieć. Mogę wejść?

– Oczywiście. – Parnag odsunął się i wpuścił gościa. Był niezwykle poruszony tym, że tamten pojawił się u niego właśnie teraz. Nie mieli ze sobą do czynienia od lat, właściwie od chwili, gdy córka pasterza skończyła szkołę.

– Nigdy nie zgadniesz, co mi się przytrafiło – wybuchnął od razu Garubad. – Musiałem przyjść ci o tym powiedzieć. Przypominasz sobie przecież nasze wieczory dyskusyjne wtedy u ciebie – gdy wszyscy byliśmy jeszcze młodzi? – i te wszystkie sprawy, o których wtedy rozmawialiśmy, prawda? Ja pamiętam dobrze; nauczyłeś nas tyle o planetach i księżycach, i że gwiazdy to leżące w oddali słońca…

Co się dzieje? – myślał Parnag. Dlaczego właśnie dziś wraca do mnie wszystko, co wiąże się z tamtymi czasami?

– Więc przede wszystkim musisz wiedzieć, że tak, jak tu stoję, wracam prosto z dość dalekiej wędrówki z bydłem. Ktoś, była to chyba jedna z wędrownych handlarek, powiedziała mi, że w starym korycie rzeki od kilku tygodni jest trochę wody. Ponieważ od jakiegoś czasu tutaj wokół miasta sprawy nie wyglądają najlepiej, więc kierując się tą wskazówką, popędziłem owce do łąki, potem dalej, wiesz, jak to jest. No cóż, trzy dni drogi z owcami i jeszcze jeden dzień powrotu, już bez nich.

Parnag uzbroił się w cierpliwość. Garubad lubił przemawiać i rzadko przechodził do rzeczy bez rozwlekłych wstępów.

– A teraz najważniejsze: w powrotnej drodze znalazłem się w pobliżu skał Schabrat, zboczyłem więc do nich, żeby rozejrzeć się, czy nie uda mi się znaleźć kilku kryształów, ludzie przynoszą je stamtąd od czasu do czasu. Właśnie gdy zacząłem szukać, on wyszedł z jednej jaskini!

– Kto? – zapytał poirytowany Parnag.

– Nie wiem. Obcy. Miał na sobie dziwne ubranie, a w jaki sposób mówił! Nie wiem, skąd pochodzi, ale na pewno z daleka. W każdym razie podszedł do mnie i spytał, kim jestem, co robię, gdzie jest najbliższe miasto i same takie sprawy. A potem opowiedział mi mnóstwo przedziwnych rzeczy, wprost nie do wiary, a na koniec oznajmił, że jest rebeliantem.

Parnag poczuł wyraźnie, że jego serce na moment zatrzymało się.

– Rebeliantem?!

– Nie pytaj mnie, co miał na myśli, nie wszystko zrozumiałem. Mówił coś o tym, że jest rebeliantem i że strącili z tronu cesarza. – Garubad zachichotał. – Wyobraź sobie, mówił to całkiem poważnie. Zaraz pomyślałem o tobie i przypomniałem sobie twojego przyjaciela, tego, który przyjechał wtedy, tamtego popołudnia i opowiadał o

plotkach w portowym mieście…

– Komu prócz mnie o tym mówiłeś? – spytał Parnag głosem, który nawet jemu samemu wydał się obcy.

– Do tej pory nikomu. Pomyślałem po prostu, że to cię zainteresuje. Wróciłem właśnie do miasta… – Zniecierpliwił się, opowiedział już swoją historię i chciał ruszyć w dalszą drogę. – A przy okazji, co się tu właściwie dzieje? Całe miasto jest jakieś niespokojne…

– Pewnie z powodu kaznodziei, który jest w mieście od wczorajszego wieczoru – odpowiedział Parnag. Czuł się zmęczony, poruszony i przytłoczony sprawami świata. Powodowany nagłym impulsem opowiedział Garubadowi, że zna kaznodzieję i skąd go zna. – Zapewne chodzi po świecie jako święty wędrowiec, żeby odkupić swoje grzechy.

Gdy spojrzał na oblicze Garubada, zrozumiał, że lepiej by zrobił, zachowując tę historię dla siebie. Najwidoczniej dotknął czułego punktu pasterza, gdyż jego jowialność zmieniła się natychmiast w lodowatą pobożność.

– Nie chciałbym nic zarzucać twojej pamięci, Parnagu – stwierdził sztywno – ale zdaje mi się, że powinieneś jeszcze raz dokładnie to przemyśleć. Jestem prawie pewien, że się mylisz.

– O, to możliwe – ostrożnie wywinął się nauczyciel.

Po odejściu Garubada Parnag długo stał w sieni i nieruchomo patrzył przed siebie. Miał takie uczucie, jakby ktoś wbijał w niego wielki, żelazny hak, by poruszyć w nim grubą warstwę osadu wspomnień i uczuć, przytłaczający strumień obrazów, dawno, zdawałoby się, zapomnianych. Słowa pasterza rozbrzmiewały w nim jak dźwięk kroków w wielkiej jaskini.

Rebeliant? Co to mogło znaczyć? Więc jednak istniała taka możliwość, że cesarza strącono z tronu? Rozumiał wprawdzie słowa, lecz ta myśl zdawała mu się absurdalna, jakby była zaprzeczeniem samej siebie.

Ale przecież były jeszcze książki, schowane pod suchym drewnem i wysuszonym nawozem mułów. Inne planety, na których tkano włosiane kobierce. Tamta pogłoska, która przed dwudziestu laty dotarła do niego z portowego miasta…

Teraz przyszła jego kolej, miał podjąć właściwe kroki. Postąpić odważnie. Ta droga budziła strach, gdyż prowadziła w nieznane.

Poczuł nagle, jak kurczowo zaciska dłonie, jak boleśnie wbija palce w ich wnętrze. Nie pozostało mu wiele czasu na namysły. Nikt nie wiedział, jak długo obcy zatrzyma się wśród skał Schabrat. Jeśli zmarnuje tę okazję, będzie musiał kiedyś zakończyć swe życie, nie poznawszy odpowiedzi na nurtujące go pytania.

Wychodząc z miasta nie spotkał nikogo, prócz kilku starych

kobiet, które nie zaszczyciły go nawet jednym spojrzeniem. Gdy pozostawił już za sobą bramy miasta, zniknął niepokój ostatnich godzin. Poczuł, jak wypełnia go spokojna jasność.

Gdy zbliżał się do celu, horyzont zmienił się w gorejący ognistą czerwienią pas, a na czarno-granatowym niebie ukazały się pierwsze gwiazdy. Czarne skały wznosiły się w mroku jak posępne katedry. Nikogo nie było widać.

– Halo? – zawołał w końcu Parnag, najpierw ociągając się, cicho, potem, gdy nie uzyskał odpowiedzi, głośniej. – Halo?!

– Obcego już tu nie ma – zabrzmiał nagle ostry jak nóż głos.

Parnag obejrzał się gwałtownie. Był to kaznodzieja, stał tam, jakby go ktoś wyczarował. Brakart, kaznodzieja. Brakart, święty wędrowiec. Brakart, który wykorzystywał małe dziewczynki. A teraz zza skał wysuwało się coraz więcej ukrytych tam mężczyzn.

Parnag widział, że wszyscy trzymają w dłoniach kamienie. Gorąca fala podniosła się z brzucha i rozpłynęła w jego głowie. Wiedział, że go zabiją.

– Czego ode mnie chcesz, Brakarcie? – spytał z udawanym oburzeniem.

Oczy kaznodziei błysnęły gniewnie.

– Nie nazywaj mnie żadnym imieniem! Jestem świętym wędrowcem i nie mam już imienia.

Parnag milczał.

– Doniesiono mi, Parnagu – zaczął powoli kaznodzieja – że przed wielu laty wygłaszałeś heretyckie mowy, a nawet starałeś się siać wątpliwości w sercach bliźnich.

W tej chwili Parnag wśród tworzących wokół niego szeroki krąg mężczyzn odkrył Garubada.

– Ty?

Pasterz podniósł ramiona w obronnym geście. On jedyny nie miał kamienia.

– Powiedziałem mu tylko to, co tobie, Parnagu.

– Gdy Garubad opowiedział mi dziś po południu o swoim spotkaniu oraz o tym, że ty dowiedziałeś się o tym pierwszy, uznałem, że nadeszła odpowiednia chwila, by sprawdzić twą wiarę – kontynuował święty wędrowiec. W jego oczach błyszczał tryumf, gdy dodał: – A ty nie zdałeś próby!

Parnag nie odpowiedział. Nie było już nic do dodania. Jego grzech dopadł go w końcu.

– Nie wiem, kogo lub co spotkał Garubad. Może ktoś zadrwił sobie z niego. Może trafił na szaleńca. Może wyobraził sobie to wszystko – to bez znaczenia. Ważne jest tylko to, że przyszedłeś. Dowiodłeś tym, że naprawdę uważasz rebelię przeciw cesarzowi za możliwą. Może wydaje ci się nawet prawdopodobne – choć muszę

przyznać, że takiego zaślepienia nie potrafię sobie wyobrazić – że ktoś mógłby strącić cesarza z tronu. Jakkolwiek by nie było, sama twoja obecność tutaj zaprzecza, jakobyś był wierzącym, żyjącym w bojaźni bożej człowiekiem. Dowodzi czegoś wręcz przeciwnego. Wątpisz, prawdopodobnie wątpiłeś całe życie. A kto może wiedzieć, ile nieszczęścia ściągnąłeś przez to na swoich bliźnich?

– Heretyk! – zawołał jeden z mężczyzn.

Pierwszy kamień trafił Parnaga w skroń i przewrócił go na ziemię. Widział niebo, szerokie, puste niebo. Oddaję się tobie, cesarzu, pomyślał. Kamienie spadały na niego jak grad. Tak, wyznaję. Wątpiłem w ciebie. Wyznaję. Pozwoliłem, by opanowały mnie wątpliwości i już nie udało mi się od nich wyzwolić. Wyznaję. W swej sprawiedliwości, mój cesarzu, zniszczysz mnie teraz i zostanę stracony. Wyznaję i oddaję się twej sprawiedliwości…

Utracony gobelin

Nigdy potem nie umiał sobie przypomnieć, co go obudziło, czy był to swąd pożaru, trzask płomieni, czy też coś innego. Poderwał się z łóżka i krzyczał, a jego jedyną myślą był: kobierzec!

Krzyczał, wrzeszczał najgłośniej jak potrafił na gniewny huk ognia, wypełnił swoim krzykiem cały duży dom.

– Pożar! Pożar!

Widział tylko syczące płomienie, ich szyderczy pomarańczowo-czerwony odblask na ścianach i drzwiach, upiorne ślady sadzy i dym, kłębiący się pod sufitem. Strząsnął dłonie, chcące go powstrzymać; nie słyszał głosów wołających jego imię. Widział tylko ogień, który miał zniszczyć dzieło jego życia.

– Nie, Borlonie! Ratuj się…!

Rzucił się naprzód, nie troszcząc się o swoje kobiety. Dym otulał go i kąsał, przyprawiał o łzy w oczach i parzył płuca. Borlon chwycił strzęp tkaniny, przysłonił nim twarz. Na podłodze leżał potłuczony gliniany dzban, potykając się o skorupy, biegł dalej. Kobierzec. Musi uratować kobierzec. Musi uratować kobierzec albo umrze.

Ogień szalał z niewyobrażalną gwałtownością po całym domu, jak rycząca burza, wściekle szukająca równego sobie przeciwnika i nie znajdująca go. Borlon na wpół uduszony dotarł do podnóża schodów, prowadzących w górę do pracowni tkackiej, akurat w chwili, gdy drewniane schody zapadały się, czarne jak węgiel, sypiąc iskrami. Patrzył zdumionymi oczami na języki płomieni, jak w dzikim balecie skoczyły na balustradę, za którą stała rama tkacka, a uszy słyszały trzask, gdy konstrukcja ramy zaczęła powoli poddawać się ogniowi, a brzmiało to jak rozpaczliwy krzyk dziecka – potem odzyskała w nim kontrolę resztka świadomości, która wiedziała, że było już za późno, i kazała mu ruszyć z powrotem.

Gdy dotarł do rodziny, stojącej na zewnątrz w bezpiecznej odległości, wszystko poszło bardzo szybko. Wzięły go między siebie, Karvita, jego żona, druga żona, Narana i ze skamieniałym obliczem, nie czując nic, przyglądał się, jak ogień pożera prastary dom, jak rozbija szyby okien i wysuwa przez nie na zewnątrz języki płomieni, niby pozdrawiając ich kiwaniem. Potem nagle dach zaczął świecić, coraz bardziej przezroczysty, w końcu zawalił się, wyrzucając ku niebu żarzącą chmurę iskier. Zawisły w ciemności jak łagodnie świecące gwiazdy i gasły jedna po drugiej, tymczasem ogniowi na dole także zaczynało już brakować strawy, na koniec pozostało zaledwie trochę żaru, który z trudem rozjaśniał ciemności.

– Jak mogło do tego dojść? – chciał pytać, ale nie mógł, potrafił tylko w milczeniu wpatrywać się w zwęglone mury, a jego dusza

wzbraniała się przed przyjęciem do wiadomości rozmiaru nieszczęścia.

Stałby tak w bezruchu aż po świt, nie mając pojęcia, co robić. To Karvita poszła szukać i znalazła w gruzach zwęglone resztki skrzyni na pieniądze, to ona poprowadziła ich troje poprzez zimną noc niewygodną ścieżką do domu swoich rodziców na skraju miasta.

– To ja jestem winny – powiedział, nie patrząc na nikogo, kierując umęczone spojrzenie w nieokreśloną dal. Niewypowiedziany ból utkwił w jego piersiach i miał nadzieję, że zasłużona kara spadnie na niego szybciej i mniej boleśnie, jeśli sam siebie oskarży i uzna za winnego.

– Bezsens – odparła pewnym głosem żona. – Nikt nie wie, kto zawinił. A ty powinieneś w końcu coś zjeść.

Brzmienie jej głosu sprawiało mu ból. Rzucił na nią z boku szybkie spojrzenie, próbował odnaleźć w niej znów tę dumną dziewczynę o zapierających dech, długich, czarnych włosach, w której kiedyś się zakochał. Była zawsze chłodna, niedostępna i przez te wszystkie lata nie udało mu się stopić tego lodu. Teraz jego serce miało odmrożenia.

Narana bez słowa podsunęła mu talerz kaszy. Potem, niemal przerażona, że pozwoliła sobie na zbyt wiele, cofnęła się na swoje krzesło. Delikatna druga żona o jasnych włosach mogłaby być córką ich obojga. Jadła w milczeniu, pochylona nad swoim talerzem, jakby chciała stać się niewidzialna.

Borlon wiedział o podejrzeniach Narany, że Karvita ją nienawidzi. Prawdopodobnie była to prawda. Zawsze, gdy byli w trójkę w jednym pokoju, w powietrzu czuło się napięcie. Karvita nie dawała nic po sobie poznać, nieodmiennie chłodna, ale Borlon był pewien, że jest zazdrosna o młodą drugą żonę, bo on z tamtą sypia.

Czy miał się tego wyrzec? Narana była jedyną kobietą, z której łóżka wstawał z uleczonym sercem. Była młoda, nieśmiała i zahukana, pierwotnie wziął ją za żonę tylko ze względu na wspaniałe jasne włosy, które tworzyły niewiarygodnie efektowny kontrast z włosami Karvity. Mieszkała już od kilku lat nietknięta w ich domu, gdy na propozycję Karvity poszedł do niej po raz pierwszy.

Gdy był z nią sam na sam, robiła się cudownie rozluźniona, namiętna i wypełniona wdzięczną delikatnością. Była jak promień światła w jego życiu. Tylko serce Karvity stało się od tej pory niedostępne już ostatecznie, jak mu się zdawało – i czuł się winny z tego powodu.

Zauważył kątem oka, że Karvita przesunęła dłonią po włosach i z przyzwyczajenia wyciągnął rękę, by odebrać włosy pozostałe może w jej dłoni. Już w trakcie tego ruchu uświadomił sobie, co robi i powstrzymał się. Nie istniał przecież już kobierzec, nad którym mógłby pracować. To wspomnienie tkwiło w piersi jak palący ból.

– Nie ma sensu, żebyś robił sobie teraz wyrzuty – powiedziała Karvita, która zauważyła jego ruch. – Nie zwrócą ci one gobelinu i domu też nie. To mogło być wszystko – iskra z paleniska, żar w popiele, cokolwiek.

– Ale co ja mam teraz zrobić? – spytał Borlon bezradnie.

– Po pierwsze musimy odbudować dom. A potem rozpoczniesz nowy kobierzec.

Borlon podniósł dłonie i popatrzył na palce, których czubki były postrzępione od wieloletniego trzymania tkackiej igły.

– Co takiego uczyniłem, że wszystko sprzysięgło się przeciwko mnie? Nie jestem już dość młody, żeby zdążyć upleść dywan o przepisowych wymiarach. Mam dwie żony o najcudowniejszych włosach, jakie kiedykolwiek widziało imperium cesarza, a zamiast stworzyć dywan, który zachwyciłby oko władcy, zrobię najwyżej wąski bieżniczek…

– Borlonie, przestań lamentować, proszę. Mogłeś przecież zginąć w płomieniach, wtedy nie dokonałbyś w życiu w ogóle niczego. – Teraz była naprawdę rozzłoszczona. Może dlatego dodała: – Zresztą i tak nie masz następcy, więc to nie takie ważne, jak duży będzie twój kobierzec.

Tak, pomyślał gorzko Borlon. Tego też nie umiałem. Mężczyzna z dwiema żonami, mimo to bezdzietny, może mieć pretensje tylko do siebie.

Borlonowi wydawało się, że w oczach swojej teściowej zauważył dezaprobatę, nawet pogardę, gdy mała, stara kobieta wpuszczała mistrza cechu tkaczy włosianych kobierców.

– Nie umiem wyrazić, jak bardzo mi przykro, Borlonie – powiedział naczelnik. – Byłem wstrząśnięty, gdy twoja żona opowiadała mi… Za ludzkiej pamięci nie wydarzyło się jeszcze takie nieszczęście!

Czy chciał go upokorzyć? Podsunąć Borlonowi pod nos dowód, jakim jest nieudacznikiem? Przyjrzał się szczupłej, wysokiej postaci starszego cechu, którego szpakowate włosy były tak zmierzwione, jak jeszcze nigdy nie widział u wiekowego gobeliniarza.

To brzmiało szczerze. Stary człowiek, zwykle rzeczowy i poważny, był naprawdę głęboko poruszony i pełen współczucia.

– Kiedy to się stało? Ostatniej nocy? – pytał, siadając. – W mieście jeszcze nic o tym nie wiadomo…

– Nie chcę, żeby o tym gadali – powiedział Borlon ociężale.

– Ale dlaczego nie? Może ci się przecież przydać każda pomoc…

– Nie chcę – upierał się Borlon.

Starszy cechu przyglądał mu się przez chwilę badawczo, potem skinął głową za zrozumieniem.

– Więc dobrze. Ale przynajmniej mnie musisz wtajemniczyć. I

poprosić o radę.

Borlon wpatrywał się w swoją dłoń, dużą dłoń leżącą ciężko na drewnianym blacie stołu. Żyły na wierzchu pulsowały prawie niezauważalnie, ale nieprzerwanie. Gdy zaczął opowiadać, miał uczucie, że to nie on mówi; przysłuchiwał się sobie i zdawało mu się, że to Karvita przemawia jego głosem. Najpierw potykając się, potem, gdy początek został już zrobiony, coraz płynniej powtórzył, co mu przykazała.

– Chodzi o mój dom, mistrzu. Muszę go odbudować, potrzebuję nowej ramy, nowych narzędzi – nie starczy mi już na to wszystko pieniędzy. Mój ojciec dostał za swój kobierzec kiepską cenę, wtedy… – Mój ojciec też był nieudacznikiem, pomyślał. Utkał wspaniały dywan i oddał go za psie pieniądze. Ale w każdym razie *zdołał* ukończyć kobierzec – podczas gdy syn nieudacznika…

– Wiem.

– Więc?

– Myślisz o długoterminowym kredycie…

– Tak.

Stary tkacz powoli rozłożył ramiona w geście żalu.

– Borlonie, proszę, nie wprawiaj mnie w zakłopotanie. Znasz statut cechu. Jeśli nie masz syna, nie możesz dostać kredytu.

Borlon musiał walczyć z poczuciem, że wpada w nieskończenie głęboką, czarną studnię.

– Nie mam syna. Mam dwie żony, lecz żadna nie urodziła mi dziecka…

– Więc przyczyna pewnie nie leży po stronie kobiet.

O tak. Oczywiście, że nie.

Wpatrywał się w starszego cechu. Powinien teraz coś powiedzieć, ale zapomniał, co. Albo może nie było nic, co można by na to odpowiedzieć.

– Spójrz, Borlonie – takiego kredytu udziela się na sto dwadzieścia lub sto sześćdziesiąt lat. Musiałyby go spłacać jeszcze dzieci twoich dzieci. Takiego postanowienia nie robi się z lekkim sercem. Kasa cechu potrzebuje przecież pewnego zabezpieczenia. Wygląda na to, że nie możesz spłodzić następcy, więc nie możemy ci dać długoterminowego kredytu. Taki jest sens tego przepisu. Nawet gdybyś miał syna, ponosimy duże ryzyko, bo kto może zagwarantować, że twojemu synowi urodzi się syn?

– A krótkoterminowy? – poprosił Borlon.

– Czym chcesz go spłacić? – krótko spytał starszy cechu.

– Utkam nowy kobierzec – zapewnił szybko Borlon. – Jeśli nie będę miał dziedzica, spłacę kredyt tym dywanem, jeśli zaś doczekam się syna, wtedy można by zmienić kredyt krótkoterminowy na długoterminowy…

Stary człowiek westchnął.

– Przykro mi, Borlonie. Jest mi cię naprawdę żal, gdyż lubiłem kobierzec, który tkałeś. Ale odpowiadam za sprawowany przeze mnie urząd i, jak mi się zdaje, w tej chwili widzę nieco bardziej realistycznie niż ty, jak się rzeczy mają. Po pierwsze nie jesteś już najmłodszy, Borlonie. Jak duży dywan możesz jeszcze utkać, nawet gdybyś pracował, póki nie oślepniesz? A kobierzec, który nie ma przepisowych wymiarów, dostaje nieproporcjonalnie niską cenę, sam o tym wiesz. Przeważnie należy się cieszyć, gdy handlarz w ogóle go weźmie. Po drugie – będziesz musiał pracować na nowej ramie, takiej, której drewno musi się dopiero dopasować, nie było jeszcze przez dziesiątki lat naprężane. Wiadomo, ty też to wiesz, że na nowej ramie nie da się uzyskać takiej jakości, jak na starej. Chcesz zbudować dom, musisz też żyć – nie wydaje mi się możliwe, byś mógł zapracować na to wszystko.

Borlon nie dowierzając przysłuchiwał się, jak mistrz, w lepszych czasach nazywany przyjacielem, na którego pomoc liczył, bez litości zadawał mu cios za ciosem.

– Ale… co w takim razie mam zrobić?

Starszy cechu wbijając wzrok w podłogę, powiedział cicho:

– Zdarza się niekiedy, że linia tkacza włosianych kobierców skończy się. Czasem któryś umrze młodo albo bez następcy – zdarzało się to zawsze. W takim przypadku cech szuka kogoś, kto chce zająć zwolnione miejsce i założyć nową linię, dba o jego wykształcenie i tak dalej…

– I daje mu kredyt.

– Jeśli ma syna, tak.

Borlon ociągał się.

– Jedna z moich żon… Narana… jest chyba w ciąży…

Obaj wiedzieli, że to kłamstwo.

– Jeśli urodzi syna, kredyt nie będzie żadnym problemem, mogę ci to obiecać – powiedział mistrz i podniósł się.

W drzwiach obrócił się jeszcze raz.

– Bardzo dużo mówiliśmy o pieniądzach, Borlonie, a niewiele o sensie naszej pracy. Myślę, że w tym trudnym okresie powinieneś postarać się odnowić swoją wiarę. Słyszałem, że w mieście jest kaznodzieja; może byłoby dobrze, gdybyś się do niego udał.

Po odejściu starszego cechu Borlon siedział dalej bez ruchu, tępo patrząc przed siebie. Po krótkiej chwili weszła Karvita i spytała o wynik rozmowy. Potrząsnął tylko niechętnie głową.

– Nie chcą mi nic pożyczyć, bo nie mam syna – wyjaśnił w końcu, gdy nie dawała za wygraną.

– Więc spróbujmy – powiedziała natychmiast. – Nie jestem jeszcze za stara na rodzenie dzieci. – Ociągając się, dodała: – A Narana tym

bardziej.

Dlaczego tak to wszystko wyglądało? Dlaczego musiało być właśnie tak? Całe życie strawione na jeden jedyny dywan…

– A jeśli mimo to się nie uda? Karvito, dlaczego jesteśmy ze sobą już tak długo, a nie mamy dzieci?

Spojrzała na niego badawczo, bawiąc się kosmykiem długich, granatowoczarnych włosów.

– Twój syn – powiedziała potem powoli – musi być tylko urodzony przez jedną z twoich żon. Nie jest konieczne, żebyś… ty go spłodził!

Co ośmielała się teraz mu proponować? Bez środków do życia, naznaczony przez los, musi jeszcze pozwalać na to, by pozbawiano go honoru?

– Trzeba by to oczywiście przeprowadzić niezwykle dyskretnie… – zastanawiała się dalej jego żona.

– Karvito!

Spojrzała mu w oczy i przestraszona przerwała.

– Przepraszam, to tylko taki pomysł, nic poza tym.

– Masz jeszcze więcej takich pomysłów?

Milczała. Po długiej chwili, rzuciwszy mu najpierw ostrożne spojrzenie, stwierdziła:

– Jeśli cech nie chce ci pomóc – może masz przyjaciół, którzy coś pożyczą. Moglibyśmy spytać niektórych tkaczy, którym się dobrze powodzi. Na przykład Benegoran, ma przecież więcej pieniędzy, niż on sam i jego rodzina kiedykolwiek zdołają wydać.

– Benegoran nic nikomu nie daje. Dlatego jest taki bogaty.

– Znam dobrze jedną z jego żon. Przez nią mogłabym dyskretnie zapytać.

Borlon patrzył, jak stała w drzwiach i nagle zobaczył w niej znowu młodą dziewczynę, przypomniało mu się inne późne popołudnie, przed wielu laty, gdy dokładnie tak samo stała w tych drzwiach. To wspomnienie było dla niego jak ukłucie w samo serce. Była dla niego zawsze dobrą towarzyszką, nienawidził się teraz za wszystkie chwile, gdy był dla niej niesprawiedliwy lub źle ją traktował.

Wstał, właściwie po to, by wziąć ją w ramiona, jednak odwrócił się i podszedł do okna.

– Tak – powiedział. – Ale nie chcę, żeby dowiedziało się o tym zaraz całe miasto.

– Wcześniej czy później, nie da się tego dłużej ukrywać.

Borlon pomyślał o samotnych domach gobeliniarzy w wąwozach i dolinach wśród gór wokół miasta. Pewnie jak ziemia szeroka, nie było na niej takiego miejsca, z którego można by zobaczyć równocześnie dwa takie siedliska. Gdyby wszyscy zginęli w płomieniach, jeszcze

długo nikt w mieście by tego nie zauważył.

Pewnie to dopiero jedna z wędrownych handlarek znalazłaby ruiny i poniosła w świat tę nowinę.

– Lepiej później. Jak już będziemy wiedzieli, co dalej robić.

Słońce zeszło już nisko nad horyzont. Borlon widział z okna bramę miejską i kilka starych kobiet gawędzących pod nią. Starszy człowiek pośpiesznie wyszedł z miasta; wydał się mu znajomy, ale nie potrafiłby powiedzieć, skąd go zna. Dopiero gdy tamten już zniknął mu z oczu, przypomniał sobie, że to nauczyciel. Dawniej przychodził od czasu do czasu i pytał o dzieci, ale od wielu lat przestał i Borlon zapomniał jego imienia.

Nie znam już ludzi w mieście, pomyślał. Wszedłem w stadium, gdy tkacz przestaje wychodzić z domu. Wśród wielu uczuć, które go teraz przepełniały, było też całkiem mocne rozczarowanie: niezmierne rozczarowanie człowieka, który podjął wielkie, wyczerpujące wyzwanie i zawiódł na krótko przed osiągnięciem celu.

Zaczął teraz odczuwać fizyczne trudy tego dnia: długi nocny marsz, krótkie godziny niespokojnego snu, z którego budził się co chwila; przedpołudnie, gdy znowu wyruszyli wszyscy, by przeszukać wypalone zgliszcza domu, uratować z popiołu oszczędzone przez ogień przedmioty i oszacować szkody. Borlon sięgnął po butelkę wina i dwa kubki. Znowu miał w nosie gryzący swąd popiołu i zdawało mu się, że czuje na języku smak dymu.

Postawił kubek przed Karvitą, drugi dla siebie. Potem otwarł butelkę.

– Chodź – powiedział. – Napij się ze mną.

Następnego ranka był wcześnie na nogach, coś ciągnęło go na ulice miasta. Pierwszy raz w życiu miał jednej nocy dwie swoje żony, także pierwszy raz nie udało mu się samemu osiągnąć szczytu, żadnego z dwóch razy.

Życie jakby kruszyło się pode mną, pomyślał. Kawałek po kawałku odłamuje się, niedołęstwo zatacza coraz większe kręgi, w końcu zupełnie przestanę istnieć.

Nikt nie zwracał na niego uwagi, to mu odpowiadało. To było dobre uczucie, nie być zauważanym i nie zostawiać za sobą śladów, jakby był niewidzialny. Bał się, że wieść już się rozniosła, że będą przyglądać mu się i szeptać za plecami. Ale mieszczanie zajmowali się innymi sprawami; jak dowiedział się z zasłyszanych przelotnie rozmów, poprzedniego wieczora ukamienowano heretyka, na rozkaz Świętego Wędrowca, przebywającego od dwóch dni w mieście.

Borlon przypomniał sobie radę starszego cechu i skierował kroki na plac targowy. Może był to rzeczywiście problem wiary. Od dawna już nie myślał o cesarzu, był zajęty tylko swoim dywanem i własnymi

błahymi kłopotami. Utracił zdolność szerszego widzenia i pewnie postępowałby tak do końca życia, gdyby nic się nie wydarzyło.

Może pożar był karą. Jakby cesarz chciał mu w ten sposób powiedzieć: nie chcę twego kobierca, jeśli nie tkasz go sercem i miłością do mnie.

Dziwne, te przemyślenia go uspokoiły. Więc jednak wszystko można było wytłumaczyć, przynajmniej to. Zbłądził, zasłużył na karę. Nie jego rzeczą było wyrokować; co się stało, stało się sprawiedliwie, a on miał to przyjąć, nie złorzecząc losowi.

Rynek był prawie pusty. Na skraju siedziało kilka kobiet sprzedających warzywa rozłożone na wystrzępionych chustach, a jako że nie było chętnych do zakupów, skracały sobie czas plotkowaniem. Borlon podszedł do jednej z nich, zorientował się po jej spojrzeniu, że go nie poznawała. Zapytał o Świętego Wędrowca.

– Kaznodzieja? Dziś rano odszedł – odrzekła.

– Mówił tak wzruszająco – wtrąciła inna, gruba kobieta, której brakowało przednich zębów. – Szkoda, że był tu tylko jeden dzień.

– Dziwne, prawda? – stwierdziła następna nieprzyjemnie pyskatym głosem. – To znaczy, chodzi mi o to, że normalnie przecież w ogóle nie można się pozbyć tych świętoszków. Dziwi mnie, że już go nie ma.

– Tak, to prawda – przytaknęła gruba kobieta z ubytkami w uzębieniu. – Słuchałam wczoraj rano jego kazania i dokładnie wymieniał, na jakie tematy chce do nas mówić.

– Chcecie coś kupić, panie? – spytała Borlona pierwsza kobieta. – Mam wspaniałe świeże karaqui… albo te tutaj w pęczkach, bardzo tanio…

– Nie – potrząsnął głową Borlon. – Dziękuję. Chciałem tylko spytać… o kaznodzieję…

Wszystko stało się mroczne i posępne. Wokół niego gromadził się sąd i nie dopuszczano, by uniknął odpowiedzialności.

Ciemne otwory okien wokół rynku patrzyły jak czarne, ciekawskie oczy. Przez chwilę stał bez ruchu, poczuł się, jakby leciał w dół i nigdy nie miał upaść, jakby rzucono na niego klątwę, by wiecznie spadał, nie mając nigdy uderzyć o dno i zostać zbawionym. Gwałtownie zawrócił i ruszył w drogę powrotną.

Gdy znalazł się przed domem, spotkał ojca Karvity, małego, starego człowieka, który był z zawodu prostym tkaczem i jak to oni, darzył tkaczy włosianych kobierców wielkim szacunkiem. Do swego zięcia odnosił się zawsze niemal uniżenie – ale teraz nawet w jego spojrzeniu Borlon odkrył zalążki pogardy.

Skinęli sobie głowami. Borlon wpadł do domu, w górę po schodach prosto do pokoju Narany. Szyła, siedziała na krześle przy oknie, cicha i onieśmielona jak zawsze, wydawała się o wiele mniejsza

i młodsza, niż naprawdę była. Wyjął jej z rąk szycie i popchnął na łóżko, nie mówiąc ani słowa, zadarł jej spódnicę, rozpiął spodnie i natychmiast wdarł się w nią, twardymi, szybkimi, przepełnionymi zwątpieniem pchnięciami. Potem padł obok niej na łóżko i dysząc, wpatrywał się w sufit.

Nie opuściła spódnicy, ale wcisnęła obie dłonie między nogi.

– Zadałeś mi ból – powiedziała cicho.

– Przykro mi.

– Nigdy wcześniej nie sprawiłeś mi bólu, Borlonie – mówiła to niemal zdziwiona. – Wcale nie wiedziałam, że tam może boleć.

Nic nie powiedział, leżał tylko i gapił się przed siebie. Po jakimś czasie odwróciła się do niego, przyjrzała mu się dużymi, pełnymi zadumy oczami i zaczęła głaskać go łagodnie. Wiedział, że nie zasłużył, ale pozwolił na to, próbując zrozumieć, dlaczego wszystko było nie tak.

– Martwisz się tak bardzo, Borlonie – wyszeptała. – A przecież – popatrz tylko, nim spłonął dom, mieliśmy dosyć pieniędzy do końca życia. Teraz nie mamy domu, ale pieniądze mamy nadal. Co nam się może stać?

Zamknął oczy i poczuł, jak wali mu serce. To wszystko nie było takie proste.

– Kobierzec – wymruczał. – Nie mam już kobierca.

Nie przestawała pieścić palcami jego twarzy.

– Borlonie… Może nigdy nie będziesz miał syna – więc po co ci kobierzec? Jeśli umrzesz bez następcy, to zysk z dywanu dostanie cech. Ten cech, który teraz nie chce ci pomóc.

– Ale cesarz…

– Cesarz dostaje tyle kobierców, że na pewno już nie wie, gdzie je układać. Na pewno nie zależy mu na jeszcze jednym.

Usiadł gwałtownie.

– Nic nie rozumiesz. Jeśli umrę, nie kończąc dywanu, moje życie nie będzie miało sensu.

Wstał, uporządkował ubranie i podszedł do drzwi. Narana ciągle jeszcze leżała na łóżku, trzymając jedną rękę między nagimi udami, w oczach miała spojrzenie zranionego zwierzęcia. Chciał coś powiedzieć, chciał rzec, jak bardzo mu przykro, że się wstydzi, chciał mówić o bólu, który miał w sercu, ale nie znajdował słów.

– Przykro mi – powiedział i odszedł.

Gdyby tylko wiedział, co się nie udało. Czuł, że nie ma ucieczki od tego poczucia winy, które coraz bardziej zagęszczało się wokół niego. Przy każdym ciężkim, niezdarnym stąpnięciu schodami w dół, myślał, że upadnie i stłucze się jak gliniane naczynie.

W kuchni nie było nikogo. Stała tam jeszcze butelka wina, obok niej kubki z wczorajszego wieczoru. Nalał, nie zadając sobie trudu

umycia kubka i zaczął pić.

– Rozmawiałam z Benegoranem – opowiadała Karvita. – Pożyczy ci pieniądze na nowy dom i nową ramę tkacką.

Borlon, który przez całe popołudnie siedział w kuchennym oknie i śledził wędrówkę cieni, aż słońce całkiem zaszło, nie poruszył się. Słowa docierały do niego z trudem, jego świadomość odbierała je jak dalekie szmery bez znaczenia.

– Ale stawia jeden warunek.

W końcu udało mu się odwrócić głowę i spojrzeć na nią.

– Warunek?

– Chce za to Naranę – powiedziała Karvita.

Poczuł, jak z podbrzusza podnosi się, niczym pęcherzyki powietrza w wodzie, zaczątek śmiechu i zatrzymuje się gdzieś między sercem a krtanią.

– Nie.

Przyglądał się jej, jak zaciska pięści i bezradnie uderza o biodra.

– Nie wiem, dlaczego to wszystko robię – wyrwało jej się. – Cały dzień na nogach, poniżam się, proszę i błagam, łykam kurz pustyni, a ty odrzucasz wszystko jednym słowem.

Chwyciła butelkę wina i zajrzała do niej.

– Potrafisz się tylko upić i użalać nad sobą. Myślisz, że to jest rozwiązanie?

Dotarło do niego tępo, że czeka na odpowiedź, stojąc tam i patrząc na niego.

– Nie – powiedział.

– A jakie jest twoim zdaniem inne wyjście?

Bezradnie wzruszył ramionami.

– Borlon, wiem, że Narana wiele dla ciebie znaczy, może więcej niż ja – powiedziała gorzko. – Ale zaklinam cię, zastanów się chociaż nad tym. Zawsze to jakieś wyjście. A nie mamy ich wiele.

Tyle było rzeczy, które od zawsze chciał jej powiedzieć i tyle takich, które chciał jej powiedzieć teraz, nie wiedział, od czego zacząć. Przede wszystkim musi wyjaśnić, że ją kocha, że ma w jego sercu stałe miejsce i że bolało go, gdy nie chciała go zająć. I że to wszystko nie miało nic wspólnego z Naraną…

– Mógłbyś przynajmniej porozmawiać z Benegoranem – upierała się.

To nie miało sensu. Wiedział, że to nie ma sensu. Nic nie miało sensu.

– Więc co zrobisz? – spytała.

Sam nie wiedział. Milczał. Milczał i oczekiwał wyroku sądu. Milczał i czekał, aż wieża jego win przewróci się na niego i pogrzebie go.

– Borlon? Co się dzieje?

Słowa znowu utraciły swą treść, stały się częścią nocnego tła szmerów. Odwrócił się z powrotem do okna i wyjrzał na ciemne niebo. Był tam mały księżyc, można było przypatrywać się, jak szybko wędruje po firmamencie, zbliżając się do dużego księżyca, powoli sunącego mu naprzeciw. Dziś w nocy mały księżyc przesunie się przed tarczą dużego.

Słyszał, że ktoś mówi, ale nic nie rozumiał, nie zależało mu też na tym, by rozumieć. Ważne były tylko księżyce. Musiał stać tutaj i czekać, aż spotkają się i dotkną. Łoskot zatrzaskiwanych drzwi, ale to także nie miało znaczenia.

Stał cicho, a mały księżyc poruszał się. Gdy się tak stało i czekało, można było śledzić, jak gwiazdy na trasie małego księżyca powoli zbliżały się do jego małej, owalnej świetlnej otoczki, jak w końcu zupełnie przyćmiewał je jej blask i tonęły w nim. I tak dwa księżyce wędrowały ku sobie po kopule nieba, gwiazda po gwieździe, by w końcu stopić się w jeden krąg światła, podczas gdy on stał bez ruchu i przyglądał się.

Był zmęczony. Piekły go oczy. Gdy wreszcie odwrócił się od okna, lampa olejna już zgasła. Nie było żadnego płomienia, żadnego ognia. Tak było dobrze. Nie wiedział dokładnie dlaczego, ale tak było dobrze.

Mógł spokojnie odejść. Nadszedł czas. Wyjść do przedsionka i zdjąć z haka swą pelerynę, nie dlatego, że jej potrzebował, ale by po sobie posprzątać, nie zostawić niepożądanych śladów. Nie powinien nikogo obciążać pozostałościami po swym poronionym życiu; nie chce dokładać sobie jeszcze i tej winy.

A potem otworzyć drzwi i cicho zamknąć je za sobą. I zdać się na nogi, niech niosą, uliczką do bramy miasta i poza nią, ciągle dalej i dalej, naprzeciw dwóm księżycom, by się z nimi stopić…

Wędrowna handlarka

W swej wędrówce od jednej do drugiej samotnej siedziby gobeliniarza, często całymi tygodniami, spotykała wyłącznie kobiety. Główne żony, drugie żony i córki gobeliniarzy wprost nie mogły doczekać się, by zaprosić ją do swych kuchni, ale to nie na jej tkaniny i sprzęty kuchenne czekały tak niecierpliwie, lecz na nowiny, które miała im opowiedzieć o innych rodzinach i wydarzeniach w mieście. Przesiadywała więc godzinami z kobietami, często z trudem i dopiero po sprytnych przeskokach z tematu na temat udawało jej się sprowadzić rozmowę na przyniesione towary. Nowe przepisy, to był jej ulubiony sposób. Ubhika znała ogromną ilość niezwykłych przepisów, tak na potrawy, jak i na wszelkiego rodzaju mikstury kosmetyczne, które łączyło jedno: do ich przyrządzenia potrzebne było albo specjalne urządzenie, albo specjalna przyprawa, albo w ogóle coś specjalnego, co można było kupić tylko u niej.

Jeśli miała szczęście, a przy tym gadaniu i plotkowaniu zastał je wieczór, to udawało jej się nawet dostać legowisko na noc. Dzisiaj nie poszczęściło się jej, a najbardziej złościło ją, że powinna była to z góry przewidzieć. W domu Ostvana gościnność nigdy nie znaczyła wiele – już za czasów starego Ostvana nie pielęgnowano jej, a teraz jego syn nie dbał o nią zupełnie. Krótko przed zapadnięciem zmroku młody tkacz włosianych kobierców wszedł do kuchni i zrzędliwie powiedział, że nadszedł już czas, by handlarka ruszyła w dalszą drogę. Ton, jakim to wyrzekł, przyprawił wszystkich o dreszcz strachu i poczucie winy. Przez moment Ubhika poczuła się jak złodziejka, nie handlarka.

Dobrze, że jedna z kobiet pomogła jej jeszcze zapakować kosze, skórzane worki i węzełki na jucznego osła, inaczej nie zdołałaby przy dziennym świetle pokonać stromej ścieżki prowadzącej w dół z domu Ostvana. Miała na imię Dirilja, mała, cicha kobieta, która także już jakiś czas temu przekroczyła wiek, w którym mogłaby wyjść za mąż, nigdy nie odzywała się wiele podczas kobiecych pogawędek, zawsze tylko się smutno przyglądała. Ubhika wiele dałaby za to, żeby poznać przyczynę. Ale tak to już było z żonami tkaczy: zjawiały się nie wiadomo kiedy i skąd, po prostu były, większość z nich nie opowiadała wiele o swym pochodzeniu. Dirilja była ostatnią z drugich żon poślubionych przez starszego Ostvana, niedługo potem zmarł. Dziwne, jego kobierzec musiał być już wtedy gotowy, poza tym suche i łamliwe włosy Dirilji nie miały jakości potrzebnej do tkania kobierców. Ubhika umiała to dobrze rozpoznać, jej włosy też były takie, nawet w czasach, gdy jeszcze nic nie zapowiadało mającej ich przyprószyć siwizny. Ta Dirilja, co mogło ją połączyć z Ostvanem? Zagadkowa historia.

Słońce szybko zniżało się do horyzontu, rzucało długie, irytujące cienie między wzgórzami i surowymi skałami, odczuwało się chłód. Ubhikę, gdy poczuła, jak wiatr wgryza się jej pod spódnice, ogarnęła złość na samą siebie, że pozwoliła zatrzymać się tak długo. Gdyby wyruszyła wcześniej, zdołałaby jeszcze dotrzeć do domu Borlona, w którym zawsze pozwalano jej zatrzymać się na noc.

A tak pozostał jej znów tylko namiot. Rozglądała się za osłoniętym miejscem, małą jaskinią lub skalnym nawisem i w końcu znalazła za skałą zaciszną wnękę, do której zagnała zwierzęta. Uwiązała je do kołków, z trudem wbitych w ziemię kamieniem, zdjęła z obu jucznych osłów ciężary, na koniec zawiązała wszystkim trzem zwierzętom opaski na oczy: był to najpewniejszy sposób, by zapobiec ich ucieczce, gdyby spłoszył je jakiś nocny hałas. Potem ustawiła swój mały namiot, wymościła go kilkoma warstwami tańszego materiału i wpełzła do środka.

A potem leżała tam, słuchała stuku kamieni i szmeru owadzich nóżek, czuła wyraźnie, że jest całkiem sama pośród dziczy, osłonięta tylko malutkim namiotem i dwoma stosami artykułów spożywczych, tkanin i narzędzi po prawej i lewej stronie, jak zawsze myślała o tym, że nigdy nie uda jej się do tego przyzwyczaić. Że właściwie to wszystko powinno wyglądać całkiem inaczej. Jak zwykle przed zaśnięciem przesuwała dłonią po ciele, jakby musiała się upewnić, że jeszcze je ma, czuła piersi, wciąż twarde, mimo wieku, ich dotyk był przyjemny, pieściła swoje biodra i było jej żal, że nigdy nie dotykały ich ręce mężczyzny.

Gdy była w wieku odpowiednim do zamążpójścia, nie dostał jej się żaden mężczyzna, ze swoimi łamliwymi włosami nie mogła liczyć na to, że jakiś tkacz włosianych kobierców weźmie ją na drugą żonę. Pozostał jej więc tylko samotny zawód wędrownej handlarki. Czasami zastanawiała się, czy nie powinna była odwzajemnić rubasznych zaczepek niektórych rzemieślników albo pasterzy, ale w międzyczasie skończyły się i te zaloty.

Wreszcie zasnęła. Jak zwykle, obudził ją chłód wczesnego poranka. Przeważnie, gdy drżąc z zimna, wyczołgiwała się ze swego namiotu owinięta wstęgą tkaniny, słońce właśnie wznosiło się srebrnym świtem, wokół niej otwierała się panorama samotności, tak szeroka, że czuła się jak insekt, malutka i nieważna.

Nigdy nie potrafiła zdobyć się na to, by zjeść śniadanie w miejscu, gdzie nocowała. Odwiązała juczne zwierzęta, obładowała je, zdjęła im z oczu opaski i pośpiesznie się oddaliła. Potem w drodze żuła suszone mięso bawołów ze swych zapasów albo zjadała jakiś owoc, jeśli akurat je miała.

Dom Borlona. Nie było też źle dotrzeć tam rankiem. Narana, młoda druga żona Borlona, na pewno zaparzy jej herbatę; zawsze tak

robiła. A potem kupi od niej wiele tkanin, gdyż chętnie i dużo szyła.

Gdy jednak Ubhika ujrzała dom Borlona, jeszcze z oddali, natychmiast wydał jej się jakiś dziwny – o wiele ciemniejszy, niż go pamiętała, prawie czarny, jak wypalony. Gdy zaś podjechała bliżej, zobaczyła, że z domu rzeczywiście pozostało już tylko to, czego nie zdołał strawić potężny pożar.

Powodowana koszmarną fascynacją, jechała coraz dalej, aż w końcu zatrzymała się przed zwęglonymi resztkami murów, w których unosiła się jeszcze woń ognia i zniszczenia, w środku wznosiły się kupy popiołu z drewnianych belek i dachówek. Poczuła się jak padlinożerca, który dotarł na miejsce tragedii, nie brał w niej jednak udziału, może tylko wykorzystać resztki. Może gdzieś w popiele leżało jeszcze kilka monet.

Ubhika rozpoznała zarysy kuchni, w której niejeden raz siedziała z kobietami, obok niej małą komórkę, gdzie często zdarzało jej się spać. Nigdy nie była w głębi domu. Dopiero teraz, wlokąc się przez spopieloną ruinę, gdy stąpaniem wznosiła chmury popiołu cuchnące dymem, widziała, jakie jeszcze pomieszczenia były w domu tkacza włosianych kobierców. Które z nich mogło być pracownią? Jakże chętnie by się tego dowiedziała.

Odkryła w sadzy ślady stóp, wychodzące ze zgliszczy i ginące gdzieś w żwirze, wyglądało na to, że rodzina tkacza przeżyła pożar.

Nie znalazła pieniędzy, ani nic innego, co warto byłoby zabrać. Ostatecznie postanowiła ruszyć dalej. W każdym razie zdobyła ciekawą nowinę, którą mogła opowiadać; trochę ubarwiona, pomoże jej pewnie w interesach, a nawet zapewni posiłek tu i ówdzie.

Wtedy zauważyła tego mężczyznę stojącego na poboczu. Tak po prostu, pośród pustkowia.

Ubhika nieufnie podjechała bliżej na swym wierzchowym ośle, trzymając jedną dłoń na rękojeści pałki przytwierdzonej do siodła. Lecz on pomachał jej przyjaźnie ręką i uśmiechnął się. No i był młody…

Podjeżdżając powoli ku niemu, przyłapała się na mimowolnym poprawianiu włosów. Właściwie wciąż jeszcze jestem młoda, pomyślała zaskoczona, to tylko moje ciało zdradziło mnie i się postarzało. Mimo to pozwoliła włosom opaść, w obawie, że wyda mu się śmieszna.

– Bądź pozdrowiona – powiedział mężczyzna. Dziwnie to zabrzmiało. W jego mowie było coś twardego, jakieś obce brzmienie.

Ubrany był też dziwacznie. Nosił strój okrywający go całkowicie od stóp do głowy, wykonany z tkaniny, jakiej Ubhika nigdy jeszcze nie widziała. Na piersi miał błyszczącą ozdobę, a wokół talii pas, do którego zamocowano rozmaite worki i małe pudełeczka.

– Bądź pozdrowiony, cudzoziemcze – odrzekła z ociąganiem

Ubhika.

Mężczyzna uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Na imię mi Nillian – powiedział, starając się wyraźnie upodobnić swą wymowę do Ubhiki. – Przybywam z bardzo daleka.

– Skąd? – niemal automatycznie spytała Ubhika.

– Z Lukdarii – powiedział mężczyzna, ociągając się nieco, jak ktoś próbujący schronić się w fałszu, z obawą, że jego kłamstwo zostanie przejrzane.

Ubhika nie słyszała nigdy wcześniej o mieście lub krainie o takiej nazwie, ale to nie miało znaczenia. Widać było przecież wyraźnie, że obcy pochodzi z bardzo daleka.

– Nazywam się Ubhika – powiedziała, dziwiąc się w duchu swemu podenerwowaniu. – Jak widzicie, jestem wędrowną handlarką.

Przytaknął.

– Czy to znaczy, że sprzedajecie te przedmioty, które ze sobą wozicie?

– Tak. – „A niby co innego" pomyślała, przyglądając się uważnie jego twarzy. Wyglądał na silnego i pełnego życia człowieka; na mężczyznę, który potrafił dziko tańczyć, głośno śmiać się i dotrzymać kroku przy piciu. Trochę przypominał jej chłopca, w którym była zakochana kiedyś, jako bardzo młoda dziewczyna. Do niczego zresztą nie doszło; ożenił się z inną, nauczył rzemiosła garncarza i kilka lat temu zmarł.

Przywołała się do porządku i wróciła myślami do interesów. Kimkolwiek był ten mężczyzna, spytał ją, co miała do sprzedania.

– Tak – powtórzyła. – Co chcecie kupić, Nillianie?

Mężczyzna przesunął wzrokiem po dwóch wysoko załadowanych jucznych osłach.

– Macie ubrania?

– Oczywiście. – Miała wprawdzie przede wszystkim tkaniny, ale także kilka gotowych części męskiej garderoby.

– Chciałbym ubrać się jak ludzie w tej okolicy.

Ubhika rozejrzała się. Nigdzie nie widziała wierzchowca. Jeśli ten mężczyzna przychodził z tak daleka, w jaki sposób tu dotarł? Przecież raczej nie na piechotę. I dlaczego stał tutaj, jakby czekał na handlarkę? Działo się coś niepojętego.

Ale najpierw interesy.

– Macie czym zapłacić? – spytała Ubhika. – Bo takie są zwyczaje w tej okolicy – że się płaci.

Mężczyzna roześmiał się i stwierdził, machając ręką:

– Nie ma w tym nic niezwykłego, robi się tak wszędzie, w całym wszechświecie.

– Na tym zupełnie się nie znam. Tak czy siak, mam dla was ubrania, jeśli wy macie pieniądze.

– Mam pieniądze.

– Dobrze.

Ubhika zsiadła z osła i zauważyła, że spojrzenie mężczyzny powędrowało za nią. Mimo woli poruszała się energiczniej niż zwykle, jakby chciała udowodnić, że jest jeszcze młoda i zgrabna, a nie tak stara jak zdawałyby się wskazywać jej chude ciało i pełna zmarszczek, wygarbowana pogodą skóra. Chwilę później ogarnęła ją złość na samą siebie i gwałtownie wyszarpnęła z bagażu węzełek z męskimi ubraniami.

Rozwinęła go na ziemi, gdy podniosła oczy, zobaczyła, że mężczyzna wyciąga w jej stronę na dłoni kilka monet.

– U nas używamy takich pieniędzy – wyjaśnił. – Popatrzcie najpierw, czy zechcecie je przyjąć.

Ubhika wyjęła z jego dłoni jedną monetę. Wyglądała inaczej, niż wszystkie znane jej monety – dokładniej wytłoczona, błyszcząca, z metalu, jakiego nigdy wcześniej nie widziała. Piękna moneta. Ale nie pieniądz.

– Nie – powiedziała z żalem, oddając mu metalowy krążek. – Za to nie mogę wam nic sprzedać. – Miał jej przejść koło nosa nieoczekiwany interes.

Obcy przyjrzał się monecie, jakby widział ją po raz pierwszy.

– Co jest z nią nie tak? – spytał. – Nie podoba się wam?

– Ależ podoba mi się – odparła Ubhika. – Nie o to chodzi. Z pieniędzmi problem w tym, żeby podobały się innym.

Zaczęła znowu zwijać swój węzełek.

– Stop, zaczekajcie! – zawołał mężczyzna. – Zaczekajcie jeszcze chwilę. Potargujmy się. Może mogę wam dać coś na wymianę?

Ubhika zatrzymała się i zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów.

– Co na przykład?

– Nie wiem… Może moje ubranie?

Ubhika spróbowała wyobrazić sobie, kto mógłby nosić takie dziwaczne ubranie. Nikt, będący przynajmniej z grubsza przy zdrowych zmysłach. A czy dałoby się je przerobić na coś innego, wydawało się to niełatwe… Potrząsnęła głową.

– Nie.

– Zaczekajcie. To coś innego. Tutaj, moja bransoleta. Dostałem ją od mojej matki; ma naprawdę wielką wartość.

Nie potrafi się targować, pomyślała rozbawiona Ubhika. Koniecznie chciał dostać jej nędzne ubrania i nawet nie próbował tego ukryć. Był jak otwarta książka. Każdym swoim ruchem mówił: proszę, daj mi je; zapłacę ci za nie, co tylko zechcesz. Prawie było go jej żal.

– Nie macie naszych pieniędzy, Nillianie i po waszej mowie można poznać, że przybywacie z daleka – powiedziała. – Nie na wiele wam się zda ubierać jak człowiek stąd.

– Bransoleta – powtórzył i wyciągnął w jej stronę ozdobę, noszoną przez siebie, o ile Ubhika dobrze pamiętała, na prawym przegubie. – Jak wam się podoba?

Wyjęła z jego dłoni bransoletę i zadrżała, czując, jak jest ciężka i chłodna. Wykonano ją z gładkiego, połyskującego złoto metalu i przyozdobiono po zewnętrznej stronie delikatnym, mieniącym się wzorem. Gdy przyglądała się z bliska rysunkowi, poczuła dobywający się z bransolety silny zapach, ciężką, łojowatą woń, przypominającą tłusty odór wydzielany przez młode bawoły. Musiał nosić tę obręcz od dawna. Może dzień i noc, odkąd podarowała mu ją matka.

Czy to była prawda? I co mogło kogoś skłonić, by podarek od matki, do tego jeszcze tak wartościowy, wymieniać na kilka nędznych łachów?

Wszystko jedno.

– Bierzcie, co chcecie – Ubhika usłyszała swoje słowa, całkiem zatopiona w podziwianiu bransolety.

– Musicie mi powiedzieć, czego potrzebuję! – zaprotestował mężczyzna.

Ubhika z westchnieniem pochyliła się nad węzełkiem i wyłowiła spodnie z grubo tkanego materiału i kurtkę, jaką nosili pasterze. Oczywiście nie miała pasterskich wysokich butów; zamiast tego dała mu parę zwykłych sandałów.

– To mi przecież nie będzie pasować.

– Nieprawda, to dokładnie wasz rozmiar.

– Uwierzę dopiero po przymiarce – odrzekł mężczyzna i zaczął, ku bezgranicznemu zaskoczeniu Ubhiki, zrzucać swoje ubranie.

Odwrócił się jednak przy tym tyłem. Górną część swego stroju rozpiął na szwie, który otworzył się, wydając dźwięk podobny do cmoknięcia i wysunął ramiona z rękawów. Ukazał się nagi, mocny tors, połyskujący jedwabiście w słońcu. Mężczyzna tymczasem zaczął rozpinać pas.

Ubhika, która z wrażenia zapomniała oddychać, przerażona wstrzymała powietrze i mimowolnie rozejrzała się na wszystkie strony w obawie, że ktoś może ich obserwować. Jeszcze nigdy nie zdarzyło się, żeby rozbierał się przy niej mężczyzna!

Obcemu jednak wydawało się nie robić to żadnej różnicy. Zdjął dolną część ubrania i naciągał nowo nabyte spodnie.

Ubhika stała i wpatrywała się w nagie, muskularne plecy, znajdujące się tak blisko, że wystarczyłoby wyciągnąć ramię, by ich dosięgnąć. Rzeczywiście swędziała ją ręka. Dlaczego nie? Zadawała sobie pytanie i niemal nie mogła opanować pragnienia, by dotknąć gładkiej, błyszczącej skóry mężczyzny, tylko po to, by poczuć, jaka jest w dotyku. Widziała też jego pośladki, małe i twarde, osłonięte tylko obcisłym, niewiarygodnie gładko przylegającym kawałkiem tkaniny i

czuła dziwnie ciepłą falę rozchodzącą się w podbrzuszu.

W głowie pojawiła się szalona myśl…

Niezdecydowanie obracała w palcach bransoletę. Wzory na niej połyskiwały przecudnie. Oddać mu bransoletę i poprosić, żeby w zamian robił z nią te rzeczy, które mężczyzna robi z kobietą, tylko ten jeden jedyny raz…

Co za szalona myśl. Energicznie wsunęła bransoletę na przegub lewej dłoni. Wykluczone. Nie chciała doświadczyć jego odmowy i usłyszeć, jak mówi, że jest dla niego za stara.

– Rzeczywiście – usłyszała, jak on mówi, nie mając pojęcia o jej rozterkach. Rozkładał ręce na wszystkie strony i przyglądał się, jak leży ubranie. – Naprawdę pasuje.

Ubhika nic nie powiedziała, bała się tylko, że widać po niej jej myśli.

Ale obcy, któremu było na imię Nillian, uśmiechał się do niej w roztargnieniu i zbierał swoje rzeczy. Błyszczący strój zwinął w węzełek, wcisnął pod pachę, a pas przewiesił przez ramię. Podziękował jej przyjaźnie, powiedział jeszcze kilka słów, których treść do niej nie dotarła, choć później przypominała sobie, że coś mu odpowiadała. Potem pożegnał się.

Patrzyła za nim, gdy oddalał się, odchodząc na przełaj. Nie w kierunku miasta. Zatrzymał się jeszcze przed zapadliskiem, odwrócił się do niej i pomachał ręką. Potem zniknął z oczu.

Ubhika stała jeszcze przez dłuższy czas i nie widząc, wpatrywała się przed siebie. Jakiś czas potem otrzeźwiała, podniosła lewe ramię i przyjrzała się bransolecie. Była tam naprawdę. To nie był sen.

Nagle opanowało ją uczucie, jakby wokół, za każdą skałą i każdym wzgórzem siedzieli ludzie, szeptem opowiadający sobie tajemnice, o których jej nie wolno było się dowiedzieć. W pośpiechu pozbierała pozostałe części ubrań, zwinęła je w węzełek i zapakowała. Potem chwyciła lejce obu jucznych osłów, dosiadła swego wierzchowca i pognała go, uderzając łydkami. W piersiach czuła ucisk, którego nie potrafiła sobie wyjaśnić.

Starała się nie myśleć o wieczorze. Dzisiejsza noc na pewno nie będzie łatwa.

Przybysz z daleka

– Jałowa planeta, w większej części pokryta pustynią i stepem. Zaludnienie około trzysta do czterystu milionów. Wiele miast średniej wielkości, wszystkie w ruinie. Znikome ilości minerałów, rolnictwo uprawiane w niezwykle ciężkich warunkach. Brak wody.

Co podziwiał w Nillianie, to jego niewiarygodny dynamizm, niemal zwierzęcą energię, wręcz promieniował nią, dodawała mu jakiejś dzikości, nieokiełznania. Działo się tak może dlatego, że Nillian zdawał się wiele nie zastanawiać; jego słowa, działania i decyzje wynikały raczej z intuicji, niewymuszone, proste, niezbyt przemyślane. Od kiedy latał razem z Nillianem, Nargant coraz częściej uświadamiał sobie, że jego własne myśli biegły po torach pełnych niezliczonych zakrętów, nawet gdy chodziło o zupełnie błahe decyzje, że właściwie automatycznie wdawał się w roztrząsanie problemu z każdej strony i rozpatrywanie wszelkich ewentualności, na które tracił mnóstwo energii.

Obserwował Nilliana z boku. Młody drugi pilot siedział w fotelu wygodnie rozparty, odprężony, przy ustach przymocował mikrofon aparatury nagrywającej, uważnie studiował monitory i wskaźniki instrumentów do zdalnej analizy. Jego skupienie było wyczuwalne niemal fizycznie. Na ekranach widoczne były różne ujęcia powierzchni planety, szarobrązowe, bez widocznych szczególnych konturów. Komputer wyświetlił kilka białych linii, zdanymi o dokładności analizy.

– Instrumenty coś wskazują – kontynuował Nillian – co z pewnym prawdopodobieństwem może być pozostałością po wysoko rozwiniętej cywilizacji. Z kosmosu można gołym okiem zobaczyć proste linie, których zabarwienie pozwala przypuszczać, że są to fundamenty dawnych wielkich budowli. Bardzo wielkich budowli. W atmosferze zmierzyłem produkty rozpadu pierwiastków radioaktywnych; niskie promieniowanie szczątkowe. Prawdopodobnie wojna atomowa sprzed kilkudziesięciu tysięcy lat. Istnieje niska aktywność elektromagnetyczna, podejrzewam rodzaj prostej komunikacji radiowej, ale nie zlokalizowaliśmy żadnych dużych źródeł energii. Innymi słowy – wnioskował, a jego głos przybrał odcień poirytowanej ironii – rysuje się taki sam obraz jak wszędzie. Nie sądzę, byśmy mieli coś odkryć, jeśli będziemy dalej rezygnowali z lądowania na obserwowanej planecie. Jest to oczywiście moje prywatne zdanie, ale nie miałbym nic przeciwko temu, żeby kierownictwo ekspedycji potraktowało je jako sugestię. Raport złożył Milian Jegetar Cuain, z pokładu statku KALYT-9. Czas standardowy 15-3-178002, ostatnie skalowanie 4-2. Pozycja kwadrant 2014-BQA-57, na orbicie drugiej

planety słońca G-101, koniec.

– Chcesz to tak wysłać?

– A dlaczego nie?

– Te ostatnie uwagi są przecież nieco… zuchwałe, prawda?

Nillian złośliwie uśmiechnął się, potrząsając głową, pochylił się nad pulpitem aparatury nadawczej i kilkoma wprawnymi ruchami rąk spowodował wysłanie swojego raportu z obserwacji planety.

– Problem z tobą, Nargancie, polega na tym – wyjaśnił potem – że jesteś taki nieżyciowy. Wpojono ci przekonanie, że przepisy są ważniejsze od faktów widocznych gołym okiem i że najmniejsze nieposłuszeństwo natychmiast cię zabije. Nie nauczono cię wiele ponad to, ale posłuszeństwo tak weszło ci w krew, przeniknęło do szpiku kości, że kiedy po twej śmierci ktoś rozkroi twoje zwłoki, zapewne zamiast szpiku zobaczy skrystalizowane posłuszeństwo.

Nargant wpatrywał się w swoje dłonie, jakby próbował przejrzeć na wskroś skórę i stwierdzić, czy Nillian ma rację.

– Nie zrobisz już ze mnie rebelianta, Nillianie, zamruczał niepewnie.

Śmieszne, że sam to czuł. Odkąd odbywał loty z dawnym rebeliantem i porównywał się z nim, sam sobie wydawał się skamienieliną.

– Nie możesz już zostać rebeliantem, cesarski żołnierzu – odparł Nillian. Teraz spoważniał. – Na szczęście to już niepotrzebne. Ale bardzo bym się ucieszył, gdybyś mógł trochę zapomnieć o starym warunkowaniu. Nie tylko ze względu na ciebie, ale i dla mnie. Jak długo jesteśmy już w drodze? Prawie czterdzieści dni. Czterdzieści dni, tylko ty i ja w tym małym statku rozpoznawczym i prawdę mówiąc: właściwie ciągle nie wiem, czy ty mnie właściwie lubisz. Czy może wytrzymujesz ze mną tylko dlatego, że taki masz rozkaz.

– Nieprawda – powiedział Nargant. – Dosyć cię lubię. – Zabrzmiało to okropnie oschle. Czy ja kiedykolwiek mówiłem komuś takie rzeczy? – zastanowił się przerażony.

– Dziękuję. Ja ciebie oczywiście też lubię, dlatego złości mnie, gdy postępujesz ze mną tak drętwo, jakbym po powrocie miał złożyć raport o twoich przekonaniach do komisji kapłańskiej albo co najmniej do Rady Rebeliantów.

– Drętwo…?

– Tak! Ostrożnie, uważnie, żeby tylko nie powiedzieć nic niewłaściwego i wszystko wykonać prawidłowo… Wydaje mi się, że powinieneś codziennie rano i wieczorem stawać przed lustrem i powtarzać sobie głośno: „Cesarza już nie ma!" I tak przez kilka lat.

Nargant zastanawiał się, czy Nillian mówi poważnie.

– Mógłbym spróbować.

– Chodzi po prostu o to, żebyś wyłączał czasem tego przeklętego

cenzora, który siedzi w twoim mózgu i mówił wprost, co ci przyjdzie do głowy, nie przejmując się, co ja o tym pomyślę. Myślisz, że mógłbyś – przynajmniej od czasu do czasu?

– Postaram się. – Czasem rebeliant irytował go. Czemu na przykład teraz zaśmiał się z jego odpowiedzi?

– A myślisz, że mógłbyś czasem naruszyć kilka przepisów? Kilka instrukcji potraktować trochę dowolniej?

– Hmm… nie wiem. Co na przykład?

W oczach Nilliana pojawił się jakby cień spisku.

– Na przykład instrukcję, że nie wolno nam lądować na żadnej planecie.

Nargant wstrzymał oddech.

– Nie zamierzasz chyba…?

Nillian przytaknął gwałtownie, jego oczy błyszczały z ochoty na to przedsięwzięcie.

– Ale to niemożliwe! – Sama myśl o tym była dla Narganta niepojęta. Ta rozmowa działała na niego jak ściskanie imadłem. Poczuł szybsze bicie serca. – Mamy surowy zakaz – surowy! – lądowania na planetach, które obserwujemy.

– I nie wylądujemy – Nillian uśmiechnął się szeroko. Trudno było rozstrzygnąć, czy był to uśmiech złośliwy, czy zadowolony, czy jedno i drugie. – Tylko troszkę zanurzymy się w atmosferze…

– A potem?

– Wysadzisz mnie w łodzi ratunkowej.

Nargant odetchnął głęboko i zacisnął pięści. W skroniach mocno pulsowała mu krew. Spojrzał w bok, zatrzymał wzrok na jednej z obcych gwiazd, cicho i zagadkowo migocącej za lukiem. Ona jednak także nie umiała mu pomóc.

– Nie wolno nam tego zrobić.

– Dlaczego nie?

– Bo to byłoby przekroczenie wyraźnego rozkazu!

– Ojej – pokiwał głową Nillian. – Okropne. – I milczał.

Nargant unikał jego spojrzenia; znał byłego rebelianta na tyle dobrze, by wiedzieć, że ten obserwuje go bez przerwy. Planeta G-101/2 wisiała nad nimi jak wielka, brudna piłka. Gołym okiem nie było na niej widać miast.

– Nie wiem, na co liczysz – westchnął w końcu Nargant.

– Chcę zdobyć informacje – odpowiedział Nillian. – Nie wiemy wiele, ale jednego możemy być pewni: Nigdy nie dowiemy się, co się tutaj dzieje, podlatując od jednej planety do drugiej i robiąc na orbicie standardowe pomiary.

– Dowiedzieliśmy się już przecież całkiem dużo – sprzeciwił się Nargant. – Wszystkie planety, do których do tej pory podlecieliśmy, zamieszkane są przez ludzi. Wszędzie znajdujemy planetarne

cywilizacje na dosyć prymitywnym poziomie. I wszędzie są ślady dawnej wojny, podczas której użyto broni atomowej.

– Nudy – stwierdził młody drugi pilot. – To wszystko właściwie potwierdza tylko to, co i tak już wiedzieliśmy.

– Ale to były tylko legendy, trudne do uwierzenia opowiadania garstki bajarzy. Dopiero teraz potwierdziliśmy je osobiście.

Nillian podniósł się tak gwałtownie, że Nargant cały zadrżał.

– Czy ty tego nie czujesz? – zawołał podniecony. – Przemierzamy galaktykę, która najwyraźniej od niepamiętnych czasów należała do cesarstwa, a nie jest zaznaczona na żadnej gwiezdnej mapie! Odkryliśmy zaginioną część imperium, o której w cesarskim archiwum nie ma żadnych dokumentów. I nikt nie wie, dlaczego. Nikt nie wie, co tu znajdziemy. To przecież niewiarygodna tajemnica!

Opadł na fotel, jakby ten wybuch go wyczerpał.

– Jeśli do tego uzmysłowić sobie, że w ogóle ślad tej tajemnicy wyszedł na jaw tylko dzięki całemu łańcuchowi przypadków… – Zaczął wyprostowanymi palcami rysować w powietrzu dziwne kręgi. – Trzeba było tych wszystkich przypadków, żebyśmy przylecieli tutaj. Namiestnik Eswelundu, który kazał wyśledzić kryjówkę przemytników, jakby nie miał nic ważniejszego do roboty… technik, który, zamiast po prostu wykasować zawartość pamięci pokładowej skonfiskowanego statku kosmicznego, przeglądał ją i odkrył mapy gwiezdne galaktyki Gheera… głosowanie w Radzie uchwaliło naszą ekspedycję większością tylko jednego głosu… I oto jesteśmy tutaj. Naszym cholernym obowiązkiem jest dowiedzieć się tak wiele, ile tylko możliwe, o tym, co się tutaj dzieje i jak mogło dojść do tego, że cała ogromna część imperium cesarza od dziesiątków tysięcy lat była zagubiona i zapomniana.

Nargant milczał. Wskazującym palcem powoli przesuwał po popękanym obiciu gałki głównego steru, chropowatym w miejscach, gdzie przez pęknięcia i rysy wystawało sztuczne tworzywo.

– Co zamierzasz? – Chciał zapobiec ewentualnym zarzutom w przyszłości, że brał w tym udział.

Nillian westchnął.

– Wysadzisz mnie w atmosferze. Wylądуję kapsułą w pobliżu jakiejś osady i spróbuję nawiązać kontakt z mieszkańcami.

– Jak chcesz porozumieć się z tymi ludźmi?

– Sądząc po radiotelegramach, które uchwyciliśmy, tam na dole mówi się starą odmianą Paisi. Może będę musiał trochę się przyzwyczaić, ale myślę, że sobie poradzę.

– A jeżeli nie?

Nillian wzruszył ramionami.

– Może będę udawał głuchoniemego. Albo spróbuję nauczyć się ich języka.

Podniósł się z fotela.

– Coś wymyślę. – Mówiąc to, zszedł po wąskiej drabince prowadzącej do dolnej części statku kosmicznego.

Nargant pojął, że rebeliant nie pozwoli odwieść się od swego zamiaru, więc zrezygnował z oporu. Pogodzony z losem zszedł za nim na dół i pełen złych przeczuć przyglądał się, jak Nillian ładuje do kapsuły sprzęt – namiot, przeznaczony właściwie do lądowań awaryjnych, trochę prowiantu i kilka mierników, używanych do badań powierzchni planet, a które podczas tej wyprawy właściwie powinny były pozostać zamknięte w szafie.

– Weź broń.

– Nonsens.

– A co zrobisz, jeśli znajdziesz się w niebezpieczeństwie? Ci na dole są w końcu ludźmi!

Nillian zatrzymał się i obejrzał. Ich spojrzenia spotkały się.

– Liczę na ciebie, partnerze – powiedział w końcu młody rebeliant z osobliwym uśmiechem, którego Nargant nie potrafił sobie wytłumaczyć.

Napęd zawył przez chwilę, statek wyhamował na tyle, że opuścił swą niską orbitę i zanurzył się głębiej. Planeta stawała się coraz większa, wkrótce cały statek przeniknął przeraźliwy gwizd cząstek atmosfery, z ogromną prędkością ocierających o powłokę. Gwizd przeszedł w wycie, w końcu w ogłuszający huk, gdy statek kosmiczny opadał w coraz głębsze warstwy powietrza.

Nargant dalej hamował, wszedł w lot paraboliczny, by w najniższym punkcie zbliżyć się mocno do powierzchni planety i stamtąd wysłać statek z powrotem w przestrzeń kosmiczną.

– Gotów?

– Gotów.

Krótko przed osiągnięciem najniższego punktu paraboli odłączył kapsułę. Tak elegancko, jakby piloci od lat nie ćwiczyli niczego innego, dwa pojazdy rozłączyły się. Nargant wystrzelił w górę w czarne niebo i wszedł na bardzo wysoką stacjonarną orbitę, na której krążył wokół planety z szybkością zgodną z jej prędkością obrotową, pozostając w ten sposób stale mniej więcej nad miejscem, w którym wylądował Nillian. Podczas gdy cichł grzmot silników i statek kosmiczny trzeszcząc, odpoczywał po wysiłku, nawiązał łączność radiową.

Nillian nadawał bieżący raport.

– Lecę nad osadą. Można by ją niemal nazwać miastem… bardzo rozciągnięte, wiele małych chatek, wąskie uliczki, ale też szerokie drogi. Widzę trochę zieleni i ogrody. Coś w rodzaju muru otacza całą osadę, także ogrody. Za murami jest chyba tylko pustynia i step, chociaż w niektórych miejscach trochę marnej roślinności. Widać kilka

pasących się zwierząt; może zajmują się tu hodowlą bydła.

Nargant rzucił spojrzenie na nagrywarkę. Masywne urządzenie działało niestrudzenie, nagrywało każde słowo.

– Po mojej prawej stronie widzę chyba ciemną, wysoko wzniesioną formację skalną, łatwo rozpoznawalną z powietrza. Badanie pozwala spodziewać się tam jaskiń. Wyląduję; może to miejsce nada się na bazę.

Nargant skrzywił się. Jaskinie! Jakby na tej pustej planecie nie było innego – a przede wszystkim bezpieczniejszego – miejsca na postawienie namiotu ciśnieniowego.

– Och! Na terenie wokół miasta jest też kilka budynków. Niektóre dość mocno oddalone od osady; kilka godzin piechotą, na oko. Czujniki podczerwieni wykazują, że budowle są zamieszkane. Widzę jeszcze coś, to może być dym z komina.

To był obłęd. Całe przedsięwzięcie było szaleństwem. Nargant masował sobie kark i myślał, że chciałby znaleźć się daleko stąd.

– Polecę szeroką pętlą na południe, aż znów dojrzę moje skały. Nadają się świetnie na punkt orientacyjny. Lecę teraz do nich i wyląduję.

Nargant wyjął szmatkę i zaczął polerować osłony wskaźników. Odradzałem mu to, myślał. Powinienem był nalegać, żeby moje nieprzychylne stanowisko zostało odnotowane w księdze pokładowej.

Dał się słyszeć twardy odgłos siadania płóz lądowniczych, potem wycie wyłączanego silnika grawitacyjnego.

– Wylądowałem. Otwieram luk i oddycham już atmosferą planetarną. Powietrze nadaje się do oddychania, jest dosyć ciepłe i pełne zapachów – czuć je kurzem i odchodami, jest tu jeszcze słodszy zapach, jakby zgnilizny… Oczywiście jestem przeczulony, po tym jak miesiącami wdychałem tylko sterylne powietrze na statku, ale myślę, że obejdę się bez filtrów. Wysiądę teraz i przeszukam skały wokół, by znaleźć odpowiednie miejsce pod namiot.

Nargant westchnął i spojrzał w górę. Przez luk obserwacyjny z prawej strony widział większy z dwu księżyców planety. Ten drugi okrążał ją w przeciwnym kierunku w ciągu mniej niż dwóch dni planetarnych. Jednak w tej chwili mniejszy księżyc był niewidoczny.

– Tu jest dość skalisto i stromo. Przerwę chyba na jakiś czas łączność, zawieszę aparat na pasie i użyję rąk. A właściwie słyszysz mnie jeszcze, Nargant?

Nargant pochylił się nad mikrofonem i przycisnął guzik.

– Oczywiście.

– To uspokajające, wiedzieć o tym. – Usłyszał, jak Nillian się śmieje. – Przyszło mi właśnie do głowy, że jestem kilka milionów lat świetlnych od domu i że na piechotę to trochę daleko, gdybyś mnie tu zostawił. No, to na razie.

Krótki trzask i głośnik zamilkł. Nagrywarka zatrzymała się automatycznie. Narganta otoczyły dobrze znane odgłosy statku kosmicznego: prawie niesłyszalne buczenie wentylacji, od czasu do czasu niesamowicie brzmiący dźwięk z maszynowni, różnorakie szmery i stuki instrumentów na pulpicie sterowniczym.

Po kilku minutach Nargant przyłapał się na tym, że wpatruje się jak zahipnotyzowany w zegar pokładowy i czeka na następny kontakt radiowy. Rozdrażniony wstał i zszedł do luku wypoczynkowego, by się czegoś napić.

Pojął, że złości się sam na siebie. „Nillian ma teraz swoją przygodę, a ja wiszę na orbicie i zdycham z nudów".

Trwało niepokojąco długo, nim Nillian zgłosił się po raz drugi.

– Miałem już pierwszy kontakt z tubylcem. Starszy mężczyzna. Porozumienie udało się lepiej, niż oczekiwałem. Ale chyba trochę się zmieszał tym, co powiedziałem. Właściwie myślałem, że to całkiem bezludna okolica, ale według niego są tu jakieś szlachetne kamienie i ludzie czasem przychodzą ich szukać. W ogóle był bardzo rozmowny; miło nam się rozmawiało. Ciekawe, że oni tutaj wciąż uważają cesarza za nieśmiertelnego, boskiego władcę, choć poza tym nie wiedzą wiele o imperium. Gdy opowiedziałem mu o rebelii, nie uwierzył w ani jedno słowo.

Nargant pamiętał jeszcze dobrze taki czas w swoim życiu, gdy także dla niego cesarz był centrum wszechświata. Nawet teraz, po dwudziestu latach prowadzonej z trudem, krwawej sekularyzacji, ciągle czuł w sercu ból w miejscu, w którym kiedyś była tamta wiara; ból, mający coś wspólnego ze wstydem, z poczuciem, że zawiódł – i ze stratą.

Młody rebeliant miał lepiej. Był wówczas jeszcze dzieckiem i gdy go wychowywano, nie został poddany działaniu miażdżącego wszystko aparatu kasty kapłanów. Nie podejrzewał nawet, jakie męki musiał znosić ktoś taki jak Nargant, do końca życia.

– Na szczęście wylądowałem łodzią w słabo widocznym miejscu; nie sądzę, by ją zobaczył. Mimo to poszukam sobie innego miejsca na nocny obóz.

Reszta dnia minęła spokojnie. Nillian latał w różne miejsca i robił zdjęcia, które posyłał zaraz drogą radiową do statku. Nargant mógł oglądać na monitorze obrazy rozległych, pustych krajobrazów, stare, krzywe, rozpadające się chaty i ledwie widoczne wąskie wydeptane ścieżki, ciągnące się bez końca przez skaliste wąwozy.

Następnego ranka Nillian porzucił swój pierwotny zamiar, by wejść do miasta i rozejrzeć się, zamiast tego spędził cały dzień na szukaniu samotnych wędrowców, podróżujących piechotą albo na małych wierzchowcach. Lądował w bezpiecznej odległości, podchodził do nich i wypytywał. Podczas jednego z takich kontaktów nabył od

pewnej starej kobiety kompletny tubylczy strój, dając na wymianę swą niesłychanie kosztowną bransoletę. Ta ofiarność zrobiła wielkie wrażenie na Nargancie, musiał przyznać, że uspokajała go również ostrożność w postępowaniu rebelianta.

W południe następnego dnia Nillian odkrył mężczyznę, który najwidoczniej zabłądził na pustyni.

– Obserwuję go już jakiś czas. Nie mogę zrozumieć, dlaczego podróżuje tutaj piechotą; może iść tylko z miasta, a stamtąd jest tu co najmniej jeden dzień drogi. Tam na dole panuje bezlitosny upał i nigdzie nie ma wody. On co chwilę upada. – Milczał przez chwilę. – Teraz już nie wstaje. Prawdopodobnie stracił przytomność. No cóż, tym sposobem oszczędzę mu widoku mego pojazdu. Lądуję.

– Wstrzyknij mu środek uspokajający – poradził Nargant. – Bo obudzi ci się w kapsule, a nie wiesz, jak zareaguje.

– Dobry pomysł. Która to fiołka? Ta żółta?

– Tak. Daj tylko pół dawki; ma chyba dosyć osłabiony układ krążenia.

– W porządku.

Nargant rozpoznawał po dźwiękach, dobywających się z głośnika, że Nillian podnosi nieprzytomnego i transportuje go w chłodne, cieniste miejsce. Tam wlał w niego półtorej butelki wody. Potem czekali, aż uratowany ocknie się.

– Nargant, tu Nillian.

Nargant podskoczył. Zdrzemnął się w fotelu pilota.

– Tak?

W głośniku przez chwilę słychać było trzaski i stuki, potem Nillian spytał:

– Mówi ci coś pojęcie *włosiany kobierzec*? Nargant bezradnie podrapał się po piersiach i zastanawiał się.

– Nie – powiedział potem. – Mogę najwyżej sądzić, że chodzi o dywan zrobiony z włosów albo który tak wygląda. Dlaczego pytasz?

– Rozmawiałem przez chwilę z tym człowiekiem. Opowiedział mi, że z zawodu jest tkaczem włosianych kobierców. Zawód to może nie całkiem odpowiednie słowo; sposób w jaki o tym mówił, świadczy o tym, że to tutaj coś w rodzaju kasty zawodowej. W każdym razie upewniałem się; on naprawdę miał na myśli, że tka dywan z włosów i to ludzkich.

– Z ludzkich włosów? – Nargant wciąż próbował do końca się obudzić. Dlaczego Nillian opowiada mu to wszystko?

– To musi być pracochłonne zajęcie. Jeśli nie zrozumiałem go źle, potrzeba całego życia na utkanie jednego jedynego włosianego kobierca.

– Brzmi to dość dziwacznie.

– To samo mu powiedziałem, co zupełnie zbiło go z tropu. Tkanie

tych dywanów musi być tutaj czymś w rodzaju świętego rytuału. A po tym, że nie wiedziałem, co to jest włosiany kobierzec, poznał od razu, że pochodzę z innej planety.

Nargant nabrał powietrza.

– I co mu powiedziałeś?

– Przyznałem mu rację. Dlaczego nie? Wydaje mi się interesujące, że ci ludzie tutaj wiedzą o innych zamieszkałych światach; nie spodziewałem się, bo wszystko wygląda raczej prymitywnie.

Ku własnemu zdumieniu Nargant zauważył, że drżą mu ręce. Dopiero teraz poczuł, że zrobiło mu się niedobrze, mdliło go ze strachu. Powstało w nim napięcie, które minie dopiero wtedy, gdy skończy się ta przygoda i Nillian będzie znowu na pokładzie, napięcie, którym wbrew wszelkiemu rozsądkowi próbował ochronić ich obu przed następstwami oczywistej niesubordynacji.

– Co zamierzasz? – spytał, licząc na to, że jego głos nie zdradzi, co się z nim dzieje.

– Te włosiane kobierce mnie interesują – oświadczył Nillian beztrosko. – Poprosiłem go, żeby pokazał mi dywan, nad którym pracuje, ale on mówi, że nie może. Nie mam pojęcia, dlaczego; mamrotał coś, nie mogłem zrozumieć. Ale mamy odwiedzić jego kolegę, innego tkacza włosianych kobierców i tam będę mógł obejrzeć dywan.

To była sprawa ciała. Jego umysł wiedział, że rebelianci inaczej pojmują dyscyplinę, ale jego ciało nic o tym nie wiedziało. Jego ciało wolało umrzeć, niż zlekceważyć rozkaz.

– Kiedy tam będziecie?

– Podałem mu preparat wzmacniający; czekam jeszcze, aż zadziała. Może z godzinę. Ten człowiek jest wycieńczony. Ale nie sposób z niego wyciągnąć, czego właściwie szukał na pustyni. Dość tajemnicza jest ta historia.

– Masz na sobie tubylcze ubranie?

– Oczywiście. Zresztą bajecznie niewygodne; drapie w miejscach, o których nawet nie wiedziałeś, że je masz.

– Kiedy zgłosisz się znowu?

– Natychmiast po wizycie u tamtego tkacza. Mamy przed sobą dwie albo trzy godziny marszu; na szczęście słońce stoi już dość nisko, nareszcie nie jest tak okropnie gorąco. Możliwe, że zaproszą nas na nocleg, oczywiście nie odmówię.

– Nadajnik radiowy bierzesz na wszelki wypadek ze sobą?

– Naturalnie. – Nillian roześmiał się. – Hej, martwisz się o mnie?

Przy tych słowach Nargant poczuł ukłucie. Właściwie nie, dotarło do niego i wydał się sobie szpetny i nikczemny. Właściwie martwił się tylko o siebie, o to, co stanie się z nim, jeśli Nilliana spotka coś złego. Nie zasługiwał na sympatię, którą darzył go młody rebeliant, gdyż nie

potrafił jej odwzajemnić. Potrafił jedynie zazdrościć mu swobody i wewnętrznej wolności, sam sobie wydawał się kaleką.

– Jestem śmiertelnie zmęczony – stwierdził wymijająco. – Spróbuję się trochę przespać. Powodzenia. Koniec.

– Dziękuję. Koniec. – odrzekł Nillian. Rozległ się głośny trzask, i nagrywarka wyłączyła się automatycznie.

Nargant siedział dalej w fotelu, oparł głowę i przymknął oczy. Zdawało mu się, że czuje wibrowanie swoich gałek ocznych. Na pewno nie będę mógł spać, pomyślał. Ale zasnął, nim udało mu się ponownie podnieść powieki. Zapadł w niespokojny sen.

Gdy się obudził, trwało dobrą chwilę, nim przypomniał sobie, gdzie jest i co się wydarzyło. Spojrzał otępiały na cyfry zegara pokładowego i bezskutecznie próbował obliczyć, jak długo spał. Jednak licznik nagrywarki nie poruszył się jeszcze, a to świadczyło o tym, że Nillian nie zgłaszał się ponownie.

Podszedł do luku obserwacyjnego i wyjrzał w dół, na potężną atmosferę planety. Nieskończona, ciągnąca się od bieguna do bieguna strefa świtu nad brudno-brązową powierzchnią. Nagle z przerażeniem uświadomił sobie, że w okolicy, w której przebywał Nillian, był już wczesny poranek. Spał całą noc.

A Nillian się nie zgłosił.

Sięgnął po mikrofon i zbyt gwałtownym ruchem włączył nadajnik.

– Nillian?

Czekał, ale nic nie przerywało ciszy. Ponowił bardziej formalnie:

– KALYT-9 wzywa Nilliana Jegetara Cuaina, proszę zgłoś się! – To także nic nie dało.

Czas mijał, a Nillian nie zgłaszał się. Nargant siedział w fotelu pilota i powtarzał do aparatu radiowego raz za razem imię Nilliana, godzinami. Cofnął nagrywarkę, odsłuchał nagrania, ale naprawdę nic tam nie było, żadnej wiadomości od Nilliana. Nie zdawał sobie sprawy, że zagryza stale dolną wargę, aż zaczęła już krwawić.

Czuł się jak rozrywany przez dwie siły, szarpiące go dwa żywioły. Z jednej strony rozkaz, wyraźny, jednoznaczny i nieodwołany, by nie lądować na obserwowanych planetach, i zamiłowanie do subordynacji, z której niegdyś był tak dumny. Od początku wiedział, że to się nie uda, od samego początku. Pojedynczy człowiek, sam na nieznanej planecie, w nieznanej kulturze, z którą unia światów nie miała kontaktu od dziesiątków tysięcy lat – cóż innego mógł tam zdziałać, niż znaleźć własną śmierć?

Z drugiej strony było to nowe uczucie przyjaźni, świadomość, że gdzieś tam na dole człowiek znajduje się może w niebezpieczeństwie i całą nadzieję pokłada w nim, człowiek, który w niego wierzył i zabiegał o jego przyjaźń, mimo że widział, iż dawnemu cesarskiemu żołnierzowi takie rzeczy nie przychodzą łatwo. Może właśnie teraz, w

tym momencie, Nillian wznosi oczy ku ciemnemu nocnemu niebu, wiedząc, że jest tam mały, kruchy statek kosmiczny, i czeka na ratunek.

Nargant głęboko odetchnął i wyprostował się. Podjął decyzję, to zdecydowanie dodało mu sił. Wyćwiczonymi ruchami dłoni przygotował aparaturę do nadania wiadomości z raportem.

– Tu mówi Nargant, pilot statku kosmicznego KALYT-9. Wzywam ciężki krążownik TRIKOOD pod komendą Jeroma Karswanta. Uwaga, to raport awaryjny!

Przerwa. Nie zwracając uwagi na swoje ruchy, Nargant otarł z czoła krople potu. Miał uczucie, jakby nie chodziło tu o wiadomość, ale jakby musiał we wszystko, co było do powiedzenia i do zrobienia, angażować się całym ciałem, ze wszystkich sił. Wiedział, że nie może zbyt długo się zastanawiać, inaczej nie nada w końcu tego raportu. Po prostu mówić i natychmiast wysłać, a potem niech się dzieje, co chce. Zwolnił przycisk przerwy.

– Naruszając nasze rozkazy, mój partner Nillian Jegetar Cuain udał się przed trzema dniami czasu standardowego na powierzchnię planety G-101/2, by prowadzić dalsze badania wśród jej mieszkańców. Ostatni meldunek nadał osiem godzin temu. Należy przywołać następujące fakty… – Sformułował krótki i rzeczowy raport, nie przejmując się drżeniem nóg. – Proszę o instrukcje. Nargant, z pokładu KALYT-9. Czas standardowy 18-3-178002, ostatnie skalowanie 4-2. Pozycja kwandrant 2014-BQA-57, na orbicie drugiej planety słońca G-101, koniec.

Gdy uruchomił nadawanie, był mokry od potu. Teraz sprawy pójdą swoim biegiem. Wypromieniowany meldunek pędził, rozłożony na cząsteczki informacji o niepojętym wymiarze, ku swemu celowi i nikt nie mógł go już cofnąć. Nargant opuścił mikrofon i przygotował się na długie oczekiwanie. Był zmęczony, ale wiedział, że nie będzie mógł spać.

Podczas następnych godzin ciągle powtarzał imię Nilliana przez elektromagnetyczny aparat radiowy. Zdawało mu się, że jego nerwy rozgrzane są do białości, dręczyło go przeczucie zbliżającego się nieszczęścia.

Nagle rozbłysło pomarańczowo-czerwone światełko sygnalizatora aparatury nadającej, nagrywarka włączyła się automatycznie. Nargant poderwał się z niespokojnej drzemki. Zgłosił się okręt flagowy floty Gheera!

– Tu krążownik TRIKOOD. KALYT-9, potwierdzam przyjęcie waszej wiadomości czasu standardowego 15-3-178002. Kierownictwo wyprawy poleca wam przerwać badania i jak najszybciej wrócić. Koniec.

Wydawało się, że czas stanął. Nargant nie słyszał nic poza dzikim

biciem własnego serca i grzmotem wrzącej krwi w uszach. Zdawało mu się, że słyszy: – Błąd! Błąd! Błąd – skandowane w rytm uderzeń serca. Popełnił błąd. Dopuścił do tego, że popełniono błąd. Był nieposłuszny, teraz zostanie bezwzględnie ukarany. Wszystko, co mógł jeszcze zrobić dla ratowania swego honoru, to powrócić tak szybko i pokornie, jak tylko możliwe i przyjąć swą karę.

Dłonie Narganta śmigały nad pulpitami. Szepty i szemranie instrumentów na pulpicie sterowniczym zamarły, gdy zbudziły się ogromne maszyny w głębi statku i wprawiły w drżenie zewnętrzne warstwy. Strach wymazał wszystkie myśli, nawet wspomnienie Nilliana. Igła wskaźnika wspinała się z czerwonego ku zielonemu obszarowi, nieforemne agregaty z głuchym buczeniem pompowały energię do napędu, potem Nargant przyspieszył, skierował mały statek ku ciemnemu sklepieniu obsypanemu gwiazdami. Każdy ruch wykazywał ćwiczoną przez całe życie rutynę; mógłby prowadzić statek nawet na wpół żywy. Bez żadnego zbędnego ruchu dłoni przygotował nadświetlną fazę lotu i po chwili KALYT-9 przeszedł do wymiaru, w którym panują inne prawa. Nie ma w nim ograniczenia prędkości, ale każdy jest sam. Do statku, znajdującego się w tej niepojętej nadprzestrzeni, nie docierają żadne radiowe informacje.

Dlatego Nargant rozminął się o parę minut z właściwą odpowiedzią na swe wołanie o pomoc.

– KALYT-9, tu mówi komandor Jerom Karswant ze statku TRIKOOD. Uwaga, niniejszym odwołuję ostatni rozkaz, jaki otrzymaliście. Była to standardowa instrukcja wysłana do wszystkich łodzi. Nargant, pozostańcie na orbicie G-101/2 i próbujcie nadal nawiązać kontakt z Nillianem. Wysyłam do was lekki krążownik SALKANTAR. Proszę wymierzyć najbliższy punkt zanurzenia dla statku tej wielkości i wysłać dokładne współrzędne, żeby SALKANTAR dotarł do was jak najszybciej! Powtarzam: Nie wracajcie do bazy, lecz utrzymajcie swoją pozycję i wspierajcie przylot SALKANTARA. Pomoc jest w drodze.

Dużo później, po dotarciu statku KALYT-9 do bazy ekspedycji Gheera i po wielokrotnych kontaktach z SALKANTAREM, który próbował sam dolecieć do gwiazdy G-101, jednak bezskutecznie, gdyż mapy były niedokładne i zawierały błędy, Nargant zrozumiał, że opanowany paniką nie zwrócił uwagi na fakt, że wiadomość, którą uznał za odpowiedź na swoje wołanie o pomoc, przybyła o wiele za wcześnie, niż umożliwiały to prawa fizyki, i że chodziło w rzeczywistości o rutynową wiadomość wysłaną do wszystkich łodzi ekspedycji. Pojął też, że przez swój przedwczesny powrót pozostawił swego towarzysza Nilliana na łasce losu i najprawdopodobniej odpowiadał za jego śmierć.

Miał nieprzyjemną rozmowę z muskularnym komendantem

ekspedycji, ale stary generał rebeliantów nie ukarał go. Była to być może najcięższa kara.

Od tej pory Nargant każdego ranka, widząc w lustrze swoje odbicie, mówił głośno do siebie:

– Nie ma już cesarza. – I za każdym razem, gdy wypowiadał te słowa, czuł głęboko w sercu strach, który go okaleczał i wspominał mężczyznę, który ofiarował mu swą przyjaźń i zaufanie. Tak bardzo pragnął móc je odwzajemnić, lecz nie potrafił.

Poborca podatków

Od wielu dni wiodły go znaki handlowego szlaku i właściwie nie miał powodu do obaw; grubo ciosane głazy wyznaczające drogę znajdował w regularnych odstępach, wyraźnie widoczne, trakt był twardo ubity i tylko gdzieniegdzie zawiany piaskiem. Mimo to odetchnął z ulgą, gdy wreszcie na horyzoncie pojawiła się Yahannochia.

Jego Jibarat pozostał na to obojętny. Wierzchowiec nie zmienił kołyszącego się równomiernie kroku, nie pomagało nawet popędzanie go uderzeniami dłoni. W kwestii tempa, odpowiedniego dla długich podróży po kraju, Jibarat wykazywał więcej rozsądku niż człowiek.

Widział teraz siedliska tkaczy włosianych kobierców, rozrzucone samotnie wśród wzgórz. Jedne rzucały się w oczy, kolorowe, inne – szarobure, niepozornie przyklejone do skał, zależnie od wieku i stylu budowli. Niektóre domy miały ostre dachy i mury z wypalanych na czerwono glinianych cegieł, inne znów były płaskie, zbudowane z ciosanych kamieni. Widział nawet całkiem czarny dom, z daleka wyglądał na wypalony.

Nikt nie zwrócił na niego uwagi, gdy wjechał przez bramę do miasta. Wokół biegały dzieci, kłócąc się głośno, przy narożniku domu stała grupka plotkujących kobiet. Tylko kilka razy zauważył nieomylnie rozpoznawalny strach w oczach, których spojrzenie padało na przytroczone do siodła sakwy: umieszczono na nich insygnia cesarskiego poborcy podatków.

Miał w tym mieście niezłą orientację. Niewiele zmieniło się od jego ostatniej wizyty, minęły od niej już dobre trzy lata. Bez trudu znajdował drogę przez wąskie uliczki, wiodącą między zakurzonymi, nędznymi warsztatami i ciemnymi gospodami, wzdłuż poplamionych ścian i stosów spleśniałego drewna, do siedziby starszyzny miasta.

Na jego wąsko zaciśniętych wargach igrał uśmiech. Nie oszukają go. Wyceni ich i określi wysokość podatku bez litości. Wiedzieli oczywiście, że przyjeżdża; zawsze o tym wiedzieli. Ale on był w cesarskiej służbie już od dziesiątków lat i znał wszystkie sztuczki. Nie mogli liczyć na to, że zwiodą go tymi nędznymi fasadami. Gdy lepiej poszukać, w piwnicach wiszą tłuste szynki, a w szafach leżą chusty z delikatnych tkanin.

Bezbożna banda! Ze swojej marnej egzystencji nie musieli ofiarować nic prócz tej odrobiny podatków, a nawet od tego chcieli się wymigać.

Przed siedzibą starszyzny zatrzymał swego Jibarata i nie zsiadając z niego, zastukał w okno. Wystawił przez nie głowę jakiś młodzieniaszek i zapytał o cel jego przybycia.

– Jestem Kremman, cesarski poborca podatków i sędzia. Zamelduj mnie starszyźnie.

Młodzieniec wybałuszył oczy na cesarskie znaki, pospiesznie skinął głową i zniknął.

Próbowali wszelkich sztuczek. Tam, skąd właśnie przychodził, w Brepennikach, spalili główną księgę. Oczywiście zaprzeczali, zawsze zaprzeczali – twierdzili, że w siedzibie starszyzny wybuchł pożar i to on zniszczył księgę. Tak, jakby w ten sposób mogli uniknąć płacenia podatków! A skutek był tylko taki, że musiał się tam dłużej zatrzymać. Trzeba było założyć nową księgę, na nowo wycenić każdego obywatela miasta. Nie brakło przy tym lamentów ani zgrzytania zębami, i jak zwykle łez, lecz nie zrobiło to na nim wrażenia, wykonał swój obowiązek. Wiedział, że w przyszłości będą bardziej uważać. Nie spróbują z nim więcej tej sztuczki.

Drzwi siedziby starszyzny otwarły się gwałtownie i wypadł z nich tłusty, starszy mężczyzna, wsuwając po drodze ręce w rękawy swego mocno zużytego odświętnego okrycia. Ciężko dysząc, zatrzymał się przed Kremmanem, założył do końca płaszcz i z czołem zroszonym kroplami potu podniósł wzrok na poborcę podatków.

– Bądźcie pozdrowieni, Kremmanie! – zawołał nerwowo. – To dobrze, że przybywacie, nawet bardzo dobrze, bo od wczoraj mamy tu w lochu przestępcę i nie wiemy, co z nim począć. Ale teraz wy będziecie mogli wydać sądowy wyrok…

Kremman pogardliwie spojrzał w dół na mężczyznę.

– Nie marnujcie mojego czasu. Jeśli to przestępca, to go powieście, jak stanowi prawo.

Naczelnik miasta przytaknął gwałtownie, aż wydawało się, że za chwilę się przewróci.

– Nigdy nie naprzykrzałbym się wam z tą sprawą, sędzio, gdyby chodziło o zwykłego przestępcę. Ale to nie jest normalny przestępca, to jest nawet niezwykle dziwny przestępca i jestem głęboko przekonany…

Jakież oni miewali pomysły! Gdyby tę pomysłowość wykorzystywali do pracy, zamiast stale próbować go oszukać!

Powstrzymał potok wymowy urzędnika nerwowym gestem.

– Chcę najpierw zająć się księgami, one są celem mojej wizyty.

– Oczywiście, naturalnie. Wybaczcie moje grubiaństwo. Jesteście na pewno zmęczeni podróżą. Chcecie zaraz widzieć księgi czy najpierw pójdziecie na kwaterę coś przekąsić?

– Najpierw księgi – nalegał Kremman i zsiadł z siodła.

– Najpierw księgi, bardzo dobrze. Proszę za mną.

Kremman wziął torbę z potrzebnymi do pracy przyborami i poszedł za starym mężczyzną do piwnic siedziby starszyzny. Rozkładając swe przybory na wielkim stole wyćwiczonymi setki razy

ruchami, obserwował w milczeniu, jak staruszek, manipulując zardzewiałym kluczem, otworzył wielką, obitą żelazem szafę, w której przechowywano księgi podatkowe.

– Przynieście mi od razu wykaz zmian – zarządził Kremman, gdy naczelnik położył przed nim opieczętowaną księgę główną.

– Każę je wam natychmiast dostarczyć – wymruczał mężczyzna.

Kremman uśmiechnął się drwiąco, gdy urzędnik powłócząc nogami szedł do drzwi. Myślał pewnie, że uda mu się odciągnąć go od pracy jakimiś historyjkami. A teraz był rozczarowany, że mu się nie udało.

Już on ich dostanie. Kiedyś dorwie ich wszystkich.

Potem wziął się za pracę. Przede wszystkim trzeba było sprawdzić, czy pieczęć księgi podatkowej Yahannochii rzeczywiście pozostała nienaruszona. Kremman dokładnie obejrzał wstęgi opasujące księgę; nie były uszkodzone. Teraz sama pieczęć. Najpierw zważył ją w dłoni, przyglądając się krytycznie. W ciągu swego życia złamał i założył już tysiące pieczęci, a mimo to nigdy przy tej czynności nie pozwalał sobie na rutynę. Pieczęć księgi podatkowej była najsłabszym punktem całego systemu. Gdyby udało im się tak sfałszować pieczęć, że on by tego nie zauważył, wówczas mieliby go w ręku. Gdyby to się wydało, kosztowałoby go to głowę. A gdyby się nie wydało, mogliby go szantażować do końca życia.

Młodzieniec, który otworzył okno – prawdopodobnie goniec – wszedł z miejską księgą zmian. Kremman nieprzychylnym ruchem głowy kazał mu położyć ją na stół i, gdy zauważył jego zaciekawienie, spojrzał tak surowo, że tamten postarał się zniknąć jak najszybciej. W pracy nie potrzebował kibiców.

Nie odważyliby się. Nie zapomnieli, że to właśnie on, jako młody poborca, odkrył w Trójmieście sfałszowaną pieczęć. Nie zapomnieli, z jaką surowością wycenił na nowo całe miasto i obłożył dodatkowo takim karnym podatkiem, że mieszczanie mieli łzy w oczach.

Pozostał ostatni test. Rzuciwszy szybkie spojrzenie na drzwi, by się upewnić, że naprawdę nikt go nie podgląda, wziął do ręki mały nożyk i zaczął ostrożnie zdrapywać wierzchnią warstwę wosku. Był to jego tajemny sposób, którego nie sposób było odkryć, gdyby ktoś po prostu złamał lub stopił pieczęć: pod pierwszą warstwą laki ukryta była druga, którą mogły wydobyć na wierzch tylko zręczne, wprawne palce. Kremman zdrapywał wosk niezwykle ostrożnie, aż pojawiło się ledwie zauważalne przebarwienie, wskazujące, że zbliżył się do drugiej warstwy. Teraz już tylko mały obrót noża, opanowany bezbłędnie po wieloletnich ćwiczeniach, i górna warstwa wosku odpadła, odkrywając ukrytą dolną pieczęć. To był jego sekret, odbicie malutkiego sygnetu, znanego tylko cesarskim poborcom podatków. Kremman uśmiechnął się z zadowoleniem, wziął do ręki świecę i stopił

pieczęć do końca. Wosk zebrał w małej żelaznej miseczce; gdy będzie już po wszystkim, użyje go do sporządzenia nowej pieczęci.

Potem otwarł księgę. Ta chwila elektryzowała go, odkąd sięgał pamięcią; moment poczucia własnej władzy. W księdze zapisano stan posiadania wszystkich mieszkańców miasta, zawartość skarbców bogaczy i nędzne zasoby biedaków; w tej księdze jednym pociągnięciem pióra decydował o zamożności lub nędzy całego miasta. Przewracał szeleszczące od starości karty z czułością, a jego spojrzenie pieściło zbutwiałe stronice pełne prastarych wpisów, liczb, podpisów i stempli. Miejska starszyzna mogła sobie zakładać wspaniałe szaty i pysznić się przed ludźmi – ta księga i prawo dokonywania w niej wpisów sprawiały, że to właśnie on miał w rękach prawdziwą władzę.

Z trudem oderwał się od księgi, wziął teraz do ręki drugą, księgę zmian. Ta wydawała się o wiele bardziej zwyczajna, niemal ordynarna. Czuło się po niej po prostu, że mógł w niej pisać każdy; w porównaniu z tamtą była jak ladacznica. Kremman otworzył ją niemal z niechęcią i odszukał swój ostatni wpis. Potem przejrzał kolej ne strony, na których odnotowano zmiany zaszłe w mieście, narodziny, śmierci, śluby, przeprowadzki i zmiany wykonywanych zawodów. Nie było ich tak wiele, jak się tego obawiał za względu na długi okres czasu, jaki upłynął od jego ostatniej wizyty. Szybko upora się z wycenami i zostanie mu jeszcze trochę czasu na kilka wyrywkowych kontroli. Chętnie przekona się, czy w tym spokojnym mieście naprawdę wszystko odbywa się zgodnie z prawem.

Gdy czytał ostatni wpis, zmarszczył nos. Niedawno ukamienowali swego własnego nauczyciela, najwidoczniej podżegani przez wędrownego kaznodzieję; sformułowane po fakcie zarzuty wskazywały na zwątpienie w Boga. Kremman nie znosił, gdy jacyś błąkający się po świecie kaznodzieje odgrywali sędziów; a w mieście pozbawionym nauczyciela wcześniej czy później malały pobierane podatki, wiedział to z doświadczenia.

W piwnicznej sali panowała przyjemna cisza. Kremman słyszał tylko własny oddech i chrobot prowadzonej po papierze stalówki, przygotowywał spisy. Pierwszą listę da potem miejskiemu gońcowi, zawiera ona imiona wszystkich obywateli, których należy wezwać do domu starszyzny na przesłuchanie, gdyż ich stan posiadania albo sytuacja rodzinna zmieniły się od ostatniego razu. Na drugiej liście zanotował imiona tych, których miał zamiar sam odwiedzić i wycenić. Kilka imion wypisał z księgi zmian; nowy status tych ludzi sprawiał, że nie można było uniknąć osobistego szacowania. Pozostałe imiona podpowiedziała mu intuicja, jego zmysł wykrywania matactw i zdolność instynktownego wyczucia ludzi skłonnych do zatrzymania jak najwięcej dla siebie, oddania jak najmniej i wymigania się od

nałożonych obciążeń. Temu instynktowi ufał całkowicie i do tej pory zawsze dobrze na tym wychodził. Czytał spis mieszkańców miasta, ich zawód, wiek, stan i ostatnią wycenę, przy niektórych imionach czuł w sobie coś jak wewnętrzny dzwonek alarmowy: tych zapisywał.

Mógł sobie wyobrazić, co teraz działo się w mieście. Wieść o jego przybyciu zawędrowała już pewnie do ostatniej chaty i próbowali strwożonym sercem odgadnąć, kogo tym razem dopadnie. Oczywiście spieszyli się bardzo, żeby ukryć wszystko, co miało jakąś wartość – ozdoby, nowe ubrania, dobre narzędzia, wędzone mięso i gliniane słoje z solonym. W czasie, kiedy on siedział tutaj i pisał swoje listy, zakładali najstarsze ubrania, szare, wystrzępione łachmany, wcierali we włosy tłuszcz i brudzili twarze, ściany domów i chat nacierali popiołem i znosili do pokojów bydlęce odchody, gromadzili w nich gnój.

On oczywiście przejrzy tę maskaradę. Myślą, że można zwieść go zaniedbanymi włosami i brudnymi twarzami, ale spojrzy na ich paznokcie i sprawdzi, czy mają na dłoniach zrogowaciałe nagniotki. Znajdzie ukryte przez nich dobra, pod sianem legowisk, za szafami, pod belkami i w piwnicach. Schowków nie było znowu tak wiele, a on znał je wszystkie. W dni, kiedy miał dobry humor, traktował to jak coś w rodzaju sportowego wyzwania. Jednak takie dni zdarzały się rzadko.

Gdy obie listy były już gotowe, Kremman zamknął główną księgę i zadzwonił po miejskiego gońca.

– Czy wiesz, jak przebiega pobór podatków? – zapytał go. – Jesteś bardzo młody, nie znam cię, dlatego pytam.

– Tak. To znaczy, nie. Tłumaczono mi to, ale jeszcze nigdy sam…

– Więc rób, co ci powiem. Oto lista osób, które będę jutro wyceniał tu, na miejscu. Podzieliłem ich na cztery grupy; na wczesne przedpołudnie, późne przedpołudnie, popołudnie i wczesny wieczór. Musisz dopilnować, żeby stawili się na czas. Zrozumiałeś?

Młody człowiek niepewnie skinął głową. To naprawdę żółtodziób, pomyślał pogardliwie Kremman.

– Poradzisz sobie z tym?

– Tak, oczywiście! – pośpiesznie zapewnił miejski sługa.

– Jak się za to zabierzesz?

Tu go miał. Kremman przyglądał się, jak przełyka ślinę i szeroko otwartymi oczami patrzy na podłogę, jakby mógł tam znaleźć odpowiedź. Mruczał przy tym coś niewyraźnie.

– Co powiedziałeś? – nalegał Kremman z ponurą satysfakcją. – Nie zrozumiałem.

– Powiedziałem, że jeszcze nie wiem.

Kremman zmierzył go wzrokiem, jakim patrzy się na obrzydliwego robaka.

– Znasz mieszczan z tej listy?

– Tak.

– Co myślisz o tym, żeby jeszcze dziś przejść się do każdego z nich i go zawiadomić?

Młodzieniec przytaknął spięty, nie odważył się jednak spojrzeć mu w oczy.

– Tak. Tak zrobię.

– Jak się nazywasz?

– Bumug.

Kremman podał mu listę.

– Twoja kolej przypada na popołudnie.

– Popołudnie? – Teraz znowu patrzył na poborcę podatków, zmieszany. – Ja? Co to znaczy?

Kremman uśmiechnął się sardonicznie.

– Twoje imię naturalnie też jest na liście, Bumugu.

Jak zwykle, cesarski poborca podatków zamieszkał w kwaterze gościnnej należącej do starszyzny miasta. Jej wyposażenie i ugoszczenie poborcy było wielkim problemem dla każdego miasta, które odwiedzał. Miał tu miejsce konflikt dwóch różnych sposobów myślenia. Z jednej strony, starano się trwożnie, by nie zabrakło mu żadnej z wygód, aby nie wzbudzić jego niechęci, z drugiej obawiano się, by nie pomyślał, że ma do czynienia z zamożnym miastem.

Na jego szczęście, najczęściej zwyciężała potrzeba przekupstwa, także tutaj, w Yahannochii. Znalazł się w czystym pokoju, z łóżkiem godnym króla i z niezwykle obficie nakrytym stołem. Nim zasiadł do jedzenia, położył pod poduszkę główną księgę podatkową. Dopóki nie zapieczętuje tej księgi na nowo, nie spuści jej z oka ani na chwilę.

Gdy następnego ranka, ściskając pod pachą księgę, zbliżał się do siedziby starszyzny, czekała już na niego z uległością długa kolejka. Kremman nabrał głęboko powietrza i ruszył szczególnie mocnym, zdecydowanym krokiem, by zwalczyć w sobie wszelką słabość, każdy przypływ współczucia, dobrotliwości albo innych uczuć, których poborcy podatków nie wypadało okazywać. Czekał go męczący dzień, podczas którego od rana do wieczora będzie musiał wysłuchiwać wzbudzających współczucie opowieści, nie może sobie jednak pozwolić na żaden moment nieuwagi, jeśli nie chce zdradzić swego zadania, świętego zadania zbierania podatków dla cesarza.

Przeszedł więc wzdłuż szeregu ludzi, nie zaszczycając ich żadnym uważniejszym spojrzeniem, zajął miejsce za przygotowanym stołem, na którym ktoś przygotował przybory do pisania i dzban wody, otwarł główną księgę podatkową i wywołał pierwsze imię z listy:

– Garubad!

Wystąpił rosły, siwowłosy mężczyzna o twarzy wygarbowanej pogodą, okaz wyjątkowej siły fizycznej, odziany w znoszone skórzane ubranie. Powiedział:

– To ja.

– Jesteś hodowcą bydła?

– Tak.

– Jaką rasę hodujesz?

– Głównie owce keppo. Poza tym mam kilka bawołów baraq.

Kremman skinął głową. Zgadzało się to z zapisem w głównej księdze. Mężczyzna wyglądał na prostego, bogobojnego człowieka; nie był to trudny przypadek.

– Ile owiec? Ile bawołów?

– Dwieście keppo i siedem baraqów.

Kremman sprawdził w księdze.

– To znaczy, że ilość twoich owiec wzrosła o jedną czwartą; ilość bawołów nie zmieniła się. Podnoszę więc odpowiednio twój podatek. Czy masz coś przeciw temu?

Hodowca bydła potrząsnął głową.

– Nie. Oddaję to dla cesarza.

– Zabieram to dla cesarza – odpowiedział Kremman tradycyjną formułą i naniósł w księdze odpowiednią notatkę. – Dziękuję, możesz odejść.

Dobry początek. Poborca podatków bardzo lubił, kiedy dzień wycen tak się zaczynał. Polegał na instynkcie, który mu podpowiadał, kogo umieścić na liście wyrywkowych prób, a komu uwierzyć.

Dzień był pracowity, ale zadowalający. Oczywiście, i tym razem nie brakło rozdzierających serce lamentów o zmarnowanych zbiorach, padłym bydle, zmarłych dzieciach i o mężczyznach, którzy odeszli, lecz tym razem nie było ich tyle, co zwykle i w niektóre z tych historii Kremman nawet uwierzył. W przypływie łagodności, który zaskoczył nawet jego samego, w jednym przypadku przyznał zwrot podatku kobiecie, której mąż zmarł. Nikt nie może powiedzieć, że poborcy podatków są nieludzcy. Wykonuje po prostu swój obowiązek, nic ponadto – święty obowiązek w służbie cesarza.

Był już późny wieczór, gdy w świetle lampy tranowej dokonał ostatniego wpisu do księgi i zwolnił ostatniego człowieka. Z zadowoleniem spojrzał na drugą listę, na której przybyło teraz pięć nowych imion. Zdąży jutro przeprowadzić wszystkie wyrywkowe kontrole, potem pozostaną już tylko obliczenia.

Właśnie zamykał księgę, gdy wszedł znowu naczelnik miasta w swoim znoszonym urzędowym płaszczu.

– Jeśli wolno mi przypomnieć o tym, że mamy w areszcie tego złoczyńcę i…

– Najpierw podatki – przerwał mu zmęczonym głosem Kremman i

wstał. – Najpierw podatki, wszystko inne potem.

– Oczywiście – służalczo przytaknął stary człowiek. – Jak każecie.

Do pierwszego domu wszedł bez żadnego uprzedzenia. Przy kontroli bardzo ważne było, by zjawiać się znienacka, choć nie łudził się: jego drogę przez uliczki Yahannochii śledziło z ukrycia wiele oczu, informacja o każdym kroku natychmiast była szeptem podawana dalej.

Ale tych dwoje udało mu się naprawdę zaskoczyć. Podskoczyli przestraszeni, gdy pojawił się w drzwiach; kobieta zakryła twarz i zniknęła w sąsiednim pokoju, a jej mąż jakby przypadkiem ustawił się przed poborcą tak, by ten nie mógł jej dojrzeć. Kremman wiedział, dlaczego: gdy w domu była ładna młoda kobieta, niektórzy poborcy nakładali najpierw boleśnie wysoki podatek – by potem zaproponować, że obniżą wysokość daniny, jeśli kobieta nie odmówi im swych wdzięków. Jednak Kremman jeszcze nigdy tak nie postąpił. Poza tym starszyzna Yahannochii przysłała mu poprzedniej nocy młodą kobietę, bardzo młodą kobietę – znano tu jego upodobania – był więc zaspokojony pod tym względem.

– Jestem Kremman, cesarski poborca podatków – wyjaśnił mężczyźnie, spoglądającemu na niego w równym stopniu gniewnie, co lękliwie. – Według przekazanych mi dokumentów ożeniliście się w zeszłym roku. Muszę dokonać wyceny. Oprowadź mnie i pokaż wszystko, co do was należy.

Gdy weszli do sąsiedniego pokoju, kobiety już w nim nie było. Bystre spojrzenie poborcy padło na okno, ledwie przymknięte. Kremman uśmiechnął się złośliwie. Musiała tędy uciec.

Otwierał szafy, zaglądał do garnców, ugniatał słomę w materacach i ostukiwał drewniane belki i ściany. Jak się spodziewał, nie znalazł nic szczególnego. Na koniec wpisał na listę kwotę, która wydała mu się odpowiednia.

Nie można było nie zauważyć wyrazu ulgi na twarzy młodego człowieka.

– Oddaję to dla cesarza!

– Zabieram to dla cesarza – odpowiedział Kremman i odszedł.

Główna księga podatkowa została znów opieczętowana i zamknięta w szafie, spis obowiązujących podatków wpięty do księgi zmian, pozostało już tylko je zebrać.

Za ściągnięcie podatków odpowiedzialne było samo miasto, on nie miał z tym nic wspólnego. Jego zadaniem było tylko ustalenie wysokości daniny. Nie był też jego obowiązkiem transport pieniędzy; tym zajmie się następny handlarz włosianych kobierców, który zjawi się w Yahannochii. Dla niego właśnie przygotowywał świadectwo, gdyż handlarz będzie musiał rozliczyć się w mieście portowym z kwot,

powierzonych jemu i jego stalowemu wozowi.

Większość ludzi myślała, że podatki przekazywano cesarzowi, ale to nie było prawdą. Pieniądze nigdy nie opuszczały planety. Z tego świata przekazywano cesarzowi tylko jeden rodzaj daniny, a były to włosiane kobierce. Pieniędzy z podatków używano tylko do płacenia za nie.

Dlatego też właśnie handlarze kobierców byli odpowiedzialni za transport pieniędzy; gdy wreszcie dotarli do miasta portowego, oddawali tam dywany, pozostałe pieniądze i świadectwa od poborców podatków. Te dane były następnie porównywane z wykazami, przesyłanymi do miasta portowego przez starszych cechów gobeliniarzy, w ten sposób sprawdzano, czy handlarz kobierców wykonał swój obowiązek i czy nieuczciwie się nie wzbogacił.

– Podatki są ustalone – wyjaśnił Kremman jakby mimochodem, gdy do pokoju wszedł naczelnik miasta. – Jeśli macie tu jakieś sporne sprawy, które należy wyjaśnić przed cesarskim sędzią, to teraz jest odpowiedni moment.

– Nie mamy żadnych – odrzekł stary – jedynie, jak wspomniałem, tego złoczyńcę.

– Ach, tak, wasz złoczyńca. – Kremman przerwał pisanie świadectwa i odchylił się na oparcie krzesła. – A cóż on takiego zrobił?

– Mówił różne rzeczy obrażające Boga, na przykład, że cesarz już nie rządzi, że został strącony z tronu i inne bzdury. I to w obecności dwóch szanowanych tkaczy włosianych kobierców, którzy są gotowi świadczyć o tym przestępstwie.

Kremman westchnął znudzony.

– Ach, te stare pogłoski. Te historie kursują już od co najmniej dwudziestu lat i ciągle pojawiają się szaleńcy, którzy myślą, że muszą je odgrzewać. Czemu go po prostu nie powiesicie? Zbłąkana dusza, nic więcej. Jest na to odpowiednie prawo.

– Więc – cedził słowa naczelnik miasta – nie byliśmy pewni, czy w tym przypadku trzeba zastosować to prawo. Przestępca jest tu obcy, do tego bardzo dziwny. Nie wiemy, skąd przybył. On twierdzi, że z innego świata, oddalonego tak bardzo, że nie widać go na niebie.

– Nic w tym szczególnego; imperium cesarza jest wielkie – wtrącił Kremman.

– Twierdzi jeszcze, że należy do rebeliantów, którzy obalili cesarza – wybaczcie mi moje słowa, powtarzam tylko, co powiedział nam obcy. Mówi, że przyleciał ze statku kosmicznego rebeliantów, krążącego wokół naszego świata…

Poborca podatków roześmiał się głośno.

– Absurd! Gdyby istniał taki statek, na pewno niezwłocznie postarałby się go uwolnić. Szaleniec, mówiłem przecież.

– Tak, myśleliśmy tak samo – powiedział stary człowiek, kiwając w zamyśleniu głową i zwlekał przez chwilę, nim dodał: – Zdarzyło się jednak coś, co kazało nam poczekać na waszą opinię. Przy obcym znaleźliśmy aparat radiowy.

– Aparat radiowy? – Kremman nadstawił uszu.

– Tak. Przyniosłem go tutaj. – Spomiędzy fałd peleryny naczelnik miasta wydobył małe, czarne, metalowe pudełko, na którym widać było tylko membranę mikrofonu i kilka przycisków.

Kremman wziął urządzenie do ręki i zważył je w dłoni. Było zadziwiająco lekkie i uderzająco czyste, bez rys i zadrapań, jakie miały prawie wszystkie techniczne urządzenia, które poborca podatków widział kiedykolwiek w życiu.

– Jesteście pewni, że to nadajnik radiowy?

– Tak twierdzi obcy. Zresztą nie mam pojęcia, co innego to mogłoby być.

– Jest taki… mały! – Kremman miał kiedyś nadajnik radiowy, wiele lat temu, klocowatą, wielką skrzynkę. Meldował wtedy ustalone przez siebie podatki bezpośrednio do portowego miasta. Ale pewnego dnia znalazł się w piaskowej burzy, jego wierzchowiec padł, i kosztowny przedmiot roztrzaskał się na kamieniu.

Kremman dokładniej przyjrzał się małemu urządzeniu. Na przełącznikach nie było żadnych oznaczeń; tylko na tylnej ściance było wytłoczone coś w rodzaju numeru, jednak znaki bardzo odlegle przypominały znane mu cyfry.

Im dłużej trzymał w ręku aparat, tym mocniejszy opanowywał go strach, podobny do tego, jaki nachodzi kogoś, kto stoi na skraju urwiska i patrzy w ciemną, nieskończenie głęboką przepaść. Urządzenie, to było dla niego jasne, stanowiło niezaprzeczalny argument. Było obcym ciałem. Cokolwiek by to oznaczało, samo jego istnienie dowodziło, że działy tu się rzeczy przekraczające zakres jego sędziowskich kompetencji.

Ten nagły błysk zrozumienia sprawił, że odetchnął z ulgą. Była to droga, którą można pójść, a uwalniała go od wszelkiej odpowiedzialności i do tego była całkowicie zgodna z przepisami.

– Przestępcę należy przekazać do portowego miasta – zarządził w końcu. – Jego i ten aparat.

– Czy chcecie go zobaczyć? – spytał naczelnik.

– Nie, to niekonieczne. Dopiszę to do świadectwa. Następny handlarz włosianych kobierców, który przyjedzie do Yahannochii, ma go zabrać i odstawić przed radę.

Szybko, jakby chciał uprzedzić ewentualne sprzeciwy, dopisał odpowiedni tekst na dolnym marginesie świadectwa podatkowego, kapnął obok woskiem i odcisnął swą pieczęć.

Złodzieje gobelinów

Potężny orszak handlarza Tertujaka z wozami, namiotami i konnicą toczył się powoli poprzez rozległą nizinę, ku olbrzymiemu masywowi skał Zarrak, ciągnącemu się wzdłuż linii horyzontu jak nieskończona, ciemna, niedostępna ściana.

Tertujak, siedzący w swym wozie nad księgami, wyraźnie wyczuł moment, gdy koła przestały podskakiwać na twardej skale i żwirze. Każde zagłębienie i każdy odłamek skalny leżący na drodze oznaczały mocne, niemal bolesne uderzenie. Koła zaczęły teraz mielić miękki piach. Pokonywał tę trasę tyle razy, że nie musiał spoglądać w okno, by wiedzieć, że rozpoczęła się wspinaczka do jedynego przejścia przez masyw Zarrak, do przełęczy u stóp Skały Pięści.

Po krótkim namyśle zdecydował, że znów nadeszła pora sprawdzić, czy na zewnątrz wszystko w porządku. Uniósł masywne ciało z kanapy i otwarł wąskie drzwi, wychodzące na mały podest obok ławki woźnicy. Wydawały się zbyt wąskie dla ciała handlarza o tak pokaźnej tuszy, lecz Tertujak bez trudu przecisnął się przez nie i przytrzymując specjalnie tam umieszczonego uchwytu, zaczął się rozglądać, najpierw krótkim skinieniem głowy przywitawszy woźnicę.

Na pewno i tym razem natknie się na sytuacje wymagające udzielenia przygany. Jego ludzie są czasem jak dzieci; stale trzeba ich nadzorować, nie można przymknąć oka na żadne z licznych zaniedbań, gdyż te szybko przeszłyby w groźne przyzwyczajenia. Na przykład teraz: orszak znów wydłużył się zbytnio; wozy zaopatrzeniowe, zamiast jechać skupione wokół wozu z kobiercami, ciągnęły się za nim jak długi, kręty łańcuch. Była to jak zwykle wina przekupniów, chętnie trzymających się końca orszaku, dobijali tam z żołnierzami swoje interesiki i chcieli w ten sposób zademonstrować, że nie podlegają rozkazom handlarza.

Tertujak pociągnął nosem z dezaprobatą, zastanawiając się, czy wskazana jest interwencja. Powędrował spojrzeniem wzdłuż rozciągniętego łańcucha wzgórz Zarrak, piętrzących się przed nimi. Dokładnie na wprost leżała Skała Pięści, wznosząca się wysoko, czarna i porowata, niemal groźna. Jej nazwa pochodziła od kształtu: pięć głębokich szczelin, prowadzących w dół z niedostępnego płaskowyżu i gzyms na boku sprawiały, że wyglądała jak pięść olbrzyma, pilnującego jedynej przełęczy przez masyw. Przejdą obok zgiętego kciuka pięści, nad siodłem wzgórza i tam, z góry, po raz pierwszy od lat będą mogli zobaczyć miasto portowe, cel ich podróży.

Znów przypomniał mu się jeniec. Nie było dnia, by nie myślał o tym dziwnym człowieku, przekazanym mu w Yahannochii. Oczywiście, nie był zachwycony tym dodatkowym obowiązkiem, lecz

nie mógł odmówić. Jeniec siedział teraz z przodu, na jednym z wozów handlowych, między dwiema wielkimi belami tkaniny, spętany i pilnowany przez dwóch żołnierzy, którym surowo zabroniono rozmawiać z nim i rozkazano uciszyć go natychmiast, gdyby sam chciał wszcząć pogawędkę. Jeńca uznano za heretyka i cokolwiek by powiedział, mogłoby to mieć na celu zarażenie serca pobożnego człowieka plugastwem.

Co też takiego było w tym człowieku, że trzeba było go zawieźć aż przed główną radę? Nigdy się pewnie tego nie dowie.

Tertujak poszukał wzrokiem komendanta jezdnych i przywołał go krótkim gestem.

– Co mówią zwiadowcy?

– Miałem właśnie zamiar zwrócić się z tym do was, panie – powiedział komendant, żylasty, siwowłosy człowiek imieniem Grom, którego wierzchowiec lekkim, niemal pląsającym krokiem szedł obok wozu handlarza. – Podjazd jest dziś bardzo piaszczysty; nie wydaje mi się, byśmy przed zapadnięciem zmroku zdołali wspiąć się na przełęcz, nie mówiąc o przejściu na drugą stronę.

To zgadzało się z szacunkami Tertujaka. Wysunął nieco naprzód dolną szczękę, jak zawsze, gdy podejmował decyzję.

– Każcie rozbić obóz – rozkazał. – Jutro wyruszymy o świcie; dopilnujcie, by wszyscy byli gotowi.

– Według rozkazu, panie – odrzekł Grom ze skinieniem głowy i odjechał. Wracając do wozu, Tertujak słyszał jeszcze, jak Grom swoim rogiem sygnałowym ogłaszał rozkazy.

Rozbijanie obozu przebiegało jak co wieczór, każdy w orszaku handlarza wiedział dokładnie, co ma do zrobienia. Wokół wozu Tertujaka i pancernego wozu z włosianymi kobiercami uformował się krąg, przy czym wozy handlowe tworzyły pierścień wewnętrzny, a te z zaopatrzeniem-zewnętrzny. Na przestrzeni między wewnętrznym a zewnętrznym kręgiem rozbito namioty, w których nocowali jeźdźcy. Zwierzęta pociągowe, w większości bawoły rasy baraq, wyprzężono i uwiązano na długich postronkach, tak, aby mogły się położyć. Zwierzęta pod wierzch spętano razem; spały stojąc. Tylko żołnierze piechoty, którzy od rana leżeli na wozach i przedrzemali dzień pod plandekami, mieli teraz czuwać; ich zadaniem było trzymanie całonocnej warty wokół obozu.

Osobisty kucharz handlarza ustawił niewielką garkuchnię obok dużego, bogato zdobionego wozu. Tertujak otwarł drzwi i stał wyczekując.

– Panie, zostało jeszcze trochę solonego mięsa bawołu – rozpoczął skwapliwie kucharz. – Mógłbym wam podgrzać karaqui i przygotować sałatkę z naci bielińca, do tego trochę słabego wina…

– Tak, dobrze – wymruczał Tertujak.

Podczas gdy kucharz zajmował się swoimi garnkami, Tertujak rozglądał się niespokojnie, próbując ustalić przyczynę wewnętrznego niepokoju, wypełniającego go dzisiejszego wieczoru. Ściemniało się; nad nimi wznosiła się Skała Pięści, widoczna była tylko jej sylwetka na tle ciemnosrebrnego nieba, które nisko nad horyzontem mieniło się jeszcze nieco jaśniej, a w zenicie było już całkiem czarne. Tertujak słyszał głosy mężczyzn rozstawiających ostatnie namioty. W innych miejscach rozpalano już ogień. Palenisk nie było wiele – musieli oszczędzać opał – wystarczy go akurat na przygotowanie jedzenia dla ludzi z orszaku. Panował pogodny, swobodny nastrój. Skończyły się trudy dnia, jutro przedostaną się przez przełęcz Skały Pięści, a potem już tylko kilka dni podróży i dotrą do portowego miasta.

Z ciemności wynurzyło się trzech pieszych żołnierzy; jeden z nich z szacunkiem podszedł do handlarza i zameldował, że nocne warty zajęły posterunki.

– Kto jest dowódcą warty? – spytał Tertujak. Zadaniem dowódcy było chodzenie przez całą noc wzdłuż łańcucha posterunków i pilnowanie, by żaden z żołnierzy nie zasnął.

– Donto, panie.

– Powiedz mu, że dziś powinien szczególnie uważać – powiedział Tertujak i dodał trochę ciszej: – Mam jakieś niedobre przeczucie…

– Według rozkazu, panie. – Żołnierz ponownie zniknął, a dwaj pozostali zajęli posterunki obok wozu handlarza.

Tertujak spojrzał na wóz, stojący za jego wozem, dwukrotnie od niego większy, o ośmiu kołach i z zaprzęgiem dla siedemdziesięciu czterech bawołów. Znajdowały się w nim największe kosztowności, przewożone przez tę karawanę, włosiane kobierce, do tego niezmierne ilości pieniędzy. Nawet w zamierającym świetle zmierzchu można było rozpoznać miejsca, w których metalowe opancerzenie zaczynało rdzewieć. Będzie musiał oddać wóz do konserwacji, gdy w portowym mieście rozładuje i rozliczy włosiane kobierce.

Wrócił do swego wozu i kazał podać sobie jedzenie. Jadł zamyślony, w milczeniu.

Udało im się zgromadzić wymaganą ilość kobierców, potrzebowali na to jednak więcej czasu, niż planował. Oznaczało to, że dotrą do miasta portowego później, niż pozostali handlarze, więc dostanie mu się znowu jedna z mniej atrakcyjnych tras handlowych. Będzie więc jeszcze trudniej zebrać przepisaną ilość kobierców, aż kiedyś…

Nie chciał myśleć o tym kiedyś.

Gwałtownym ruchem odsunął od siebie talerz. Kazał kucharzowi posprzątać i polecił przynieść sobie jeszcze butelkę słabego wina.

W świetle lampy olejnej wyjął jedną z najcenniejszych posiadanych przez siebie rzeczy, prastarą księgę handlową, której

prowadzenie rozpoczął kilkaset lat temu jeden z jego przodków. Stronice tej księgi trzeszczały sucho, a kolumny cyfr dawały się w niektórych miejscach odczytać tylko z wielkim trudem. Mimo to, dostarczyła mu już ona wielu cennych informacji o trasach handlowych i o leżących na nich miastach.

Zaledwie kilka lat temu zauważył, że księga może pouczyć go jeszcze o czymś, mianowicie o tendencjach zmian zachodzących w ciągu długich okresów czasu. Były to płynne, nieznaczne odchyłki, których zwykle nie dostrzegano; dopiero gdy porównywał liczby z kilku stuleci, dane prawie dziesięciu pokoleń, widział wyraźnie: było coraz mniej włosianych kobierców. Liczba dywanów powoli spadała, a wraz z nią, liczba handlarzy kobierców. Droga, którą musiała przebyć karawana, aby zebrać przepisaną tradycją ilość dywanów, przeciętnie wydłużała się, zaś rywalizacja handlarzy o dobre, przynoszące zyski trasy w podbiegunowych obszarach planety, stawała się coraz ostrzej sza.

Tertujak potrafił wyśmienicie rachować, jak wszyscy handlarze, oprócz tego odziedziczył matematyczne uzdolnienia swoich przodków. Bez trudu potrafił przekształcić cyfry na diagramy, na których było to widać wyraźnie: krzywe wykresów opadały. Tak, wyraźnie spadały; ta tendencja drastycznie wzmocniła się w ostatnich latach. Te wykresy były jak zapisy konającego organizmu.

Rozsądnie byłoby więc wyjść z tego interesu, skończyć z handlem włosianymi kobiercami. Tylko, że tego nie będzie mógł zrobić nigdy. Przysięga złożona cechowi wiązała go do końca życia. Tkanie włosianych kobierców było świętym obowiązkiem, nadanym ich światowi przez cesarza – jednak z jakiejś przyczyny tkwiąca w tym obowiązku moc zdawała się gasnąć.

To przywiodło Tertujakowi na myśl jeńca i rzeczy, jakie o nim mówiono. W Yahannochii opowiedziano mu rozmaite historie. Twierdził, że pochodzi z innego świata. I jeszcze coś innego, coś co każdego szokowało do głębi, jednak co niezmordowanie powtarzano dalej: że cesarz, pan nieba, ojciec gwiazd, obrońca ich wszystkich, centrum wszechświata – że cesarz nie rządził już imperium!

Tertujak patrzył na opadające wykresy, w jego myślach zamajaczyło podejrzenie, że to może właśnie w nich tkwi wyjaśnienie.

Podniósł się i otwarł drzwi wozu. Nastała już noc. Słychać było śmiechy żołnierzy, nadskakujących nielicznym kobietom, jadącym w orszaku. Kobiety te bez wyjątku były przekupkami, więc handlarz się tym nie przejął. Kiwnął na jednego z dwóch wartowników.

– Sprowadź tu komendanta Groma.

– Tak, panie.

Po krótkiej chwili nadszedł Grom. Wezwanie do wozu handlarza i wchodzenie do jego wnętrza należało do przywilejów jego stanowiska.

– Panie?

– Grom, chcę cię prosić o dwie rzeczy. Po pierwsze, dopilnuj, żeby choć *kilku* jezdnych nie było pijanych. Chciałbym mieć pewność, że przynajmniej część z nich nadaje się do walki. Po drugie – Tertujak zwlekał przez chwilę i dokończył zdecydowanym głosem: – Chciałbym, żeby dyskretnie przyprowadzono do mnie jeńca.

Grom wytrzeszczył oczy.

– Jeńca? *Tutaj?* Do waszego wozu?

– Tak.

– Ale dlaczego?

Tertujak prychnął zdenerwowany.

– Muszę się przed tobą tłumaczyć, komendancie konnicy?

Tamten drgnął. Jego szarża zależała wyłącznie od przychylności handlarza i nie zamierzał jej utracić.

– Wybaczcie, panie. Będzie, jak sobie życzycie.

– Wstrzymaj się jeszcze chwilę, nim większość zaśnie. Nie chcę gadaniny. Do eskorty weź dwóch, trzech dyskretnych ludzi i przynieś też łańcuch, żeby go tu spętać.

– Tak, panie.

– I pamiętaj: całkowita dyskrecja!

Tertujak oczekiwał jeńca z pełną napięcia niecierpliwością. Kilkakrotnie był bliski tego, by wysłać jednego z wartowników i wszystko przyspieszyć, musiał powstrzymywać się ze wszystkich sił.

W końcu zapukano. Handlarz gwałtownie otworzył drzwi wozu i dwóch żołnierzy wprowadziło jeńca. Przymocowali go łańcuchami do jednego ze wsporników, po czym Tertujak odprawił ich skinieniem głowy.

Potem przyglądał się mężczyźnie siedzącemu przed nim na jednym z jego kosztownych futer. Więc to był ten heretyk. Podarte ubranie zmieniło się w brudne łachmany, skłębiona broda i sfilcowane włosy także lepiły się od brudu. Oględziny handlarza znosił, patrząc przed siebie tępym, obojętnym wzrokiem, jakby nie interesowało go już, co się z nim dzieje.

– Zadajesz sobie może pytanie, dlaczego kazałem cię tu sprowadzić – odezwał się w końcu Tertujak.

Zdawało mu się, że zauważył w apatycznych oczach jeńca iskrę zainteresowania.

– Prawda jest taka, że sam właściwie nie wiem – Tertujak myślał o sylwetce Skały Pięści na tle granatowego wieczornego nieba. – Może dlatego, że jutro po raz pierwszy zobaczymy miasto portowe, cel naszej podróży. A nie chcę tak po prostu odstawić cię tam, nie wiedząc, kogo właściwie wiozłem.

Twarz mężczyzny nie zdradzała żadnego wyrazu.

– Jak się nazywasz? – spytał Tertujak.

Wydawało się, że jeniec nigdy nie odpowie. Gdy wreszcie odezwał się, jego głos był zachrypły, jak od kurzu.

– Nillian… Nillian Jegetar Cuain.

– To trzy imiona – stwierdził zdziwiony handlarz.

– U nas każdy ma trzy imiona. – Mężczyzna odkaszlnął. – Każdy ma swoje imię, imię matki i imię ojca.

W mowie heretyka było rzeczywiście obce brzmienie, jakiego handlarz nie słyszał jeszcze w swoich podróżach.

– Więc to prawda, że przybywasz z innego świata?

– Tak.

– A dlaczego jesteś tutaj?

– Jestem rozbitkiem.

– Gdzie jest twoja ojczyzna?

– Daleko stąd.

– Możesz wskazać mi ją na niebie?

Jeniec długo przypatrywał się Tertujakowi, handlarz myślał już, że nie zrozumiał pytania. Wtedy nagle zapytał:

– Co wiesz o innych światach? Co wiesz o podróżach między gwiazdami?

Handlarz wzruszył ramionami.

– Niewiele.

– Co wiesz?

– Znam statki międzygwiezdne z cesarskiej floty, które biorą na pokład włosiane kobierce. Mówiono mi, że mogą one podróżować między gwiazdami.

Zdawało się, że w tego zniszczonego człowieka, który mówił o sobie, że przybywa z gwiazd, wróciło trochę życia.

– Włosiane kobierce – powtórzył i pochylił się do przodu, oparł łokcie na kolanach. – Dokąd je zabierają?

– Do pałacu cesarza.

– Skąd wiesz?

– Właściwie to nie wiem – przyznał Tertujak. – Tak mi powiedziano.

Mężczyzna, który mówił o sobie Nillian, skłonił głowę i Tertujak zobaczył, jak z jego włosów na podłogę wykruszyło się trochę piasku. Jutro będzie musiał kazać tu posprzątać.

– Okłamano cię. W pałacu cesarza nie ma włosianych kobierców. Ani jednego.

Tertujak nieufnie zmrużył oczy. Można było spodziewać się takich twierdzeń po kimś, kogo uważano za heretyka. Jednak jeśli nie był heretykiem?

– Skąd to wiesz?

– Byłem tam.

– W pałacu cesarza?

– Tak.

– Może nie zauważyłeś włosianych kobierców.

Obcy roześmiał się po raz pierwszy.

– To niemożliwe. Widziałem jeden włosiany kobierzec: to było najdelikatniejsze, najbardziej pracochłonne arcydzieło, na jakie patrzyłem w życiu. Taki klejnot na pewno nie pozostałby nieodkryty. A nie mówimy przecież o *jednym* kobiercu, mówimy o tysiącach, o tysiącach tysięcy. Tymczasem w pałacu cesarza nie znaleziono ani jednego z nich. W naszym języku nie ma nawet takiego *słowa*! – Czy to mogła być prawda? A jeśli nie – po co ten człowiek kłamał?

– Powiadają – zaczął Tertujak – że pałac cesarza to największa budowla wszechświata…

Mężczyzna zastanowił się przez chwilę.

– Tak, to chyba prawda. Ale nie znaczy to, że nie można go przejść całego. W dowolnym z waszych miast łatwiej byłoby coś ukryć niż w gwiezdnym pałacu.

– Ale są przecież jakieś prywatne komnaty cesarza, do których nie ma dostępu nikt poza nim samym?

– Kiedyś były. – Postać obcego wyprężyła się. – Siedzę tutaj, bo to powiedziałem, mogę więc spokojnie powtórzyć: Cesarz przestał rządzić przed około dwudziestu laty waszego czasu.

Tertujak wpatrywał się w mężczyznę, który siedział przed nim, ręce i stopy miał spętane łańcuchami i wiedział, że tamten nie kłamie. Oczywiście, to, co mówił, brzmiało jak czysta herezja. Ale w głębi serca był pewien, że słowa więźnia zawierają samą prawdę.

– Więc te pogłoski, które krążą tutaj od dwudziestu lat, są prawdziwe – mamrotał w zamyśleniu. – Że cesarz abdykował…?

– Cóż, powiedziałbym, że nazywasz to bardzo łagodnie.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Spojrzenie jeńca stało się nagle twarde jak stal.

– Mój panie, jestem rebeliantem, przez całe życie byłem członkiem ruchu *Bezgłośny Wiatr*. Przed dwudziestu laty ruszyliśmy z natarciem na Świat Centralny, zdobyliśmy pałac i strąciliśmy z tronu cesarza. Od tamtej pory nie istnieje już jego imperium. Może się to wam podobać albo nie, ale to fakt.

Handlarz włosianych kobierców niepewnie przyglądał się obcemu. Czuł, jakby te słowa usuwały mu podłogę spod stóp.

Niewyraźnym ruchem wskazał okno.

– Tam na zewnątrz widzę na niebie gwiazdy, one ciągle świecą. Zawsze mi mówiono, że nie mogłyby świecić bez cesarza.

– Cesarz nie ma z tym nic wspólnego – odrzekł rebeliant. – To legenda.

– Ale czy to nie cesarz powołał je do życia?

– Tak samo nie był w stanie tego zrobić, jak ja. Był człowiekiem,

jak każdy inny. Opowiadano takie rzeczy, żeby mieć nad wami władzę.

Tertujak potrząsnął głową.

– Ale czy nie jest prawdą, że panował od niezliczonych dziesiątków lat? Jak byłoby to możliwe, gdyby nie był nieśmiertelny?

Obcy podniósł brwi.

– Cóż, nie wiem, jak to zrobił, teraz jest na pewno martwy.

– Martwy?

– Tak. Jeden z rebeliantów podczas zajmowania pałacu przydybał go samego w pokoju i zastrzelił, walcząc z nim sam na sam.

Tertujakowi przypomniało się, co opowiadano mu o okolicznościach zatrzymania obcego. Był w odwiedzinach u dwóch tkaczy włosianych kobierców i zaczął opowiadać swoje bezbożne historie, ci dwaj ujęli go więc i oskarżyli o herezję.

– Opowiadałeś to tkaczom? – zdziwił się. – Dziw, że darowali ci życie.

– Uderzyli mnie w głowę – cud, że przeżyłem – mruczał jeniec. – Jeden z nich wypytywał mnie, a drugi zakradł się od tyłu, i – buch! Kiedy się ocknąłem, leżałem spętany łańcuchami w lochu.

Tertujak zaczął niespokojnie chodzić tam i z powrotem.

– Mówisz, że w pałacu cesarza nie ma włosianych kobierców. Ale widzę przecież, że rok po roku dziesiątki tysięcy gobelinów opuszczają planetę. Gdzie zawożą je cesarskie statki, jeśli nie do pałacu?

Obcy przytaknął.

– To jest właśnie najważniejsze pytanie. Nie mam pojęcia, jaka jest odpowiedź.

– Może nie mówimy o tym samym cesarzu?

– Mówimy o tym człowieku – powiedział jeniec i wskazał wiszącą na ścianie fotografię cesarza. Tertujak odziedziczył to zdjęcie po swoim ojcu, on z kolei po swoim, i tak dalej. – Cesarz Aleksander Jedenasty.

– Cesarz Aleksander? – właściwie pierwszy raz tego wieczoru Tertujak był naprawdę zaskoczony. – Nie wiedziałem, że ma jakieś imię.

– Popadło w zapomnienie. Był jedenastym z dynastii cesarzy, w której wszyscy mieli na imię Aleksander. Pierwszych dziesięciu dożyło też dosyć późnego wieku, ale on rządził dłużej niż wszyscy pozostali razem wzięci. Objął rządy tak niesamowicie dawno, że wydaje się, jakby rządził od początku czasów.

– Tak. – Tertujak potrząsnął głową, potem podjął swą niespokojną wędrówkę. Obcy przyglądał mu się w milczeniu.

Czy o to chodziło? Czy to było wyjaśnienie? Rozwiązanie zagadki malejącej liczby włosianych kobierców?

Siadł z powrotem na ławkę.

– To, co mówisz – wyznał – wzbudza we mnie sprzeciw. Ale jednocześnie nie mogę tego pojąć. Rozumiesz? Nie potrafię wyobrazić sobie, że cesarz nie żyje. On jest jakby we mnie w środku, jest częścią mnie.

– To tylko obraz cesarza jako nadludzkiej istoty. Powstał, bo tak cię wychowano, sam przecież nigdy go nie widziałeś. – Obcy próbował manipulować przy swoim pasku, na ile pozwalały mu łańcuchy. – Mam przy sobie zdjęcie, którego właściwie nie chciałem pokazywać, nim odbędzie się coś w rodzaju procesu…

Wydobył fotografię i podał ją handlarzowi. Tertujak spojrzał na zdjęcie. Makabrycznie wyraźnie widoczne były na niej zwłoki mężczyzny, przywiązane stopami do drzewca flagi i wiszące głową w dół. W piersiach widoczny był otwór większy niż pięść, jego brzegi wyglądały jak wypalone ogniem.

Gdy odwrócił zdjęcie, żeby przyjrzeć się twarzy, nagle pojął, jak rażony piorunem, jakby miało zatrzymać się jego serce, zrozumiał: znał tę twarz, znał ją lepiej od własnej! To naprawdę były zwłoki cesarza!

Odrzucił fotografię, wydając nieartykułowany okrzyk i opadł na poduszkę. To niemożliwe. To… Sięgnął znów po zdjęcie, upewnił się. Cesarz. Martwy. Martwy, w galowym mundurze, cesarskim płaszczu na ramionach, powieszony tak haniebnie na maszcie.

– Czujesz się teraz, jakbyś dostał młotkiem w skroń – głos rebelianta docierał do niego jak z oddali. – Jeśli to cię może pocieszyć: nie ty pierwszy. Ta fotografia jest dziś prawdopodobnie najbardziej znanym zdjęciem wszech czasów, to nasz najważniejszy sposób na uwalnianie ludzi od dławiącej wiary w boskość cesarza.

Tertujak prawie go nie słyszał. Zdawało mu się, że czaszkę wypełnia mu wrzątek. Jego świadomość pracowała z szaloną prędkością, przed oczami przemykały wszystkie wyryte w pamięci obrazy, próbował zobaczyć je inaczej i znaleźć w nich nowy sens: wszystko, wszystko musiał zrozumieć na nowo. Przestało być prawdą, co było prawdą od zawsze.

Co mówił wciąż tak wytrwale obcy? Nie rozumiał go. Widział tylko to zdjęcie i próbował pojąć prawdę w całym jej wymiarze: cesarz nie żył.

– …hałas na zewnątrz?

– Co? – Tertujak ocknął się z zamętu myśli i uczuć jak z sennego koszmaru. Teraz też usłyszał. Z zewnątrz docierały głośne dźwięki, wołanie, krzyki i uderzanie metalu o metal. Brzmiało to groźnie.

Jednym skokiem handlarz stanął na nogi, znalazł się przy drzwiach, pociągnął klapę wozu i wystawił głowę. Widział pochodnie, biegających ludzi, cienie i ciemne kontury wierzchowców, galopujących po obozowisku. Odgłosy walki. Zatrzasnął drzwi i macał

mięsistym łapskiem, szukając łańcuszka na szyi.

To już koniec, pomyślał.

– Co się dzieje? – spytał obcy.

– Rozbójnicy – odpowiedział handlarz nienaturalnym głosem. – Napadli na obóz.

– Rozbójnicy?

– Złodzieje włosianych kobierców. – Nie myliło go więc złe przeczucie. Oczywiście. Tutaj, krótko przed jedyną przełęczą przez ciągnące się szeroko w dal wzgórza Zarrak, było idealne miejsce na zasadzkę.

– Myślisz, że chcą ukraść włosiane kobierce?

Tertujak skinął głową.

– Ale jaki to ma sens? Co poczną tacy pustynni rabusie z włosianymi kobiercami?

– Sprzedadzą je innym handlarzom – wyjaśnił pośpiesznie Tertujak, próbując gorączkowo znaleźć wyjście z katastrofy. – Jest wyznaczona od wieków ilość dywanów, którą handlarz musi się wykazać po powrocie z trasy do miasta portowego. Jeśli nie będzie miał przepisanej ilości, wówczas zgodnie z kodeksem honorowym handlarzy powinien sam się zabić.

– A rozbójnicy sprzedają zrabowane dywany innym handlarzom, którzy mają problemy z ilością, lecz zależy im na życiu? – domyślił się rebeliant, a jego oczy błyszczały teraz jasno.

– Właśnie.

W kark handlarza wbijała się jak pazur myśl przypominająca prastary, pokryty kurzem głos, mówiący: Słuchałeś heretyka i on cię zwiódł. Uwierzyłeś mu, naprawdę mu uwierzyłeś – teraz zostaniesz za to ukarany!

Tertujak podniósł zdjęcie martwego cesarza i podał je jeńcowi.

– Nie masz broni? – spytał tamten i niespokojnie szarpnął łańcuchami.

– Mam żołnierzy.

– Zdaje się, że nie na wiele się zdadzą.

Tak, pomyślał Tertujak. To będzie już koniec.

Odgłosy walki zbliżały się, dzikie wrzaski i szczęk stali. Rozległ się krzyk przenikający do szpiku kości i o wóz coś uderzyło, jakby ludzkie ciało. Z zesztywniałych ze strachu palców handlarza wysunęły się zerwane resztki cienkiego łańcuszka, spadły na podłogę i zniknęły między futrami.

Przez przerażającą chwilę było zupełnie cicho. Potem drzwi wozu otwarły się i w świetle kopcącej pochodni ujrzeli pociemniałe, wysmarowane krwią twarze.

– Bądź pozdrowiony, handlarzu Tertujaku – zagrzmiał szyderczo pierwszy mężczyzna, brodaty olbrzym, na którego czole widniała stara

blizna. – Wybaczcie, proszę, że musimy was niepokoić tak późno wieczorem…

Wskoczył do wnętrza wozu, za nim trzech towarzyszy. Ironiczny uśmiech zniknął z jego twarzy, jakby kosztował go zbyt wiele wysiłku. Rzucił przelotne spojrzenie na jeńca, potem wskazał handlarza.

– Przeszukajcie go! – rozkazał.

Mężczyźni rzucili się na handlarza, darli na nim ubranie i szperali między fałdami, szarpali jego rzeczy, aż wisiały na nim same strzępy, jednak nie znaleźli tego, czego szukali.

– Nic.

Przywódca zbliżył się do Tertujaka i spojrzał na niego ostrym wzrokiem.

– Gdzie jest klucz do wozu z dywanami?

Tertujak przełknął ślinę.

– Nie mam go.

– Nie opowiadaj bajek, tłuściochu.

– Ma go jeden z moich ludzi.

Brodacz zaśmiał się z niedowierzaniem.

– Jeden z twoich ludzi?

– Żołnierz, na którym całkowicie polegam. Kazałem mu uciec, gdybyśmy zostali napadnięci.

– Niech to diabli! – W przypływie złości przywódca uderzył go w twarz tak mocno, że handlarz przewrócił się. Miał rozciętą dolną wargę, ale nawet nie pisnął.

Pozostali zaniepokoili się.

– Co teraz zrobimy?

– Weźmiemy cały wóz – zaproponował jeden z nich, krępy mężczyzna, na jego prawej ręce widać było zakrzepłą krew, nie wyglądała na jego własną. – Jakoś go otworzymy…

– Idiotyzm! – ofuknął go brodacz. – Jak myślisz, po co ten wóz jest opancerzony? Nie uda się. Musimy mieć klucz.

Rabusie patrzyli na siebie. Z zewnątrz dochodziły jeszcze pojedyncze odgłosy walki.

– Moglibyśmy o świcie przeszukać całą okolicę – stwierdził inny. – Człowiek bez konia nie ucieknie przecież daleko.

– A skąd wiesz, że nie wziął konia? – spytał krępy.

– Bądźcie cicho! – rozkazał przywódca stanowczo i odwrócił się ponownie do handlarza, z którego wargi kapała krew. – Nie wierzę – powiedział, a jego głos zabrzmiał niebezpiecznie cicho. – Nie wierzę, że handlarz mógłby wypuścić z ręki klucz do wozu z włosianymi kobiercami. – Przyjrzał się Tertujakowi badawczo. – Otwórz usta.

Handlarz nie zareagował.

– Mówię, że masz otworzyć usta! – wrzasnął na niego brodaty olbrzym.

– Dlaczego? – spytał Tertujak.

– Bo myślę, że chcesz nas oszukać. – Nagłym, brutalnym ruchem chwycił brodę handlarza i zmusił go do otwarcia ust.

– Widzę w twoim gardle kilka świeżych zadrapań – oznajmił i spojrzał na handlarza ze współczuciem. – Nie wierzę w twojego żołnierza. Wiesz, co myślę? Myślę, że połknąłeś klucz!

Oczy handlarza zrobiły się nienaturalnie wielkie. Nie był już w stanie nic powiedzieć, tylko jego wzrok zdradzał prawdę.

– No? – wyszeptał rozbójnik. – Mam rację?

Tertujak zakaszlał, jakby się dławił.

– Tak – wykrztusił z trudem.

Ostatni cień miłosierdzia zniknął nagle z oczu brodacza, gdy sięgnął za siebie i zza pasa wydobył nóż o długim, ostrym ostrzu.

– Nie powinieneś był tego robić – powiedział cicho. – Naprawdę nie powinieneś był tego robić.

Palce flecisty

Wąska uliczka spała jeszcze. Lekka poranna mgła zawisła między chylącymi się frontami domów, mieszała się ze swędem wystygłych kominków, w których w ciągu nocy wygasł ogień, i gdy pierwsze promienie słońca łaskotały szczyty dachów niewielkich, koślawych chat, wszystko wyglądało jak zanurzone w delikatnym świetle z sennego marzenia. W niektórych ciemnych zakamarkach leżeli na gołej ziemi śpiący żebracy, podobni do kopczyków ziemi, owinięci aż po czubek głowy w potargane koce. W śmieciach grzebało z zapałem kilka małych gryzoni, na tyle sytych, by łaskawie omijać śpiących, niektóre z nich odważyły się podejść, węsząc, aż na środek uliczki, do wąskiego rynsztoka, w którym leniwie szemrała woda.

Przestraszone odskoczyły na bok i jak za pociągnięciem sznurka zniknęły w swoich norach, gdy szczelnie osłonięta postać nadeszła szybkim krokiem, dysząc, potykając się, pospiesznie skradając z jednego cienia w drugi, w końcu dotarła do domu nauczyciela gry na flecie Opura. Głucho zabrzmiały dwa uderzenia kołatką.

W tym momencie na piętrze domu obudził się z niespokojnego snu stary człowiek, patrzył w sufit i zastanawiał się, czy słyszany przed chwilą hałas pochodził ze snu, czy był rzeczywistością. Wtedy stukanie rozległo się ponownie. Więc jawa. Odrzucił kołdrę, wsunął stopy w pantofle, sięgnął po znoszony szlafrok i założył go, podchodząc do okna, by je otworzyć. Spojrzał w dół na ulicę, pustą, opuszczoną, cuchnącą jak każdego ranka zjełczałym tłuszczem.

Z cienia u stóp domu wynurzył się nieśmiało chłopiec, spojrzał w górę na Opura, odrzucając chustę, która osłaniała mu twarz. Mistrz zobaczył jasne loki okalające oblicze, którego nie spodziewał się zobaczyć już nigdy w życiu. – Ty?!

– Pomóżcie mi, mistrzu – wyszeptał wychudły chłopak. – Uciekłem.

Nagła radość, która wypełniła serce staruszka, ustąpiła miejsca bolesnemu otrzeźwieniu. Przez jedno mgnienie oka zdawało mu się, że będzie znowu tak, jak dawniej.

– Czekaj – powiedział. – Już schodzę.

Ten chłopak, co on najlepszego narobił? Opur smutno potrząsał głową, spiesząc schodami w dół. Ściągnął na siebie nieszczęście. To nie skończy się dobrze. Opur wiedział o tym, jednak w głębi serca pragnął uwierzyć w coś dokładnie przeciwnego.

Otworzył ciężką zasuwę. Przed nim stał chłopiec, drżący i przerażony patrzył na niego wielkimi, niebieskimi oczyma, niegdyś pełnymi zaufania i natchnienia. Teraz ta twarz była naznaczona strachem i niedostatkiem.

– Wejdź – powiedział stary flecista, wciąż niepewny, czy powinien się cieszyć, czy bać. Ale gdy chłopak wszedł do wąskiej, ciemnej sieni, schylając się pod niskim sufitem, wziął go po prostu w ramiona, nie zastanawiając się więcej.

– Mistrzu Opurze, musicie mnie ukryć – wyszeptał łamiącym się głosem chłopiec. – Gonią mnie. Szukają.

– Pomogę ci, Piwano – wymruczał Opur i wsłuchał się w brzmienie tego imienia, którego nie wymawiał od dnia, gdy cech właśnie tego chłopca, najlepszego z jego uczniów, najzdolniejszego wirtuoza trójfletu, jaki kiedykolwiek grał na tym instrumencie, wyznaczył do służby na cesarskim statku.

– Chcę znów grać na trójflecie, mistrzu. Będziecie mnie uczyć? – Broda chłopca drżała. Był u kresu sił.

Opur miękko i, miał nadzieję, uspokajająco, poklepał go po ramieniu.

– Oczywiście, mój chłopcze. Ale najpierw musisz się wyspać. Chodź.

Zdjął wielki obraz, za którym ukryte były drzwi do piwnicy i odstawił go na bok. Piwano zszedł za nim schodami do pomieszczenia, którego podłogę stanowiło gliniane klepisko, a ściany były z surowej cegły. Jeden ze starych, zakurzonych regałów obracał się na niewidocznych osiach, otwierał dojście do drugiej, ukrytej piwnicznej izby, w której postawiono łóżko, olejną lampę i trochę zapasów żywności. Nie pierwszy raz w życiu sędziwy nauczyciel gry na flecie miał ukrywać uciekiniera.

Nie minęło kilka chwil, a chłopiec już zasnął. Spał z otwartymi ustami, chwilami wstrzymywał oddech, by potem dysząc łapać powietrze. Jedna ręka kurczowo dygocząc, drapała niewidoczną przeszkodę, rozluźnił ją dopiero po dłuższej chwili.

Opur z westchnieniem pokiwał głową. Ostrożnie podniósł olejną lampę i przestawił ją w bezpieczne miejsce. Potem zostawił śpiącego chłopca samego, zamknął ukryte drzwi i wrócił na górę. Przez moment wahał się, czy sam też ma się jeszcze położyć, w końcu jednak zdecydował inaczej.

Zamiast spać, przygotował sobie śniadanie i zjadł je w milczeniu o pierwszym brzasku dnia, załatwił kilka domowych obowiązków, potem poszedł na górę do pokoju ćwiczeń, by zasiąść nad starymi zeszytami nutowymi.

Tego dnia pierwsza uczennica przyszła krótko przed południem.

– Przykro mi z powodu opłaty za lekcje – zaczęła paplać, gdy tylko otwarł drzwi. – Wiem, że dziś jest termin, myślałam o tym już w zeszłym tygodniu, przez cały czas. Chcę przez to powiedzieć, że nie zapomniałam…

– Tak, tak – niechętnie przytaknął Opur.

– Chodzi o to, że muszę czekać na mego brata; lada dzień przyjedzie do miasta – właściwie już dawno powinien tu być. Trzeba wam wiedzieć, że jeździ z handlarzem Tertujakiem i zawsze, gdy wraca z trasy, daje mi pieniądze, ile tylko potrzebuję. A na handlarza Tertujaka już tu czekają, możecie spytać, kogo chcecie…

– W porządku – przerwał niecierpliwie nauczyciel i ruchem głowy wskazał schody prowadzące do pokoju ćwiczeń. – Zapłacisz następnym razem. Zaczynajmy już.

Opur odczuwał brak snu. Musi odzyskać równowagę, na ile tylko zdoła. Usiedli naprzeciw siebie na dwóch poduszkach i, gdy kobieta wyjęła trójflet i nuty do ćwiczeń, Opur przykazał jej zamknąć oczy i wsłuchać się we własny oddech.

Sam zrobił to samo. Poczuł, jak opuszcza go niepokój. Wewnętrzne opanowanie było ważne. Bez wewnętrznego wyciszenia nie było mowy o tym, by grać na tak trudnym instrumencie, jak trójflet.

Zgodnie ze swym zwyczajem, Opur sięgnął najpierw po własny instrument i zagrał krótki utwór. Potem pozwolił uczennicy, by znów otworzyła oczy.

– Kiedy będę potrafiła zagrać coś takiego, mistrzu? – spytała cicho.

– To było PAU-LO-NO – wyjaśnił spokojnie Opur – najłatwiejszy z utworów klasycznych. To będzie pierwszy grany przez ciebie klasyczny utwór. Ale, jak wszystkie przekazane nam utwory na flet, jest wielogłosowy – a to znaczy, że musisz najpierw opanować grę jednogłosową. Posłuchajmy, jak wychodzą ci ćwiczenia.

Przyłożyła trójflet do ust i dmuchnęła. Po grze Opura zabrzmiało to jak koszmarny fałsz i sędziwy mistrz musiał, jak to się często zdarzało, z całych sił powstrzymać wykrzywiający mu twarz grymas cierpienia.

– Nie, nie, jeszcze raz pierwsze ćwiczenie. Musisz przede wszystkim starać się grać *czystym* dźwiękiem…

Trójflet składał się z trzech oddzielnych fletów, każdy o ośmiu otworach, zakrywanych opuszkami poszczególnych części palców. Z tej przyczyny flety były osobliwie wygięte w kształcie litery S, by można było dopasować je do dłoni grającego i do różnej długości palców. Każdy wykonano z innego materiału, jeden z drewna, drugi z kości i trzeci z metalu. Każdy z trzech fletów nadawał dźwiękowi inną barwę, a gdy grało się na wszystkich równocześnie, powstawało to niepowtarzalne brzmienie, z którego od wieków słynęły trójflety.

– Musisz zwracać uwagę na mały palec, trzymaj go luźno, ma być sprężysty i mieć swobodę ruchów. Trzeba go wyprostować, bo tego wymaga rozmieszczenie dziurek, ale nie powinien przez to utracić ruchliwości…

Warunkiem gry na trójflecie były długie, giętkie palce o wyraźnie zaznaczonych cząstkach. Szczególną zaletą był długi mały palec. Gra nie polegała tylko na tym, by, jak przy zwykłym flecie, równomiernie zakrywać i odsłaniać otwory. Grali tak tylko początkujący, gdy poznawali podstawy techniki gry i wiedzy muzycznej. Zaawansowany muzyk grał wielogłosowo. Dzięki umiejętnemu zginaniu i odchylaniu poszczególnych palców wydobywał z każdego fletu inny dźwięk; potrafił na przykład tak unieść środkowe części palców, by zakryć dziurki na obu zewnętrznych fletach, zostawiając otwarte we flecie środkowym.

– Dobrze, spróbuj teraz zagrać ćwiczenie dziewiąte. Jest w nim już krótki kawałek dwugłosowy, o, tutaj. W tym miejscu podniesiesz dwa dolne palce, tak, żeby otworzyć dziurki w dwu zewnętrznych fletach, a w środkowym zamkniesz je końcówkami palców. Spróbuj.

Był dziś zbyt niecierpliwy, mimo, że próbował się opanować. Uczennica naprawdę starała się, gdy przestawała się na chwilę wiercić, udawało jej się grać w miarę przyzwoicie.

– Stop, stop. Ten symbol oznacza, że masz językiem zamknąć w ustniku otwory dwóch fletów i dmuchać tylko w jeden, aż do tego miejsca. Jeszcze raz i zwróć uwagę na różnicę.

Pod koniec lekcji dziewczyna była uszczęśliwiona, że udało jej się jako tako zagrać nowe ćwiczenie, zaś Opur poczuł ulgę, że zajęcia dobiegły końca. Udało mu się pożegnać ją, nie przeciągając rozmowy.

Potem zaraz pospieszył do piwnicy, żeby zobaczyć, jak czuje się Piwano.

Chłopiec siedział oparty plecami o ścianę i zajadał z apetytem zapasy, które znalazł w swej kryjówce. Sprawiał wrażenie obudzonego przed chwilą, ale wyglądał znacznie lepiej niż rano. Gdy Opur otwarł ukryte drzwi, uśmiechnął się zadowolony.

– Opowiedz mi o wszystkim – zażądał staruszek. – Po kolei.

Piwano odłożył chleb i opowiadał. O ciężkim szkoleniu, przez które musiał przejść, o szorstkim, grubo ciosanym otoczeniu, w którym przyszło mu żyć na pokładzie cesarskich statków kosmicznych. O obcych, niegościnnych światach, wyniszczającej pracy, chorobach i złośliwych napaściach innych członków załogi.

– Przepędzali mnie, gdy grałem, chowałem się w maszynowni, żeby ćwiczyć – opowiadał drżącym głosem. – Potem połamali mój flet, a gdy próbowałem zrobić sobie nowy, połamali go także.

Opurowi, słuchającemu historii chłopca, zdawało się, że piersi ściska mu stalowa obręcz.

– Naraziłeś się na wielkie niebezpieczeństwo, Piwano – z powagą wyraził swoje wątpliwości. – Zdezerterowałeś ze służby cesarskiej. Za to grozi kara śmierci!

– Mistrzu, nie mogę być żeglarzem! – krzyknął Piwano. – Nie

mogę tak dłużej. Jeśli miałbym dalej żyć w ten sposób, to wolę umrzeć. Nie chodzi o służbę cesarzowi; oczywiście kocham cesarza, ale… – Zawiesił głos.

– Ale jeszcze bardziej kochasz flet, prawda?

Piwano skinął głową.

– Tak.

Opur milczał zamyślony. Nie wiedział, jak postąpić. Sam był stary; nie obawiał się o siebie, wszystko jedno, co się wydarzy. Bał się tylko o chłopca.

Dezercja była ciężkim przestępstwem, na tyle znał prawo obowiązujące w cesarskiej flocie. Nawet, gdyby Piwano zgłosił się dobrowolnie, spotkałaby go surowa kara, prawdopodobnie wiele lat karnej służby na jakiejś niecywilizowanej planecie. Dla takiego kruchego, wrażliwego chłopca równałoby się to wyrokowi śmierci.

– Mistrzu, czy mogę znów dostać flet? – spytał Piwano.

Opur przyjrzał mu się. W oczach chłopca ciągle jeszcze zauważał blask tego całkowitego, bezwzględnego oddania czemuś większemu od niego samego; ten blask, który stary nauczyciel gry na flecie odkrył już u ośmiolatka.

– Chodź – powiedział.

Weszli do izby szkolnej. Piwano zabłysły oczy, gdy ponownie znalazł się w dużym pokoju, w którym spędził wiele lat swojego dzieciństwa; poczuł, jakby niewidzialna moc na nowo napełniała go życiem.

Opur podszedł do okien wychodzących na uliczkę i upewnił się, że nie było na niej widać żołnierzy cechu. Potem skinął na chłopca, by ten podszedł do niego.

– Piwano, jestem gotów ukrywać cię, jeśli będzie trzeba, nawet przez wiele lat – oświadczył poważnie. – Ale nie wolno ci nigdy wyjść z domu, nawet, jeśli na zewnątrz nie będzie nic podejrzanego – nigdy. Cech ma przebranych informatorów, nikt nie wie, kto jest na ich żołdzie. Powinieneś też trzymać się z daleka od okien. Na dole w kryjówce możesz grać na flecie; przynajmniej w ciągu dnia nie dochodzi stamtąd na ulicę żaden dźwięk. Zgadzasz się?

Piwano skinął głową.

– Gdyby jednak kiedyś doszło do tego, że będziesz musiał uciekać, pokażę ci drogę, znaną tylko nielicznym wtajemniczonym. – Opur wskazał na cofnięty od ulicy budynek, naprzeciw swego domu, wciśnięty między wystawę sprzedawcy koszyków a bufet brudnej, ciemnej garkuchni. – To pralnia. Musisz do niej pobiec. Z przodu od razu widać, że na podwórku za domem urządzono suszarnię, zawsze suszą się tam ręczniki. Między ręcznikami nie będzie cię widać. Ścigający pomyślą natychmiast o wyjściach, prowadzących z suszarni na sąsiednią uliczkę. Ale ty skręcisz od razu w lewo i wejdziesz od tyłu

do jadłodajni. Tam jest w podłodze klapa prowadząca do piwnicy, na dole zobaczysz regał taki jak u mnie, który odchylisz na bok. Wejście prowadzi do długiego, bardzo długiego korytarza, którym dojdziesz do sieci wodociągowej miasta. Znaczy to, że nawet gdyby wydało się, którędy tam wszedłeś, masz tysiące możliwych wyjść.

Piwano znowu przytaknął. Opur bywał świadkiem, jak ten chłopiec błyskawicznie zapamiętywał nuty całych utworów; teraz był pewien, że wszystko zrozumiał i nigdy nie zapomni.

Podszedł do szafy, w której przechowywał swoje nuty, książki i instrumenty. Po krótkim zastanowieniu wyjął odrapany futerał, otwarł go i wyjął trójflet, który podał Piwano.

– To bardzo, bardzo stary flet, przechowywałem go od dawna na specjalną okazję – wyjaśnił. – Myślę, że ta szczególna chwila nadeszła.

Piwano uważnie wziął w ręce instrument, obracał i przyglądał mu się.

– Jest jakiś inny – powiedział.

– Zamiast kościanego fletu jest szklany – Opur zamknął pusty futerał i odłożył go. – Szkło zmatowiało ze starości. Będziesz musiał się przyzwyczaić, szklany flet ma ostrzejszy dźwięk od kościanego.

Piwano ostrożnie przyłożył trójflet do ust i objął palcami trzy wijące się flety. Dmuchnął akord. Zabrzmiał przenikliwie i fałszywie. Staruszek uśmiechnął się.

– Poradzisz sobie.

Dziesięć dni później cesarski statek kosmiczny odleciał. Przez cały czas widać było w oddali tego srebrnego kolosa, jak stoi na starej, wyboistej płycie portu kosmicznego. Jednak tego ranka powietrze nad miastem zadudniło śpiewem silników statku i Opur z Piwanem śledzili razem z okna, jak błyszczący metalicznym połyskiem pojazd kosmiczny wznosi się nad domami, najpierw ociężale, potem coraz szybciej, wyżej i wyżej, aż zmienił się w mikroskopijny punkt, który znikł wysoko na niebie. Cisza, która potem nastała, była jak wyzwolenie.

– Teraz też nie możesz być lekkomyślny, Piwano – upomniał stary. – Oni odlecieli, nie wrócą wcześniej niż za dwa lata. Ale cech nie przestanie ciebie szukać.

Mijały miesiące. Piwano odzyskał dawną wirtuozerię; godzinami przesiadywał w swej kryjówce i grał klasyczne utwory, szlifował technikę, próbował wariacji, niezmordowanie i bez odpoczynku. Opur siedział czasem przy nim i po prostu przysłuchiwał się, niekiedy grali w duecie. I tak nie mógł go już niemal niczego nauczyć.

Piwano płonął zachwytem. Po krótkim czasie odważył się grać najtrudniejsze utwory; te, które nawet Opurowi zawsze sprawiały trudności. Ku oszołomieniu mistrza chłopiec poradził sobie nawet z wykonaniem HA-KAO-TA, jednego z klasycznych utworów,

uchodzących za prawie niemożliwe do zagrania.

– Co to za słowa pod nutami? – spytał Piwano, gdy Opur położył przed nim stary rękopis.

– Transkrypcje zapomnianego języka – powiedział mistrz. – Wszystkie klasyczne utwory na trójflet są bardzo stare, niektóre mają sto tysięcy lat albo więcej. Są nawet mistrzowie, którzy twierdzą, że trójflet jest starszy od gwiazd i że to z jego brzmienia został stworzony świat. Ale to oczywiście nonsens.

– A czy wiadomo, co te słowa znaczą?

Opur skinął głową.

– Chodź za mną.

Z piwnicy weszli do sali ćwiczeń. Opur podszedł do małego stolika stojącego pod oknem wychodzącym na uliczkę i wziął leżącą na nim szkatułę, ozdobioną wytartymi rzeźbionymi wzorami.

– Stare utwory na flet są w rzeczywistości opowieściami, napisanymi w starym, zapomnianym języku. Słowa tego języka nie brzmią tak, jak my mówimy, ale są sekwencjami dźwięków trójfletu. W tej szkatule przechowuję klucz do tego języka. To tajemnica mistrzów trójfletu.

Podniósł wieczko skrzyneczki. Leżał w niej jego własny flet, a z nim plik starych papierów, odpisy nut i ręczne notatki, częściowo pożółkłe i kruche.

Piwano wziął zapiski, wręczone mu przez Opura i przyjrzał im się. Skinął lekko głową, gdy zrozumiał zasadę: długość dźwięków, rytm i akcent były zgodne z wymaganiami utworu muzycznego, podczas gdy sekwencje dźwięków i szeregi akordów oznaczały słowa i pojęcia.

– Częściowo odczytałem te historie. Najstarsze mówią o Złotym Wieku, kiedy panował dostatek i szczęście, rządzili mądrzy, dobrotliwi królowie. Inne utwory opowiadają o okrutnej wojnie, od której rozpoczęła się era ciemności, o ostatnim królu, od tysiącleci samotnie uwięzionym w zamku, który nie może robić nic innego, jak tylko stale płakać nad losem swego ludu.

Odłożył papiery na miejsce i zamknął pokrywę.

– Przed śmiercią przekażę ci tę szkatułę, zostaniesz moim następcą – wyjaśnił.

Nadszedł koniec roku i rozpoczął się czas przygotowań do dorocznego koncertu uczniów. Opur zadawał sobie pytanie, czy krąg grających na trójflecie i nielicznych słuchaczy, najczęściej ich krewnych i przyjaciół, rozrośnie się kiedyś tak, że nie pomieści ich w sali ćwiczeń. Wyglądało jednak raczej na to, że z każdym rokiem publiczności ubywa. Mimo to koncert był ważny, gdyż wyznaczał uczniom jakiś cel, a konkurencja z innymi pozwalała ocenić krytycznie własną grę.

Koncert był już blisko, gdy Piwano oświadczył, że też chciałby zagrać.

– Nie – zdecydowanie odparł Opur. – To zbyt ryzykowne.

– Dlaczego? – upierał się Piwano. – Myślisz, że wśród publiczności będzie szpieg cechu? Przecież znasz wszystkich, od lat przychodzą ci sami.

– Jak sądzisz, jak szybko rozejdzie się wiadomość, że ktoś zagrał HA-KAO-TA? Nie bądź lekkomyślny, Piwano.

Piwano zacisnął pięści.

– Mistrzu, ja *muszę* zagrać. Nie mogę wiecznie siedzieć w piwnicy i grać tylko dla siebie. To… nie jest *pełne,* rozumiesz? Sztuka staje się naprawdę sztuką dopiero, gdy dociera się z nią do innych ludzi. Jeśli gram, a nikt tego nie słyszy, to nie ma żadnej różnicy, czy gram, czy nie.

Mistrz fletu poczuł, jak rośnie w nim złość i strach o chłopca. Ale znał go wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że Piwano i tak zawsze w końcu zrobi, co sam uważa za słuszne, nawet, jeśli miałoby go to kosztować życie.

– Więc dobrze, niech będzie – poddał się. – Ale tylko pod jednym warunkiem: nie zagrasz żadnych trudnych utworów, nic, co mogłoby zwrócić uwagę. Zagrasz łatwe wielogłosowe utwory, które grają też inni. Nic trudniejszego od SHEN-TA-NO. – Mówił to śmiertelnie poważnie. Był gotowy zagrozić Piwano, że go wyrzuci, gdyby ten nie zaakceptował warunków.

Ale Piwano skinął głową z wdzięcznością.

– W porządku, mistrzu.

Mimo to Opur oczekiwał koncertu z niedobrym przeczuciem. Jego napięcie udzieliło się też pozostałym uczniom i wprowadziło między nich nerwowość. Nigdy przedtem nie było mu tak trudno dokonać niezbędnych przygotowań. Niezliczoną ilość razy zmieniał kolejność występów, równie często przestawiał usadzenie widowni; nie zadowalało go obicie krzeseł, niemal pokłócił się z kucharzem z jadłodajni, który miał przygotować napoje i skromny poczęstunek.

Wreszcie nadszedł wieczór koncertu. Opur osobiście witał przy drzwiach wszystkich gości; na górze w pokoju koncertowym jedna z uczennic wskazywała im miejsca. Wszyscy przyszli w swych najlepszych ubraniach, jednak wśród ludzi mieszkających w tej części miasta nie oznaczało to wielkiej elegancji. Opur jako mały chłopiec uczestniczył kiedyś w koncercie, który jego własny mistrz dał w centrum; czasem opanowywało go podejrzenie, że organizowanymi przez siebie występami próbuje naśladować rozrzutny przepych tamtego dnia, a udaje mu się uzyskać tylko parodię święta.

Jak było w zwyczaju, na rozpoczęcie mistrz powiedział kilka słów, krótko omówił miniony rok i objaśnił niektóre utwory z

programu. Potem rozpoczęli swoje występy najmłodsi początkujący – sprawdzona praktyka, gdyż najczęściej cierpieli wielką tremę i źle byłoby kazać im czekać zbyt długo.

Początek przeciągał się. Pierwszy uczeń zapomniał powtórzyć dźwięk, gdy to zauważył, wypadł z rytmu i zaczął grać coraz szybciej, żeby mieć swój występ już za sobą. Na niektórych twarzach pojawiły się wyrozumiałe uśmiechy, mimo wszystko nagrodzono go oklaskami, gdy kłaniał się zarumieniony aż po czubek głowy. Druga uczennica, starsza kobieta, nawet Opura zaskoczyła niezwykłą płynnością swej gry; najwyraźniej tym razem naprawdę ćwiczyła. Stopniowo koncert nabierał prężności, momentami było naprawdę nieźle i Opur czuł, jak powoli opada z niego napięcie, które nie chciało opuścić go w ostatnich dniach.

Potem zaczął grać Piwano.

W momencie, gdy przyłożył do ust swój trójflet i dmuchnął pierwsze dźwięki, przez słuchaczy przeszło jakby szarpnięcie. Nagle pomieszczenie wypełniło się elektrycznością. Głowy podniosły się i plecy wyprostowały, jak pociągnięte niewidzialnymi nitkami. W chwili, gdy wydobył z fletu pierwszy dźwięk, stało się jasne, że wschodzi tutaj gwiazda. Wcześniej powietrze pełne było dźwięków jak odcienie szarości, te były barwne. Poprzednio czuło się wysiłek wkładany w miarę udaną grę, teraz widziano osiąganą bez trudu doskonałość. Jakby rozwiały się chmury i przedarł się przez nie promień czystego światła.

Piwano grał PAU-NO-KAO, prosty wielogłosowy utwór, grany wcześniej przez innego ucznia. Nie grał nic ponad to, co grali już inni przed nim – ale jak on to grał!

Nawet Opur, choć słyszał go grającego nieskończenie trudniejsze rzeczy i miał dla niego najwyższe uznanie, słuchał jak urzeczony. To było objawienie. Zdawało się, że w tym prostym utworze ów szczupły chłopiec o jasnych włosach przerasta sam siebie, jakby jednym kwantowym skokiem wzniósł się na nowy poziom gry na trójflecie. Łatwym utworem zdeklasował wszystkich pozostałych, odesłał ich z powrotem na miejsca, raz na zawsze pokazał, kto w tym pokoju jest początkujący, a kto mistrzem. Potem nikt nie będzie mógł przypomnieć sobie żadnego innego utworu, wszyscy zapamiętają ten.

Jego palce tańczyły bez trudu i lekko nad fletami, jak inni oddychają albo mówią, śmieją się i kochają. Nie zadowolił się wielogłosowością utworu, lecz wykorzystał fakt, że flet metalowy miał inną barwę dźwięku niż drewniany, zamieniał dźwięki między nimi, tworząc instynktowne, przeciwbieżne ruchy; bawił się skłonnością szklanego fletu do wchodzenia w ostry dyszkant przy nadmiernie mocnym dmuchnięciu, w ten sposób dodał niektórym pasażom dramatyzmu, jakiego nigdy wcześniej nie słyszano.

Inni *grali* na trójfletach – ten człowiek stopił się w jedno z instrumentem, zapomniał się całkowicie, w zupełnym oddaniu.

Większość słuchaczy nie poznała, co właściwie robił, jednak każdy czuł, że odbywało się coś niesłychanego, że dano im tutaj, w tym małym ubogim pokoju zajrzeć w zapomniany, cudowny świat. Bóg był obecny. Stawał się Bóg. Tańczył w muzyce, jakiej ludzie nie słyszeli od tysięcy lat i każdy wstrzymał oddech.

A gdy się to skończyło i Piwano w zadumie przyjmował oklaski, Opura opanował strach.

Przyszli dwa dni później, krótko przed wschodem słońca. Weszli bez uprzedzenia i nim Opur podniósł się z pościeli, cały dom pełen był żołnierzy, szorstkich rozkazów i tupotu wojskowych butów.

Czarnobrody olbrzym w skórzanym mundurze, jaki nosiły patrole cechu, podszedł do nauczyciela.

– Jesteście Opur? – spytał wyniośle.

– Tak.

– Jesteście podejrzani o ukrywanie zbiegłego żeglarza cesarskiej floty.

Choć wszystko w nim drżało, odpowiedział na spojrzenie żołnierza opanowanym chłodem.

– Nie wiem nic o żadnym żeglarzu, wyjaśnił.

– Tak? – Brodacz zmrużył jedno oko, drugim przyglądając mu się gniewnie. – Cóż, zobaczymy. Moi ludzie przeszukują dom.

Nie mógł się temu sprzeciwić. Opur z całej siły starał się nie stracić opanowania i wyglądać na nie zainteresowanego całym zajściem. Może dopisze im szczęście.

Ale szczęście nie dopisało. Dwóch żołnierzy przywlokło po schodach przerażonego Piwano i pokazało go śmiejącemu się triumfalnie dowódcy.

– No więc – krzyknął. – Ładowacz Piwano, trzeci oddział ładowaczy na statku KARA. Wcześniej czy później znajdujemy ich wszystkich. I wszyscy, wszyscy tego żałują.

Mistrz fletu stanął przed dowódcą patrolu i upadł na kolana.

– Proszę, zlitujcie się – błagał. – On jest złym żeglarzem, ale dobrym flecistą. Jego skarbem nie są silne ramiona cesarskiego żeglarza, ale palce flecisty…

Dowódca spojrzał pogardliwie na staruszka.

– Jeśli palce flecisty przeszkadzają mu w służbie cesarzowi, naszemu panu, to naszym obowiązkiem jest mu pomóc – zakpił i chwycił prawą dłoń Piwano, by przycisnąć ją do poręczy schodów. Potem sięgnął po swoją ciężką drewnianą pałkę.

Opura ogarnęło nagłe przerażenie, gdy pojął, że ten człowiek zamierza połamać palce Piwano. Bez chwili namysłu poderwał się i z

całej siły, zwielokrotnionej strachem o ucznia, uderzył żołnierza w brzuch. Dowódca, który niczego nie spodziewał się mniej, niż napaści ze strony sędziwego nauczyciela gry na flecie, zachłystując się powietrzem, zgiął się wpół, potknął i upadł. Chłopiec uwolnił się.

– *Biegnij!*

Piwano ruszył nagle z chyżością łasicy, jakiej Opur nie widział jeszcze nigdy u swego rozmarzonego wychowanka, wyjąwszy jego grę na flecie. Chłopiec śmiałym susem skoczył przez poręcz schodów w dół, nim którykolwiek z żołnierzy zdążył zareagować.

Opur poderwał się i rzucił do okna, gwałtownie je otworzył i chwycił szkatułkę ze swym własnym fletem. Na dole Piwano właśnie wybiegał z domu.

– Mistrzu Piwano! – krzyknął Opur i rzucił mu skrzynkę.

Piwano zatrzymał się, złapał szkatułę i rzucił swemu nauczycielowi ostatni, nierozsądnie szelmowski uśmiech. Potem zerwał się, ruszył gwałtownie i zniknął w szerokich drzwiach pralni.

Żołnierze deptali mu po piętach. Przed pralnią zatrzymali się, jeden wydawał rozkazy, podzielili się, rozbiegli, chcąc zablokować sąsiednie uliczki w nadziei, że w ten sposób okrążą zbiega.

Opur poczuł na ramieniu ciężką dłoń jednego z żołnierzy i poddając się, zamknął oczy. Światło było uratowane i przekazane następnemu pokoleniu. Nic więcej nie mógł zrobić.

Cesarski archiwista

Dawniej to było imperium! Dawniej, kiedy jeszcze żył cesarz. W tamtych czasach w tych wielkich marmurowych salach, skrywających świadectwa chwalebnej historii cesarskiego imperium, panowała cisza, nie docierały do nich żadne dźwięki poza szuraniem własnych kroków i szmerem własnego oddechu. Tu spędzał całe dnie i lata, tu zestarzał się w służbie cesarza.

A te pełne blasku chwile, gdy sam cesarz osobiście przychodził w to miejsce, do archiwum, którego on strzegł dla równego bogom! W takie dnie szeroko otwierał potężne stalowe odrzwia, zapalał wszystkie lampy i czekał potem na najniższym stopniu półokrągłych schodów, aż podjedzie wóz cesarza. Później stał skromnie w przedsionku, nieco na uboczu przy jednej z kolumn, wzrok pokornie wbity w podłogę; jego największą nagrodą było, gdy cesarz przechodząc, pozdrowił go majestatycznym skinieniem głowy, zaledwie widocznym, ale jako pierwszego, przed wszystkimi innymi. Jego, garbusa. Jego, Emparaka, swego najwierniejszego sługę. Jego, który znał imperium lepiej niż którykolwiek inny śmiertelnik.

Ale potem nastali nowi panowie i zdegradowali go do pozycji zwykłego posługacza, pozbawionego wszelkich praw dozorcy niegodnych szacunku pozostałości, nadającego się akurat do tego, by polerować kosztowne marmury, czyścić szklane pokrywy i wymieniać zużyte żarówki. Jakże on ich nienawidził! *Pełnomocnicy Tymczasowej Rady do Badań Cesarskiego Archiwum.* Wolno im było wchodzić i wychodzić, kiedy zechcieli; grzebali we wszystkich dokumentach i szafach archiwum, mącili ciszę tysiącleci swą hałaśliwą gadaniną. Nic nie było dla nich święte. A jeśli z nim rozmawiali, to zawsze tak, by dać mu odczuć, że są młodzi, piękni i mają władzę, a on jest stary, brzydki i pozbawiony wszelkich praw.

Oczywiście, nie przypadkiem posadzono przed jego nosem dwie kobiety. Chcieli go upokorzyć. Kobiety ubierały się zgodnie z najnowszą modą, modą rebeliantów, która wiele odkrywała, a jeszcze więcej pozwalała się domyślać i zawsze ustawiały się tak blisko, że nawet on swymi starymi oczyma krótkowidza nie mógł nie widzieć ich powabnych, obfitujących w apetyczne zaokrąglenia ciał, tak bliskich, że mógłby ich dotknąć, a przecież nieosiągalnych dla kuśtykającego starego kaleki, jak on.

Przed chwilą znowu przyszli, jak zwykle bez zapowiedzi i rozgościli się w Wielkiej Czytelni, centralnym punkcie archiwum. Emparak stał w cieniu kolumn przy wejściu i przyglądał się im. W środku siedziała rudowłosa kobieta. *Rhuna Oriona Pernatuan.* Jakże się wywyższali swymi potrójnymi imionami, ci rebelianci! Obok niej stała

kobieta o niezwykle długich jasnych włosach; o ile wiedział, była asystentką rudej. *Lamita Terget Utmansalen.* Przyprowadziły mężczyznę, Emparak nie spotkał go nigdy wcześniej, znał go jednak z dokumentów rządowych. *Borlid Ewo Kenneken. Członek Komisji do Spraw Pozostałości Imperium.*

– Mamy za mało czasu! – wołała ruda. – Będzie tu za dwie godziny, a nie mamy nawet koncepcji. Jak sobie to wyobrażacie?

Mężczyzna otworzył dużą teczkę i wyjął z niej plik akt. – Musi się udać. Nie potrzeba szczegółów. On chce mieć tylko jasny, krótki raport, żeby móc podjąć decyzję.

– Ile będzie miał dla nas czasu? – spytała blondynka.

– Najwyżej godzinę – odparł mężczyzna. – Musimy ograniczyć się do istoty rzeczy.

Emparak wiedział, że mieli go za głupkowatego staruszka. Zdradzali to każdym ruchem, każdym skierowanym do niego słowem. I dobrze, niech tak myślą. Jego czas jeszcze nadejdzie.

O, wiedział doskonale, jak dziś wygląda imperium. Przed archiwistą cesarza nic nie mogło się ukryć. Miał swoje źródła i kanary, którymi docierało do niego wszystko, co musiał wiedzieć. To mu przynajmniej zostało.

– Co on wie o przyczynach wysłania ekspedycji Gheera?

– Wie o odkryciu map gwiezdnych w Eswelundzie. Był jednym z członków rady, którzy głosowali za ekspedycją.

– Dobrze. To znaczy, że tę część możemy sobie podarować. Co zna z dotychczasowych raportów?

– Właściwie nic – blondynka spojrzała na swoją koleżankę, szukając pomocy. – O ile wiem.

– Mnie się też tak wydaje – odpowiedziała tamta. – Najlepiej będzie, jeśli zestawimy chronologicznie wydarzenia, taki skrót na, powiedzmy, kwadrans. Potem będzie czas na pytania…

– Do których oczywiście powinniśmy być przygotowani! – wtrącił mężczyzna.

– Tak.

– Zaczynajmy – zaproponowała rudowłosa. – Lamita, mogłabyś spisywać wszystkie pytania, które przyjdą nam do głowy przy poszczególnych punktach.

Emparak przyglądał się blondynce, gdy sięgała po swój notatnik i ołówek, jej włosy opadły do przodu, gdy pochyliła się, by notować. Podobała mu się, oczywiście, i gdyby to było dawniej… ale ona była taka młoda. Taka naiwna. Siedziała tu pośród tysiącletniej historii, zupełnie tego nieświadoma. A to było coś, czego nie mógł wybaczyć, nikomu.

Czy nie wiedzieli, że dawniej na ich miejscu siedział ON? Emparak miał to przed oczyma, jakby nie upłynęło tak wiele czasu.

Tam, przy owalnym stole, siedział cesarz i studiował dokumenty, które przyniósł mu jego archiwista. Oprócz nich dwóch nie było nikogo. Emparak pokornie stał w cieniu kolumn, wznoszących się strzeliście wzdłuż sali i podtrzymujących szklaną kopułę, poprzez którą do wnętrza wpadało blade światło, zanurzając całą scenerię w przywodzącym na myśl wieczność blasku. Cesarz przewracał karty ruchami pełnymi gracji, niemożliwej do naśladowania, mającej źródło w dostojeństwie jego potęgi i czytał, spokojnie i uważnie. W ścianach sali znajdowało się dziesięć wysokich, ciemnych bram, prowadzących do dziesięciu rozchodzących się promieniście korytarzy, wzdłuż których ciągnęły się regały z książkami, nośniki danych i kapsuły z materiałami archiwalnymi. Na ścianach między wrotami wisiały portrety dziesięciu przodków cesarza. Nie przewidziano miejsca na jego portret, zapowiedział przecież, że będzie panował aż po schyłek wszech czasów…

Widocznie teraz nastał schyłek czasów. Jego znakiem byli ci młodzi ludzie i ich hałaśliwe, powierzchowne zaaferowanie. Nic nie rozumieli, zupełnie nic. Mieli się przy tym za niezmiernie ważnych. W swej bezgranicznej arogancji ważyli się strącić z tronu boskiego cesarza, nawet go uśmiercić – Emparak poczuł taką złość, że serce zaczęło mu walić jak szalone.

Pamiętał, jak imperium wyglądało kiedyś, wiedział, jakie jest teraz. Nie dorośli do stojącego przed nimi zadania, oczywiście, że nie. Ludzie znów głodowali, szalały zarazy, których nazwy popadły w zapomnienie od tysiącleci. Wszędzie wrzało, w wielu miejscach prowadzono krwawe wojny, wszystko marniało. Rozkroili ciało imperium, wypatroszyli je żywcem i rozszarpali na strzępy. Po tym wszystkim wydało im się, że są niezwykle ważni i ogłosili nastanie „wolności”.

Mężczyzna odchylił się na oparcie krzesła i oparł głowę na dłoniach, złożonych jak do modlitwy.

– Dobrze, od czego zaczniemy? Proponuję rozpocząć od statku, który pierwszy wpadł na trop włosianych kobierców. Statek nazywał się KALYT-9, a człowiek, któremu zawdzięczamy to odkrycie, miał na imię Nillian Jegetar Cuain.

– Czy to imię jest ważne?

– Właściwie nie. Ale słyszałem, że to daleki krewny członka Rady; może byłoby dobrze wymienić jego imię.

– Dobrze. Co się z nim dzieje?

– Zaginął. Zgodnie ze słowami jego towarzysza wylądował wbrew wyraźnemu rozkazowi na planecie G-101/2 w sektorze HA/31. Mamy jego radiowe raporty i kilka zdjęć, jednak żadnego zdjęcia włosianego kobierca. Nillian odkrył je, ale potem zniknął.

– Szukano go?

– Były jakieś nieporozumienia z rozkazami, rozminęły się. Jego towarzysz opuścił go i wrócił do bazy, a statek ratowniczy dotarł tam dopiero po tygodniu i nie znalazł żadnego śladu Nilliana.

Rudowłosa kobieta zabębniła niespokojnie czubkiem ołówka po blacie stołu. Emparak skurczył się od tego dźwięku, który w jego uszach zabrzmiał wulgarnie. Ten stół był stary już wówczas, gdy ojczysty świat tej kobiety nie był nawet zasiedlony.

– Nie wiem, czy musimy się nad tym rozwodzić – powiedziała. – Na pewno było w tej sprawie prowadzone dochodzenie – to wszystko jest po prostu tragiczną historią, jakie się zdarzają, ale właściwie nie ma nic do rzeczy. Ważne jest przecież tylko to, że ten Nillian odkrył włosiane kobierce i że od tego czasu zaczęto badać tę sprawę.

– No właśnie. Ważniejsze będzie przedstawić, co to są włosiane kobierce i jakie jest ich znaczenie. To bardzo duże, wyjątkowo gęsto tkane dywany, robione z ludzkich włosów. Ludzie, którzy je wytwarzają, nazywają się gobeliniarzami. Używają wyłącznie włosów swoich żon i córek, a cały proces wytwarzania jest tak niewiarygodnie pracochłonny, że gobeliniarz musi poświęcić całe życie, by utkać jeden jedyny dywan.

Blondynka uniosła lekko rękę.

– Czy możemy pokazać mu egzemplarz takiego dywanu? – wtrąciła się.

– Niestety nie – przyznał mężczyzna. – Oczywiście, zażądaliśmy jednego i dostaliśmy zgodę, ale do dzisiejszego ranka – nic. Miałem nadzieję, że w archiwum…

– Nie – szybko odpowiedziała jasnowłosa. – Szukaliśmy. W archiwum nie ma nic takiego.

W swoim cichym kącie przy kolumnach Emparak uśmiechnął się. Poziom 2, korytarz L, sektor 967. Oczywiście, że archiwum posiadało włosiany kobierzec. W archiwum było wszystko. Trzeba to tylko umieć znaleźć.

Mężczyzna spojrzał na zegarek.

– Dobrze, dalej. Musimy więc wyjaśnić, czym są włosiane kobierce i jaki niesamowity wysiłek w nich tkwi. Jak wykazuje raport socjologiczny, cała ludność tej planety nie zajmuje się praktycznie niczym innym.

Ruda skinęła głową.

– Tak. To ważne.

– A co się dzieje z tymi wszystkimi kobiercami? – spytała blondynka.

– To jest następny decydujący punkt, który musimy podkreślić. Cała produkcja włosianych kobierców ma podłoże religijne. Mam tu na myśli starą religię państwową – cesarz jako bóg, stwórca i opiekun wszechświata, i tak dalej.

– *Ten* cesarz?

– Tak. Na pewno. Mają nawet jego zdjęcia. To przy okazji dowodzi, że zamieszkana przez ludzi część galaktyki Gheera należała kiedyś rzeczywiście do cesarstwa. Cała religijna i polityczna nadbudowa jest taka sama, jak w znanych częściach imperium, a rozpowszechniony w światach Gheera język odpowiada dialektowi naszych Paisi, w formie, jaką, według językoznawców, mówiono okrągłe osiemdziesiąt tysięcy lat temu.

– To daje wskazówkę, kiedy urwał się kontakt między Gheera i resztą imperium.

– Dokładnie. Poza tym w wielu z tych światów znaleziono ślady bardzo odległych w czasie wybuchów jądrowych – cząsteczki o długim okresie połowicznego rozpadu i tak dalej – wskazują one na starcia wojenne. Te ślady datowane są także na co najmniej osiemdziesiąt tysięcy lat.

– To potwierdza naszą teorię.

– Ale co to ma wspólnego z włosianymi kobiercami? – upierała się blondynka.

– Tkacze wyrabiają włosiane kobierce w służbie cesarzowi. Wierzą, że dywany są przeznaczone do cesarskiego pałacu.

Zakłopotane milczenie.

– Do cesarskiego pałacu?

– Właśnie. Na tym polega zagadka.

– Ale… – Jasnowłosa kobieta zaczęła liczyć. – To przecież bardzo dużo dywanów, gdy je pozbierać razem. Jeden cały świat, liczba mieszkańców szacunkowo…

– To niezliczone ilości – przerwał mężczyzna. – Oszczędź sobie trudu, jest jeszcze lepiej. Ludzie na G-101/2 wierzą, że tylko oni wytwarzają włosiane kobierce. Wiedzą, że imperium cesarza obejmuje wiele światów, ale sądzą, że wytwarza się na nich inne rzeczy do cesarskiego pałacu. Rodzaj międzyplanetarnego podziału zadań – z zadumą oglądał paznokcie. – Cóż, krótko potem ekspedycja Gheera odkryła drugi świat, w którym ludzie także wytwarzają włosiane kobierce i też wierzą, że robią to tylko oni.

– *Dwa* światy? – zdziwiły się kobiety.

Mężczyzna spoglądał to na jedną, to na drugą i wyraźnie rozkoszował się pełnym napięcia wyczekiwaniem na ich twarzach.

– Z ostatniego raportu ekspedycji wynika – mówił dalej, smakując każde słowo – że znaleziono do tej pory osiem tysięcy trzysta siedemdziesiąt cztery planety, na których tkane są włosiane kobierce.

– Osiem tysięcy…?!

– I nie widać końca – mężczyzna z trzaskiem uderzył dłonią w stół. – To właśnie jest sedno sprawy, które musimy podkreślić. Coś się dzieje, a my nie wiemy, co.

Ja to wiem, myślał Emparak z satysfakcją. *Archiwum wie to także. Gdybyś umiał szukać, też mógłbyś wiedzieć…*

Blondynka poderwała się i podeszła do Emparaka, podsuwając garbusowi swoje wielkie piersi prawie pod sam nos.

– Emparak, mamy teraz dwie wskazówki – powiedziała i przyjrzała mu się. – Osiemdziesiąt tysięcy lat, galaktyka Gheera. Czy znajdziemy coś na ten temat w archiwum?

– Galaktyka Gheera? – wychrypiał Emparak. Przestraszyła go, zbliżając się tak gwałtownie i bliskość jej podniecającego ciała obudziła w nim zapomniane pragnienia, które przez chwilę opanowały go całkowicie i sprawiły, że oniemiał.

– Zostaw go, Lamita! – zawołała z tyłu ruda wiedźma. – Wiele razy tego próbowałam. On nie ma o niczym pojęcia, a archiwum to jeden wielki chaos, bez żadnej systematyki.

Młoda kobieta wzruszyła ramionami i wróciła na swoje miejsce. Emparak wpatrywał się w rudą pełen wściekłości. Miała tupet. Stokroć i tysiąckroć razy nie powiodły się ich próby przejęcia dziedzictwa człowieka pokroju cesarza, a przecież miała czelność nazwać archiwum chaosem. Jak nazywała to, co samozwańcza Rada Tymczasowa wyprawiała tam na zewnątrz? Jakiego słowa używała na nazwanie bezgranicznej dezorientacji ludzi, których życie zniszczyli, jakich, by nazwać upadek zmysłów, rozprzestrzeniające się zepsucie? Jak chciała określić wynik ich nieskończonej nieudolności?

– Co konkretnie dzieje się w Gheera dalej z włosianymi kobiercami? – spytała rudowłosa. – Gdzieś muszą być gromadzone.

– Transport gobelinów prowadzi wielka flota statków kosmicznych, są w prawdzie już przestarzałe, ale jeszcze całkiem nieźle radzą sobie w przestrzeni – opowiadał mężczyzna. – Odpowiedzialna jest za to cała oddzielna kasta, cesarscy przewoźnicy. Strzegą prawdopodobnie technologicznego dziedzictwa, podczas gdy na samych planetach spotkać można tylko prymitywne postatomowe kultury.

– A dokąd transportują kobierce?

– Ekspedycji udało się śledzić ich do gigantycznej stacji kosmicznej, krążącej wokół pozbawionej planet gwiazdy podwójnej. Jedna z tych dwóch gwiazd to zresztą czarna dziura. Nie wiem, czy ma to jakieś znaczenie.

– Co wiadomo o tej stacji kosmicznej?

– Nic poza tym, że jest wyjątkowo silnie strzeżona i uzbrojona. Jeden z naszych statków, lekki krążownik EVLUT, został przy próbie zbliżenia zaatakowany i mocno uszkodzony.

Oczywiście. Po dziś dzień Emparak nie mógł zrozumieć, jak rebeliantom, tym zarozumiałym, przemądrzałym słabeuszom, udało się pozbawić władzy nieśmiertelnego, wszechmocnego cesarza i

podbić imperium. Rebelianci nie potrafili walczyć! Kłamać, zdradzać, ukrywać się i knuć podstępne intrygi, to potrafili, ale walczyć? Do końca życia nie pojmie, jak tego dokonali, jak pokonali potężną, niezwyciężoną militarną maszynerię cesarza. Oni, których potrzeba było dziesięciu, albo i więcej, by stawić czoła jednemu jedynemu cesarskiemu żołnierzowi.

– Dobrze. – Rudowłosa zamknęła teczkę, by na razie zakończyć dyskusję. – Powinniśmy się teraz przygotować. Myślę, że ustawimy projektor i przygotujemy tablice historyczne, gdyby ktoś szukał historycznych zależności. – Spojrzała w kierunku starego archiwisty. – Emparak, potrzebujemy twojej pomocy!

Wiedział, na czym miała polegać ta pomoc. Miał przynieść projektor i ustawić go. Nic więcej. A przecież mógł w jednej chwili odpowiedzieć na wszystkie pytania i rozwiązać każdą zagadkę. Gdyby tylko byli dla niego trochę życzliwsi, uprzejmiejsi, gdyby mieli dla niego nieco uznania…

Ale nie będzie kupował sobie ich szacunku. Niech się męczą sami. Cesarz zawsze wiedział, co robi; z pewnością i w tym wypadku miał swoje powody, nie jego rzeczą było zadawać pytania.

Emparak poczłapał z czytelni z powrotem do przedsionka i skierował się na prawo. Nie było pośpiechu. W przeciwieństwie do trójki młodych ludzi dokładnie wiedział, co należało zrobić.

Zszedł po szerokich schodach, prowadzących do podziemnych działów archiwum. Tutaj światło było przyćmione i wzrok nie sięgał zbyt daleko. Młode kobiety chętnie przebywały na górze, pod kopułą, między ciągami regałów. Na dole widywał je bardzo rzadko. Pewnie bały się, potrafił to nawet zrozumieć. Tu nie można było ukryć się przed oddechem historii. Tu przechowywano niewiarygodne przedmioty, świadków niewyobrażalnych wydarzeń, dokumenty o bezcennej wartości. Tu, na dole, można było niemal namacalnie uchwycić czas w ręce.

Otwarł drzwi małego pokoiku z przyrządami, u stóp schodów. Osiemdziesiąt tysięcy lat. Wypowiadali to tak łatwo, naiwni, jakby to całkiem nic nie znaczyło. Mówili to, a nie przenikał ich przy tym szacunek, nie czuli grozy owej czeluści czasu. Osiemdziesiąt tysięcy lat. Okres dość długi na to, by potężne mocarstwa mogły powstać, na powrót rozpaść się i pogrążyć w zapomnieniu. Ileż pokoleń przez ten czas przybyło i odeszło, przeżyło swe życie, cieszyło się nadzieją i cierpiało, dokonywało osiągnięć, które zdążyły już ulec zniszczeniu w bezlitosnym młynie czasu! Osiemdziesiąt tysięcy lat. Wypowiadali to takim samym tonem, jakby mówili o osiemdziesięciu minutach.

A przecież była to tylko cząstka niezmierzonej historii cesarskiego imperium. Emparak kiwał w zadumie głową, wnosząc projektor po schodach. Może jednak powinien dać im małą wskazówkę. Niedużą,

tylko malutki skrawek. Ślad. Tylko taki, aby im pokazać, że wiedział więcej, niż sądzili. Tylko po to, by mogli mieć pojęcie o wielkości tego człowieka, którego rozstrzelali jakjakiegoś szubrawca. To potężne imperium nigdy nie przetrwałoby tak długo bez niego, jedenastego cesarza, który osiągnął nieśmiertelność. Tak, myślał Emparak. Tylko jeden ślad, żeby resztę mogli odszukać sami. Nic więcej nie byliby w stanie zaakceptować w swej błazeńskiej dumie.

– Będzie tu w każdej chwili – powiedziała ruda, popatrując nieprzerwanie na zegarek, podczas gdy pozostali porządkowali papiery. – Jak właściwie mamy się do niego zwracać?

– Nosi tytuł *członek Rady* – powiedziała blondynka.

Emparak postawił projektor na stół i zdjął pokrywę.

– Nie lubi tego tytułu – wtrącił mężczyzna. – Najbardziej mu odpowiada, gdy zwracać się do niego po imieniu, Jubad.

Na dźwięk tego imienia Emparak poczuł, jak cały, aż po czubki palców zmienia się w lód. *Berenko Kebar Jubad! Człowiek, który zabił cesarza!*

Ma tupet. Morderca cesarza waży się przychodzić w miejsce, które utrwalało chwalę imperium. To afront. Nie, jeszcze gorzej: bezmyślność. Ten prosty, tępy człowiek nie był wcale w stanie pojąć znaczenia swego czynu, symbolicznej wymowy tej wizyty. Po prostu tu przybywał, by wysłuchać małego, głupiego raportu z ust małych, głupich ludzi.

Niech tak będzie. On, Emparak, będzie przy tym stał i milczał. Był archiwistą cesarza i pozostanie nim aż do ostatniego tchnienia. Było mu wstyd, że już prawie zdecydował się pomóc tym samochwalczym nuworyszom. Nigdy. Nigdy więcej. Będzie milczał, milczał i polerował pochodzące sprzed tysięcy lat marmury, aż pewnego dnia szmatka wypadnie mu z ręki.

Ruda podeszła do przełącznika w sali recepcyjnej i otworzyła jedno skrzydło bramy wejściowej. Nie mieli pojęcia o stylu, o tym, jak się zachować. Brakowało im poczucia majestatu.

Cała ceremonia powitania przywódcy rebeliantów Emparakowi wydała się pożałowania godną imitacją. Zajechał niewielki wóz, wysiadł z niego Jubad, krępy, siwowłosy mężczyzna, jego ruchy sprawiały wrażenie nerwowych i chaotycznych, szedł lekko przygarbiony, jakby przygniatał go ciężar odpowiedzialności. Jak ruchliwy pajac pośpiesznie wbiegł po schodach, nie poświęcając uwagi podniosłej atmosferze sali recepcyjnej i natychmiast doskoczył do rudej, by prowadziła go do czytelni.

Emparak zajął swoje zwykłe miejsce przy kolumnach i obserwował Jubada, jak ten wysłuchiwał raportu zebranej trójki. Mówiono, że cierpi na przewlekłą, może nieuleczalną chorobę. Emparak był skłonny w to uwierzyć, widząc naznaczony tłumionym

bólem wyraz twarzy przywódcy rebeliantów. To mógł być przypadek. Ale mogła to być też kara losu.

– Więc ostateczne przeznaczenie włosianych kobierców nie jest znane? – wywnioskował Jubad na koniec referatu.

– Nie.

– We wnętrzu stacji kosmicznej?

– Nie jest na to dostatecznie duża – odparł mężczyzna. – Wystarczy oszacować objętość wszystkich wytworzonych dywanów i porównać ją z pojemnością stacji.

– A może gobeliny w ogóle nie są przechowywane – wtrąciła blondynka. – Może są niszczone.

– To możliwe – powiedział Jubad mimochodem. Było po nim widać, że jest zajęty całkiem innymi myślami. – Nasuwa mi się przerażający obraz, że gdzieś we wszechświecie istnieje jeszcze nieodkryty pałac cesarza, w którym w międzyczasie uzbierały się całe góry dywanów. A jeśli istnieje nieodkryty pałac, kto wie, co jest tam jeszcze – może nieodkryte armie, śpiące głęboko od tysiącleci?

Ruda skinęła głową.

– Może klon cesarza, także nieśmiertelny?

– Właśnie – poważnie przytaknął Jubad. – Nie wiemy, jak cesarz tego dokonał, że nie starzał się i przez taki niezmierzony czas wciąż żył i żył. Tak wiele nie wiemy i wobec niektórych niewyjaśnionych tajemnic powinniśmy wykazywać nie tylko akademickie zainteresowanie, bo wciąż jeszcze mogą kryć się w nich zagrożenia.

Emparak wbrew woli musiał przyznać, że ten Jubad posiadał zadziwiająco przenikliwy umysł. Tak, jakby coś z wielkości cesarza znalazło odbicie w jego poskromicielu. Przy tym nie mylił się: tajemnicy nieśmiertelności cesarza nie znał nawet jego archiwista.

Jubad pobieżnie przekartkował dokumenty, pozostali cierpliwie przyglądali mu się w milczeniu. Nad jednym papierem zatrzymał się, przeczytał go i wyciągnął w stronę mężczyzny.

– O co tu chodzi?

– Gwiazdy Gheerh nie znaleziono – wyjaśnił tamten. – Flota ekspedycji była przede wszystkim zajęta sprawdzaniem dokładności map gwiezdnych. Niektóre ze skatalogowanych gwiazd nie miały numerów, tylko nazwy, ale między nimi nie można było znaleźć gwiazdy Gheerh.

– Co to znaczy – nie można było znaleźć?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Po prostu jej nie było. Słońce i planety – jak wymiecione z wszechświata.

– Czy to może mieć coś wspólnego z tą prawdopodobną wojną sprzed osiemdziesięciu tysięcy lat?

– Rzuca się w oczy nazewnictwo. Gheerh. Gheera. Może Gheerh

był naczelnym światem królestwa, nazywanego Gheera i dlatego został zniszczony w tej wojnie.

Jubad spojrzał na rudą. Jego oczy płonęły niemym przerażeniem.

– Czy flota cesarza była w stanie to zrobić – zniszczyć cały układ słoneczny?

Tak, pomyślał Emparak. *Ileż razy to robiła.*

– Tak – powiedziała rudowłosa.

Jubad ponownie zatopił się w myślach. Wpatrywał się w papiery, jakby mógł w ten sposób wyrwać im ich tajemnicę.

– Jedna z dwóch gwiazd podwójnych, wokół których krąży stacja, jest czarną dziurą? – spytał nagle.

– Tak.

– Od jak dawna?

Kobiety i mężczyzna byli zaskoczeni i bezradni.

– Nie mamy pojęcia.

– To dość niebezpieczna konstelacja, nieprawdaż? Najbardziej ryzykowne miejsce na umieszczenie stacji kosmicznej – ciągłe twarde promieniowanie, ustawiczne niebezpieczeństwo wessania i zniknięcia z areny wydarzeń… – Jubad przenosił spojrzenie z jednej osoby na drugą. – Co mówią stare mapy gwiezdne?

– Och. – Blondynka pochyliła się nad przenośną bazą danych i nacisnęła kilka przycisków. – Nie ma w nich słowa o czarnej dziurze. Zaznaczony jest tu tylko czerwony olbrzym. Nie ma nawet bliźniaka.

– To o czymś świadczy! – Jubad wstał. – Użyję mojej pozycji w Radzie, by doprowadzić do wysłania floty wojennej do Gheera z zadaniem zaatakowania i zajęcia stacji kosmicznej. Musimy wyjaśnić tajemnicę włosianych kobierców, a jestem zdania, że stacja kryje klucz do jej rozwiązania. – Nieznacznie skinął głową. – Dziękuję.

Po czym pośpiesznie wyszedł, wsiadł do wozu i odjechał.

Z westchnieniem ulgi mężczyzna opadł w tył i przeciągnął się.

– I co? – zawołał. – Jakoś poszło, prawda?

Ruda z niezadowoleniem spoglądała na blat stołu przed sobą. – To z gwiazdą podwójną wyszło kiepsko. Mogliśmy sami na to wpaść.

– Ach, Rhuna, ty wieczna perfekcjonistko! – zawołała blondynka. – Nigdy nie jesteś zadowolona. Zaczną działać – przecież to właśnie chcieliśmy osiągnąć.

– Najgorzej byłoby, gdyby powiedział: Jałowa sprawa. Odwołujemy ekspedycję Gheera – zamyślił się mężczyzna.

– Może to wcale nie tak źle, że sam na to wpadł – stwierdziła blondynka. – Wypadło to na pewno bardziej przekonująco, niż gdyby wyszło od nas.

– Racja. – Ruda uśmiechnęła się, zbierając dokumenty. – Więc dobrze, dzieci, możemy być zadowoleni. Spakujmy się i zastanówmy, gdzie pójdziemy to uczcić.

Blondynka dała znak Emparakowi.

– Możesz odnieść projektor. Dziękuję.

Czemu mu dziękowała? I dlaczego patrzyła na niego tak badawczo?

Emparak nic nie powiedział. Chwycił pokrywę i poczłapał do stołu, by ją z powrotem założyć. Trójka młodych ludzi odchodziła, obładowana torbami i teczkami, nie zaszczycając go nawet słowem.

– Zobaczysz, jeszcze się dowiemy, o co chodzi z tymi włosianymi kobiercami…

To było ostatnie zdanie, jakie usłyszał Emparak, zawisło jeszcze na moment w powietrzu, jakby czekało na echo z niezbadanych głębi archiwum.

Emparak patrzył ich śladem; jego twarz nie zdradzała żadnych uczuć. W duchu widział szafę, kryjącą w sobie odpowiedzi na wszystkie postawione tu pytania.

Szukajcie sobie, myślał, zamykając na powrót stalowe wrota. *Połamcie sobie nad tym głowy. Myślicie, że odkryliście wielką tajemnicę. Nie macie o niczym pojęcia. Nie odłupaliście jeszcze nawet drzazgi z całej historii imperium.*

Jubad

Lewa ręka przytrzymywała prawą przed piersiami – gest, który stał się jego znakiem firmowym i często był naśladowany, tak przez epigonów, jak zawistników – jego spojrzenie ślizgało się po wypełnionych słońcem ogrodach i tryskających kwiatami rabatach, po połyskujących jeziorach i rajskich potokach – on jednak tego wszystkiego nie dostrzegał, widział tylko mętny, ponury mrok minionej ery. Wóz podążał drogą, wijącą się mozolnie między okazałymi budowlami pochodzącymi z wszystkich epok, wiodła do centrum dawnego cesarskiego pałacu – lecz Jubad wciąż miał przed oczami potężną, ciemną kolumnadę, którą przed chwilą opuścił.

Archiwum cesarza… Zawsze starał się unikać wchodzenia do tego prastarego budynku, skrywającego dokumenty i fakty z całego okresu cesarskich rządów. Może mógł uniknąć tego także dzisiaj. Ale z jakiegoś powodu wydawało mu się, że nie wolno mu wymigiwać się od udziału w rozmowie, która tam się odbyła, choć nawet dla niego samego jego motywy nie były jasne.

W końcu po prostu uciekł. Wszystkiemu przytakiwał i na wszystko się zgadzał, jakby uciekając przed duchem martwego władcy. Jubad musiał nagle nabrać powietrza, ciężko, z trudem i zauważył zaniepokojone spojrzenie swego kierowcy. Chciał coś powiedzieć, by go uspokoić, ale nie wiedział, co. Nie pamiętał już prawie, o co w ogóle chodziło w tej rozmowie, z takim wysiłkiem musiał walczyć z kłębiącymi się falami wspomnień, grożącymi, że go zatopią. Wspomnienia o przeszłości, która zadecydowała o jego życiu.

Berenko Kebar Jubad. Dla niego samego imię to od dawna brzmiało jak imię obcego człowieka, tak wiele razy słyszał je w przemówieniach i czytał w książkach. Jubad, oswobodziciel. Jubad, który pokonał tyrana. Jubad, człowiek, który zabił cesarza.

Od czasu upadku cesarskiego imperium sam prowadził życie władcy. Zasiadał w Radzie Rebeliantów, wygłaszał mowy do parlamentu, i gdziekolwiek szedł czy cokolwiek powiedział, wszędzie widział czołobitne spojrzenia i doświadczał pełnej szacunku sympatii. Ponieważ liczono się z jego zdaniem, miał w pewnej mierze swój udział w przyznaniu samodzielności regionowi Tempesh-Kutaraan, także wyzwolenie prowincji Baquion było przynajmniej w części jego dziełem. Ale to nie te osiągnięcia zapewnią mu pamięć przyszłych pokoleń. Po wszystkie czasy wspominać się go będzie jako człowieka, który zadał śmiertelny cios despocie.

Powodowany nagłym wspomnieniem, kazał kierowcy zatrzymać wóz.

– Pójdę kawałek pieszo – powiedział i dodał, widząc zatroskane

spojrzenie: – Nie jestem taki stary, na jakiego wyglądam. Powinniście to wiedzieć.

Miał pięćdziesiąt cztery lata, ale nierzadko dawano mu siedemdziesiąt. Gdy wysiadł, niemal tak się poczuł. Stał chwilę i czekał, aż wóz zniknie z oczu.

Potem głęboko odetchnął i rozejrzał się. Był sam. Sam w małym ogrodzie, wśród szarozielonych zarośli usianych ciemnoczerwonymi pąkami. Jakiś samotny ptak wyśpiewywał gdzieś swą piosenkę, ciągle tę samą sekwencję dźwięków. Jakby pilnie ćwiczył.

Jubad zamknął oczy, wsłuchał się w głos ptaka, bardziej przypominający grę na flecie niż śpiew ptaków w jego ojczyźnie, rozkoszował się ciepłem słońca na swej twarzy. Cudownie, myślał, stać tak tutaj, gdziekolwiek, i być kimś całkiem nieważnym. Po prostu żyć.

Gdy ponownie otwarł oczy, zaskoczony zobaczył przed sobą małego chłopca, wpatrującego się w niego z uwagą. Nie słyszał, kiedy tamten podszedł.

– Jesteś Jubad, prawda? – spytał chłopiec.

Jubad kiwnął głową.

– Tak.

– Rozwiązywałeś właśnie trudny problem? – dopytywał się chłopiec. – Dlatego ci nie przeszkadzałem.

– To bardzo miłe z twojej strony – stwierdził z uśmiechem Jubad. – Ale nie myślałem o niczym szczególnym. Słuchałem tylko ptaka.

Chłopak szeroko otworzył oczy.

– Poważnie?

– Poważnie – zapewnił Jubad.

Przyglądał się małemu chłopcu, który niespokojnie przestępował z nogi na nogę, najwidoczniej coś leżało mu na sercu. W końcu wypalił:

– Chciałbym zapytać cię o coś ważnego!

– Tak? – wyrwało się Jubadowi. – Więc pytaj.

– Czy to prawda, że zabiłeś niedobrego cesarza?

– Tak, to prawda. Ale to było dawno temu.

– I czy on naprawdę był całkiem nieżywy? Sprawdziłeś dokładnie?

– Sprawdziłem bardzo dokładnie – zapewnił Jubad tak poważnie, jak potrafił. Z trudem powstrzymywał śmiech. – Cesarz był naprawdę martwy.

Chłopiec nagle bardzo się zmartwił.

– Mój tata zawsze mówi, że to wszystko nieprawda. Że cesarz jeszcze żyje i tylko opuścił swoje ciało, żeby żyć w gwiazdach i planetach. Ma w pokoju pełno zdjęć cesarza i mówi, że jesteś oszustem. Czy to prawda? Jesteś oszustem?

Dobrze znajomy ból przeszył Jubada. Przeszłość. Nigdy go nie

opuści.

– Posłuchaj – wyjaśnił troskliwie – gdy twój tata sam był dzieckiem, jak ty dzisiaj, wtedy cesarz jeszcze panował, i twój tata musiał razem z innymi dziećmi chodzić do szkoły kapłanów. A tam oni bili go i wpędzili w okropny strach przed zrobieniem jakiejkolwiek rzeczy, która nie spodobałaby się cesarzowi. Ten strach nie opuścił go przez całe życie. Jeszcze dziś się boi – dlatego opowiada takie rzeczy. Możesz to zrozumieć?

Za wiele wymagał od dziecka, które mogło mieć cztery albo pięć lat i już musiało łamać sobie głowę takimi sprawami, gdyż kochało swego ojca.

Przez chwilę na małej twarzyczce znać było wysiłek, chłopiec próbował pojąć to, co usłyszał. Jednak oznaki głębokiego zamyślenia zniknęły jak wymiecione i stwierdził rozpromieniony:

– Nie wierzę, że jesteś oszustem!

– Dziękuję – krótko skwitował Jubad.

– Poza tym – pogodnie kontynuował malec – cesarz na pewno ciężko by cię ukarał, gdyby jeszcze żył! – I w podskokach pobiegł dalej, jakby mu ulżyło, napełniony energią.

Jubad patrzył za nim, trochę zaskoczony dziecięcą logiką.

– Tak – wymamrotał w końcu. – To ma sens.

Gdy wszedł do swego mieszkania, przy stole spokojnie siedział mężczyzna, jakby czekał już od dłuższego czasu. Przy opartym o blat stołu ramieniu ustawił małą walizeczkę z ciemnej skóry.

Jubad zatrzymał się na chwilę, potem powoli zamknął drzwi.

– Już pora?

– Tak – odparł mężczyzna.

Jubad skinął głową, potem wziął się za zamykanie wszystkich okiennic. Na zewnątrz zaczęło właśnie zmierzchać i kilka z siedmiu księżyców widniało już na ciemnym niebie, jakby ułożone na czarnym aksamicie.

Z jednego z okien Jubad miał dobry widok na dużą kopułę, centralny punkt pałacu. Mieściły się w niej pełne przepychu prywatne komnaty cesarza, dziś zamknięte, dostęp do nich za specjalnym zezwoleniem mieli tylko naukowcy. Jednak przed laty, nie do wiary, odzywały się głosy, żądające, by wprowadził się do nich on, Jubad – oczywiście natychmiast odmówił.

– Czy ktoś widział, jak wchodzisz?

– Nie sądzę.

– Nie jesteś pewien?

Człowiek przy stole cicho się zaśmiał.

– Jestem pewien. Ale pogłoska, że cierpisz na jakąś ciężką chorobę, poszła już w świat.

Jubad zamknął ostatnią okiennicę, zapalił światło, po czym także usiadł przy stole.

– Mówimy o jednej z najważniejszych tajemnic państwowych – stwierdził z powagą. – Nie może się o tym dowiedzieć nikt, nawet Rada.

– Tak. – Mężczyzna otworzył małą walizkę, wyjął z niej strzykawkę i zaczął napełniać ją jasnoniebieskim płynem. – Ale jak długo ty to jeszcze wytrzymasz?

– Tak długo, jak tylko możliwe.

Starał się nie być przesądny. To z pewnością był przypadek, nic ponadto. Tego wirusa musiał złapać już w młodości, może nawet podczas swej pierwszej podróży odbytej na rozkaz Rady Rebeliantów, która wysłała go do Jehemby. Od tego czasu uśpiona choroba zaczaiła się w nim, bez najmniejszych objawów.

Ciecz w strzykawce robiła się coraz ciemniejsza. Gdy nabierze określonej ciemnej, prawie czarnej barwy, trzeba będzie ją wstrzyknąć. To będzie piekielnie paliło, godzinami, ale powstrzyma postęp choroby. Jubad zaczął zdejmować koszulę.

Czcza próchnica. Tak tę chorobę nazywano na Jehembie. Jubad ostrożnie odpiął mankiet, imitujący zdrową skórę. Ukazała się skóra starca; pomarszczona, szorstka i zwiotczała, wisiała na twardych, pokurczonych postronkach mięśni, niewiele grubszych niż mały palec.

Nagle znów przypomniało mu się archiwum i mały chłopiec. Wróciła przeszłość, dawno miniony czas, gdy cesarz jeszcze żył i Jubad, rebeliant, był w jego mocy.

To musiało pozostać tajemnicą. Nikt nie mógł się dowiedzieć, że prawa ręka Berenko Kebara Jubada usycha – ręka, którą zabił cesarza…

Cesarz i rebeliant

Nie czekał już na nic, tylko na śmierć. A ta będzie straszna, dla niego, a jeszcze bardziej dla tych, których los zależał od jego milczenia. Życie wielu tysięcy, może nawet przyszłość całego ruchu były ceną dochowania powierzonych mu tajemnic. A on wiedział, że nie będzie mógł ich dochować.

Siepacze cesarza wszystkimi środkami, jakie mają do dyspozycji, postarają się złamać jego milczenie. Były to środki przerażające, okrutne procedury, przed którymi nie będzie w stanie się obronić. Czekał go ból, większy niż wszystko, co kiedykolwiek wiedział o bólu. A ból to nie wszystko. Były inne sposoby, podstępne, pomysłowe metody, którym nie mógł przeciwstawić się nikt, żaden człowiek, nawet o najsilniejszej woli. Poddadzą go działaniu leków. Zastosują sondy nerwowe. Użyją przyrządów, o których nigdy dotąd nie słyszał, w końcu zmuszą go do mówienia. Dowiedzą się wszystkiego, czego tylko zechcą.

Był tylko jeden ratunek, jedyna nadzieja: musi umrzeć, nim doprowadzą go do takiego stanu.

Lecz to nie takie proste. Gdyby tylko pojawiła się jakaś możliwość, sam zakończyłby swe życie, nie ociągałby się ani przez chwilę. Jednak zabrali mu wszystko, najpierw kapsułkę z trucizną, którą nosił każdy rebeliant, potem wszelką inną rzecz, jaką miał przy sobie, wszystko. Skontrolowali wszystkie otwory w jego ciele, szukając ukrytych przedmiotów i prześwietlili go od stóp po czubek głowy. Jedyne, co teraz miał na sobie, to cienkie, lekkie ubranie wykonane z tkaniny o strukturze waty.

Cela, do której go wsadzili, była mała i całkowicie pusta, wręcz aseptycznie czysta. Ściany z gołej, gładkiej jak lustro stali, tak samo sufit i podłoga. Był tam mały kran, z którego ledwie kapała letnia woda, i mocno przyśrubowany do podłogi pojemnik na potrzeby fizjologiczne. To wszystko. Żadnego materaca, żadnego koca. Musiał spać na gołej podłodze.

Myślał o tym, by w błyskawicznym, pełnym rozpaczy zrywie rzucić się na ścianę i roztrzaskać czaszkę – natychmiast, nim będą mogli go powstrzymać. Ale wzdłuż ścian rozciągało się grube na szerokość dłoni pole siłowe, uniemożliwiające szybkie ruchy – gdy próbował zrealizować swój zamiar, odbijało go jak guma, tylko lepiej.

Było ciepło. Wydawało się, że podłoga i ściany są ogrzewane; podejrzewał, że w pobliżu celi zamontowana jest wielka maszyna, może jakiś generator, bo gdy leżał na podłodze, czuł drobne wibracje. Światło, pochodzące z trzech elementów oświetleniowych na suficie, nigdy nie gasło, był pewien, że jest obserwowany, choć nie miał

pojęcia, w jaki sposób.

W drzwiach była półokrągła klapa, którą od czasu do czasu zamykano, a kiedy ponownie otwierała się, stał za nią jego codzienny posiłek. Zawsze to samo, pozbawiona smaku, rzadka papka w przezroczystej misce. To była jedyna groźba, jaką usłyszał: jeśli odmówi jedzenia, zwiążą go i będą odżywiać sztucznie. Więc jadł. Nie było łyżki, musiał papkę wypijać. Miska była także miękka i łamliwa, nie nadawała się do tego, by przeciąć nią sobie tętnice, ani nic w tym rodzaju.

To była jedyna odmiana i jedyna miara czasu. Pozostały czas najczęściej spędzał siedząc w kącie, oparty plecami o ścianę i rozmyślał. Pojawiały się twarze przyjaciół, jakby przybywali się pożegnać i epizody z całego życia, jakby domagały się rozliczenia. Nie, niczego nie żałował. Wszystko zrobiłby jeszcze raz tak samo. Także tamten lot rekonesansowy, który okazał się być wyrafinowaną pułapką. Tego nikt nie mógł się spodziewać. O nic nie mógł się obwiniać.

Czasem myśli milczały. Wtedy siedział i patrzył na swoje lustrzane odbicie w przeciwległej ścianie, po prostu czuł, że jeszcze żyje. To nie potrwa już długo. Cenna była teraz każda chwila.

W takich momentach czuł w sobie pokój.

Były też chwile strachu. Pewność, że śmierć jest bliska i nieunikniona, budziła zwierzęcy, odwieczny jak miliony lat strach, strach, nie słuchający rozumu, odpierający wszelki rozsądek i przewyższający każdą wyższą konieczność, strach, który rodził się w najciemniejszych głębiach duszy i przeradzał w powódź przerażenia. Jak tonący szukał w takich chwilach nadziei, ratunku, a znajdował tylko niepewność.

W końcu stracił poczucie czasu. Niedługo nie będzie potrafił powiedzieć, jak długo przebywa w zamknięciu, dni czy miesiące. Może o nim zapomniano. Może zostanie tu zamknięty, rok po roku, aż się zestarzeje i umrze.

Przyszli, gdy spał. Lecz odgłos obracającego się w zamku klucza obudził go w jednej sekundzie i kazał poderwać się na nogi.

Więc nadeszła pora. Zaczynały się tortury. Naliczył szesnastu żołnierzy z cesarskiej gwardii, ciasno stłoczonych w korytarzu, wszyscy uzbrojeni w broń usypiającą. Jak zwykle pomyśleli o wszystkim. Był bez szans.

Jeden z nich, krępy mężczyzna o przerzedzonych włosach i twardych rysach twarzy, stanął w drzwiach.

– Rebeliant Jubad? Za mną – rozkazał szorstko.

Ostrożnie zbliżyło się do niego dwóch żołnierzy i założyli mu kajdany u nóg, teraz mógł dreptać tylko bardzo małymi kroczkami. Potem związali mu przeguby rąk i owiązali łańcuchem wokół brzucha.

Jubad na wszystko pozwalał. Gdy dali mu znak, by ruszył, był posłuszny.

Szli wzdłuż jasno oświetlonego korytarza, aż dotarli do szerokiego tunelu, w którym czekały na nich otwarte drzwi ciężko opancerzonego transportera. Nie trafiła się żadna okazja do ucieczki, żadna możliwość, by rzucić się w przepaść ani w zabójczy ogień broni palnej. Rozkazali mu wsiąść, sami siedli w krąg wokół niego. Rozpoczęła się podróż.

Zdawało się, że podążają cały czas prosto, przez wiele godzin. Czasem jechali w całkowitej ciemności, kiedy indziej twarze żołnierzy, nawet na moment nie spuszczających z niego wzroku, w skąpym świetle wskaźników upodabniały się do demonicznych maszkaronów. Kilkakrotnie musieli zatrzymać się przy połyskujących groźnie ekranach energetycznych i poddać dokładnej kontroli wartowników, którzy siedzieli w pancernych kabinach i odbywali długie telefoniczne rozmowy, nim wyłączyli blokadę i zezwolili im na dalszą jazdę. Przez cały czas we wnętrzu transportera nie padło ani jedno słowo.

Przez pewien czas jechali znów w ciemności, kierując się ku jasnej plamie w oddali – nagle transporter wyskoczył z otworu w pionowej skalnej ścianie i przy pomocy silników antygrawitacyjnych szybował dalej w powietrzu wprost przed siebie. Jubad ze zdziwieniem rozglądał się wokół, chłonąc porażający widok. Ich trasa prowadziła wysoko nad atramentowym, spokojnym morzem, rozlanym od jednego kresu horyzontu po drugi, nad którym wznosiła się potężna, lazurowa, bez żadnej skazy, katedra nieba. W tyle za nimi został pełen szczelin, opadający pionowo do oceanu masyw skalny, a przed nimi – przed nimi wznosił się, połyskujący w świetle słonecznym, nieogarniony w swej niemal niepojętej wielkości, pałac cesarza.

Gwiezdny pałac. Jubad widział zdjęcia, jednak żadne z nich nie było w stanie oddać dumnego, zbytkownego przepychu tej olbrzymiej budowli. To była siedziba cesarza, nieśmiertelnego władcy wszystkich ludzi, tu biło serce imperium. Nie było rebelianta, który by nie marzył o tym, że kiedyś przybędzie w to miejsce – jako zwycięzca. Jubad przybywał jako więzień. Jego spojrzenie zachmurzyło się na myśl o okropnościach, jakie go tu czekały.

Transporter obniżył lot, aż mknęli tak nisko nad powierzchnią morza, że można by dotknąć grzbietów fal na niedostrzegalnie rozkołysanym morzu. Mury otaczające pałac zbliżały się szybko, zdawały się coraz wyższe. Jedna z bram otwarła się jak paszcza i połknęła ich, za nią znajdowała się wysoka hala, pośrodku której transporter wylądował.

– Zostaniesz przekazany gwardii przybocznej cesarza – oznajmił komendant.

Jubad skurczył się. To nie oznaczało nic dobrego. Przyboczna gwardia cesarza, to byli najbardziej zaufani spośród ściśle wyselekcjonowanych, elita elit, oddani cesarzowi aż po śmierć, nie mający względów dla siebie ani dla innych. Dwunastu z nich, potężni olbrzymi w złotych mundurach, podobni do siebie jak bracia, oczekiwało ich na lądowisku.

– Co za zaszczyt – wymamrotał przygnębiony Jubad.

Gwardziści wzięli go między siebie i czekali bez drgnienia twarzy, aż transporter odleci. Potem jeden z nich schylił się i zdjął mu pęta ze stóp. W tym geście dawało się wyczuć protekcjonalność. Jakby chciał w ten sposób powiedzieć: nam i tak nie uciekniesz, możesz sobie pobiegać.

Poprowadzili go ciągnącymi się bez końca korytarzami. W Jubadzie pulsował strach, jednak cieszył się każdym krokiem i każdą chwilą. Już wkrótce, w następnym korytarzu, a może w jeszcze następnym, otworzą się drzwi do pokoju, w którym zakończy życie. Sterylny błysk instrumentów w tym pomieszczeniu będzie ostatnim światłem w jego oczach, a jego własny krzyk będzie dźwiękiem, który zabierze ze sobą w wieczną ciemność…

Kilka szerokich stopni prowadziło w górę. Jubad zmieszał się, gdy to zauważył. Podświadomie założył, że pokoje przesłuchań i izby tortur mieszczą się w podziemiach pałacu, w najgłębszych piwnicach, gdzie nikt nie mieszka i nie może słyszeć krzyków. Lecz gwardziści prowadzili go swym miarowym marszowym krokiem po lustrzanym marmurze, przez złocone wrota i okazałe hale pełne skarbów sztuki z wszystkich galaktyk imperium. Serce waliło mu w piersi jak młot, gdy skręcili w małe boczne drzwi, lecz za nimi znajdował się tylko pozbawiony ozdób biały pokój, w którym prócz kilku foteli i stołu zobaczył jedynie pulpit sterowniczy. Gestem kazali mu zatrzymać się, sami objęli posterunki w pomieszczeniu i przy drzwiach, czekali. Nic się nie działo.

– Na co czekamy? – spytał w końcu Jubad.

Jeden z gwardzistów obrócił się do niego.

– Cesarz chce cię widzieć – powiedział. – Milcz.

Myśli Jubada wykonały skok w przód, salto w tył, potem zasupłały się, a jego dolna szczęka nagle opadła bezsilnie. Cesarz? Poczuł, jak strach rozpala się w nim do białości. Jeszcze nigdy nie słyszano o tym, by cesarz osobiście brał udział w przesłuchaniu.

Cesarz chce go widzieć. Co to może oznaczać?

Trwało dłuższą chwilę, nim rebeliantowi zaświtała myśl, co to znaczy. Za chwilę wejdzie sam cesarz. Tu, do tego pokoju. Prawdopodobnie przez drzwi pilnowane po obu stronach, po prawej i lewej ich stronie stało po dwóch żołnierzy. Cesarz wejdzie i stanie przed rebeliantem.

Myśli Jubada gnały przed siebie jak spłoszone stado. Czy to była jakaś szansa? Jeśli zaatakowałby samego cesarza, na pewno zabiliby go, będą *musieli* go zabić, szybko i bezboleśnie. To była szansa, na którą czekał. Pokaże tyranowi, jak potrafi umierać rebeliant.

Z zamyślenia wyrwało go gwałtowne otwarcie drzwi. Gwardziści stanęli na baczność. Równym krokiem wszedł starszy, lekko przysadzisty mężczyzna, wyglądający przy gwardzistach jak karzeł. Miał posiwiałe skronie i ubrany był w potwornie brzydki mundur, cały obwieszony połyskującymi orderami. Dostojnie rozejrzał się i zapowiedział:

– Cesarz.

Przy tych słowach padł na kolana, wyciągnął ramiona i z pokorą skłonił się w przód, aż dotknął czołem podłogi. Gwardziści postąpili tak samo i w końcu Jubad był jedyną osobą w pokoju, która stała.

Wtedy wkroczył cesarz.

Są w życiu rzeczy, które giną w zapomnieniu i takie, które się czasem wspomina, a wśród nich jest kilka momentów, które pozostaną w pamięci do końca życia, jakby wypaliły w niej swój ślad, jak emanujące światłem obrazy nadnaturalnej wielkości, ilekroć później Jubad zadawał sobie pytanie, która chwila w jego życiu zrobiła na nim największe wrażenie i najbardziej nim wstrząsnęła, zawsze musiał wbrew woli przyznać: była to właśnie ta chwila.

Obecność cesarza podziałała na niego jak uderzenie młotem. Oczywiście, znał tę twarz, znał ją każdy człowiek, jakby w ciągu tysiącleci stała się częścią ludzkiego genotypu. Widział o nim filmy, słuchał jego przemówień, lecz nic nie przygotowało go na – *to*…

To był on. Cesarz. Od tysiącleci władca ludzkości, całego zamieszkałego wszechświata, pozbawiony wieku i przekraczający wszelką ludzką skalę. Szczupły, wysoki mężczyzna, o mocnej budowie ciała i ostrych, niemal perfekcyjnych rysach twarzy. Ubrany w prosty, biały strój, wkroczył do pokoju z niezwykłą swobodą, nie wykonując żadnego zbędnego ruchu i bez najmniejszego pośpiechu. Jego spojrzenie padło na Jubada, a ten poczuł, że tonie w jego wzroku, jak w dwu bezdennych, czarnych studniach.

To było porażające. Jak spotkanie z mitologiczną postacią. *Teraz rozumiem, dlaczego uważa się go za Boga!* – to była jedyna myśl, na którą był w stanie zdobyć się nieszczęsny umysł Jubada.

– Podnieście się.

Jego głos także brzmiał znajomo, był ciemny, modulowany, przytłumiony. Tak mówił ktoś żyjący poza czasem. Wokół Jubada podnieśli się mężczyźni należący do gwardii przybocznej, wciąż byli jednak pokornie pochyleni. Jubad zauważył przerażony, że w momencie wkroczenia cesarza także mimowolnie padł na kolana. Poderwał się.

Cesarz znów spojrzał na Jubada.

– Zdejmijcie mu pęta.

Dwóch gwardzistów oswobodziło Jubada z ostatnich łańcuchów, z brzękiem zwinęli je i ukryli w kieszeniach mundurów.

– A teraz zostawcie mnie z rebeliantem samego.

Przez mgnienie oka na twarzach żołnierzy pojawiło się przerażenie, lecz nie ociągając się, posłuchali rozkazu.

Cesarz czekał bez ruchu, aż wszyscy znikną i zamkną za sobą drzwi. Potem zerknął na Jubada krótko, uśmiechnął się nikłym, niezgłębionym uśmiechem i przechodząc w głąb pokoju, odwrócił się niedbale plecami, jakby rebelianta tam wcale nie było.

Jubadowi zdawało się, że zaraz zwymiotuje, z takim żarem pulsowało w nim coś, co mówiło: Zabij go! Zabij! To była okazja, która nie powtórzy się przez tysiące lat. Był sam na sam z tyranem. Zabije go gołymi rękami, zębami i paznokciami i uwolni unię światów od dyktatora. Wypełni misję rebelianta, sam. Bezgłośnie zacisnął pięści, a serce waliło mu tak mocno, że zdawało mu się, iż rozbrzmiewa to echem w całym pokoju.

– Wszystkie twoje myśli – powiedział znienacka władca – krążą teraz wokół wizji, jak mnie zabijasz. Mam rację?

Jubad przełknął ślinę. Powietrze z płuc uszło mu z westchnieniem. Co tu się dzieje? Jaką grę prowadzi z nim cesarz? Dlaczego odprawił przyboczną gwardię?

Cesarz uśmiechnął się.

– Oczywiście, mam rację. O sytuacji takiej, jak ta, rebelianci marzyli przecież od setek lat – zostać sam na sam ze znienawidzonym despotą… Czy nie tak? Powiedz w końcu coś; chciałbym usłyszeć twój głos.

Jubad przełknął.

– Tak.

– Chciałbyś mnie teraz zabić, zgadza się?

– Tak.

Cesarz rozłożył ramiona.

– Więc, wojowniku, stoję przed tobą. Czemu nie próbujesz?

Jubad z niedowierzaniem zmrużył oczy. Mierzył wzrokiem boskiego cesarza, patrzył, jak cierpliwie czekając, stoi w swej pozbawionej ozdób, białej todze, rozkładając ramiona w geście bezbronności. Tak. Tak, zrobi to. Nie grozi mu nic gorszego od śmierci. A przecież nie pragnął już niczego innego, tylko śmierci.

Zrobi to. Teraz. Natychmiast, jak tylko zdoła zmusić swoje ciało do ataku. Spoglądał w te oczy, w oczy cesarza, pana pierwiastków i gwiazdozbiorów, wszechmocnego władcy i był jak sparaliżowany. Kurczowo zaciskał pięści. Dyszał ciężko. Zrobi to. Musi go zabić. Musi, ale jego ciało nie jest mu posłuszne.

– Nie potrafisz – stwierdził władca. – Właśnie to chciałem ci pokazać. Respekt dla cesarza jest głęboko zakorzeniony w was wszystkich, nawet w rebeliantach. To on nie pozwala ci mnie zaatakować.

Odwrócił się i podszedł do niewielkiego pulpitu sterowniczego, przy którym stały dwa fotele, oba zwrócone ku ścianie. Spokojnym, pełnym gracji ruchem wyciągnął rękę i dotknął przełącznika, na co część ściany bezgłośnie odsunęła się i odsłoniła widok na ogromną trójwymiarową panoramę gwiazd. Jubad rozpoznał kontury imperium. Zdawało się, że pokazano każdą gwiazdę, co do jednej i blask galaktyk napełnił pomieszczenie upiornym światłem.

– Często siedzę tu godzinami i patrzę na wszystko, nad czym mam władzę – powiedział cesarz. – Wszystkie te gwiazdy i ich planety są moje. Na całej tej nieogarnionej przestrzeni dzieje się moja wola i moje słowo jest prawem. Ale władza, prawdziwa władza, to nie panowanie nad przedmiotami, nawet nie nad słońcami i planetami. Prawdziwa władza to panowanie nad ludźmi. A moja władza nie polega tylko na przewadze zbrojnej i przemocy; mam także władzę nad sercami i umysłami ludzi. Biliony i biliony bilionów ludzi żyje na tych planetach i wszyscy oni należą do mnie. Żaden z nich nie przeżywa nawet jednego dnia bez myśli o mnie. Czczą mnie, kochają; jestem centralnym punktem całego ich życia. – Spojrzał na Jubada. – Nigdy wcześniej cesarstwo nie było tak wielkie, jak za mego panowania. Nigdy żaden człowiek nie miał więcej władzy ode mnie.

Jubad wpatrywał się w cesarza, tego człowieka, którego rysy twarzy zmieniały się wolniej niż konstelacje gwiazd na firmamencie nieba. Po co mu to opowiadał? Co zamierzał?

– Zadajesz sobie pytanie, dlaczego ci to opowiadam i jakie mam wobec ciebie zamiary – mówił dalej cesarz. Jubada ogarnęło przerażenie, że tak szybko i łatwo został przejrzany. – Pytasz się też, czy możliwe jest, bym potrafił czytać myśli… Nie, nie potrafię. To zresztą niepotrzebne. Myśli i uczucia masz wypisane na twarzy.

Jubad czuł niemal fizycznie, o ile słabszy jest od tego wiekowego człowieka.

– Zresztą, nie mam też zamiaru poddawać cię przesłuchaniom. Możesz się odprężyć. Opowiadam ci to wszystko, bo chcę, żebyś coś *zrozumiał*… – Władca skierował na niego nieprzeniknione spojrzenie. – Wiem już wszystko, co chcę wiedzieć. O tobie też, Berenko Kebarze Jubad…

Jubad nie mógł zapobiec temu, że zadrżał, gdy usłyszał swoje imię w ustach cesarza.

– Urodziłeś się dwadzieścia dziewięć lat temu na Lukdarii, tajnej bazie rebeliantów, jako pierwszy syn Ikany Wero Kebar i Ubana Jegetara Berenko. Pierwsze zadania jako wywiadowca wypełniałeś,

mając dwanaście lat, potem przeszedłeś szkolenie w zakresie ciężkiego uzbrojenia i dział pokładowych, zostałeś mianowany komendantem łodzi zwiadowczej, potem komendantem statku, w końcu powołano cię do sztabu Rady Rebeliantów. – Przez twarz cesarza przemknął jakby drwiący uśmieszek, gdy popatrzył na oszołomionego Jubada. – Mam opowiedzieć ci jeszcze pikantne szczegóły twojego romansiku z tą młodą nawigatorką? Skończyłeś akurat 16 lat, jej było na imię Rheema…

Jubad był przerażony.

– Skąd… skąd to wiecie? – wyjąkał.

– Wiem o was wszystko – powiedział cesarz. – Znam nazwy, pozycje i rodzaj uzbrojenia wszystkich waszych baz planetarnych – Lukdaria, Jehemba, Bakion i jak tam się one wszystkie nazywają. Wiem o waszym gabinecie cieni na Purat, waszych tajnych związkach na Naquio i Marnaku, znam nawet waszą tajną bazę na Niobai. Znam każdego z was po imieniu, wasze cele i plany.

Równie dobrze mógł wbić Jubadowi w ciało rozżarzony miecz. Przerażenie niemal go zabiło. Spodziewał się, że będą mu próbowali wydrzeć te informacje torturami i był gotów umrzeć, nie zdradzając nawet jednego imienia.

Ugięły się pod nim nogi. Nie zdając sobie z tego sprawy, opadł na jeden z foteli. Po wszystkim, co przeszedł, był bliski utraty zmysłów.

– Ach – powiedział cesarz i z uznaniem skinął głową. – Widzę, że naprawdę jesteś rebeliantem…

Trwało dłuższą chwilę, nim Jubad zrozumiał, co cesarz miał na myśli: usiadł, gdy imperator stał. Normalnie zostałoby to uznane za śmiertelną zniewagę. Mimo to siedział dalej.

– Skoro wiecie to wszystko – powiedział, z trudem kontrolując własny głos – ciekaw jestem, czego oczekujecie ode mnie.

Cesarz spojrzał na niego wzrokiem niezgłębionym jak przepaść między gwiazdami.

– Chcę, żebyś wrócił i doprowadził do zmiany planów.

Jubad poderwał się oburzony.

– Nigdy! – zawołał. – Prędzej umrę!

Po raz pierwszy usłyszał, jak cesarz śmieje się głośno.

– Myślisz, że w ten sposób coś zdziałasz? Nie bądź głupi. Widzisz przecież, że wiem o was wszystko. Mógłbym cały ruch oporu całkowicie zdławić z godziny na godzinę, aż po ostatniego członka, tak, by nie został nawet ślad. Ja jeden wiem, ile było już powstań i rebelii, i zawsze podobało mi się je stłumić i wyplenić. Tym razem jednak tego nie zrobię, bo ruch rebeliantów gra ważną rolę w moich planach.

– Nie pozwolimy, byście zrobili z nas wasze narzędzie!

– Może to ci się nie spodoba, ale od początku byliście moim

narzędziem – spokojnie odpowiedział cesarz i dodał:

– To ja stworzyłem ruch oporu.

Myśli Jubada zatrzymały się, by już nigdy, jak mu się zdawało, nie ruszyć.

– Co? – usłyszał swe bezsilne mamrotanie.

– Znasz historię ruchu – powiedział cesarz. – Równo trzysta lat temu na krańcach imperium pojawił się człowiek, który wygłaszał buntownicze mowy i zdołał podburzyć wielu ludzi przeciw władzy cesarza. Stworzył zalążki ruchu rebeliantów i napisał książkę, która na stulecia stała się ich biblią, manifestem. Od jej tytułu pochodzi nazwa ruchu – *Bezgłośny wiatr*, a ten człowiek nazywał się Denkalesar.

– Tak.

– Ten człowiek to ja.

Jubad przebijał cesarza wzrokiem. Zdawało mu się, że podłoga osuwa mu się spod stóp, odpadając kawałek po kawałku.

– Nie…

– To była interesująca przygoda. W przebraniu podżegałem przeciw cesarzowi, a potem wracałem do pałacu i zwalczałem rebeliantów, których sam podburzałem. Niezliczone razy w życiu podróżowałem w przebraniu, ale to było największe wyzwanie. I udało się, ruch rebeliantów nieprzerwanie rósł i rósł…

– Nie wierzę.

Cesarz uśmiechnął się ze współczuciem.

– Popatrz tylko na imię. Denkalesar – to przecież anagram mojego imienia, Aleksander. Nigdy nie zwróciłeś na to uwagi?

Podłoga ostatecznie umknęła spod stóp Jubada. Rozwarła się głębia i chciała go pochłonąć.

– Ale – dlaczego?! – wydobył z siebie słowa. – Po co to wszystko?

Znał już odpowiedź. Wszystko było tylko grą, w którą cesarz z nudów grał sam z sobą, dla zabicia czasu. Wszystko, w co on, Jubad, wierzył każdą cząstką swej istoty, w rzeczywistości służyło jedynie rozrywce nieśmiertelnego, wszechmocnego władcy. To on powołał do życia ruch rebeliantów, on go ugasi, gdy mu się znudzi.

Wyglądało na to, że nie ma żadnej nadziei, żadnej szansy przeciw jego wszechobecności. Ich walka od początku nie miała perspektyw powodzenia. Może, myślał tępo Jubad, rzeczywiście jest on bogiem, za jakiego się go uważa.

Cesarz długo przyglądał mu się w milczeniu, ale zdawał się go nie widzieć. Patrzył nieobecnym spojrzeniem. Na jego twarzy odbijały się wspomnienia sprzed tysięcy lat.

– Już bardzo dawno temu, może trudno to sobie wyobrazić, ale ja też byłem kiedyś młodym człowiekiem, jak ty dziś – zaczął opowiadać – uświadomiłem sobie, że mam tylko jedno życie, że cokolwiek chcę w nim osiągnąć, muszę zdążyć, nim ono zgaśnie. A miałem wielkie

pragnienia. Chciałem wszystkiego. Moje marzenia nie znały granic, byłem gotów na wszystko, by je urzeczywistnić, nawet posunąć się do ostateczności, byle osiągnąć szczyty. Chciałem dokonać tego, czego nikt nigdy nie dokonał, chciałem zostać mistrzem wszechwag, zwycięzcą we wszystkich dyscyplinach, chciałem trzymać w ręce wodze wszechświata, a do tego jego przeszłość i przyszłość.

Zrobił nieokreślony ruch dłonią.

– Zasoby świadomości cesarzy żyjących przede mną trwają we mnie, stąd wiem, że mieli te same pragnienia. W mojej młodości rządził cesarz Aleksander Dziesiąty, byłem zdecydowany zostać jego następcą. Doprowadziłem do tego, że przyjęto mnie do szkoły *cesarskich synów*, kłamałem i zdradzałem, przekupywałem i mordowałem, aż stałem się jego ulubieńcem. Na łożu śmierci przekazał mi panowanie nad światem, powierzył tajemnicę długowieczności i przyjął do kręgu cesarzy.

Jubad nie spuszczał oka z ust cesarza. Mdliło go, gdy próbował sobie przedstawić, przed jak niewyobrażalnie długim czasem działo się to wszystko.

– Ja chciałem jednak osiągnąć jeszcze więcej, jeszcze więcej zdobyć. Miałem władzę i długie życie, walczyłem o więcej władzy i więcej życia. Nie spocząłem, nim długowieczność nie zmieniła się w nieśmiertelność. Prowadziłem wojnę za wojną, by rozszerzać granice imperium dalej i dalej, w nieskończoność. Im większą miałem władzę, tym bardziej pożądliwie pragnąłem jej jeszcze więcej. To nie miało końca. Było jak gorączka pchająca mnie naprzód. Czegokolwiek bym nie posiadał, zawsze istniała obietnica otrzymania więcej.

Cesarz skierował wzrok na panoramę gwiazd.

– Zdobyliśmy władzę, utrzymaliśmy ją i rozkoszowaliśmy się jej smakiem, nie zważając na nic. Prowadziliśmy wojny, uciskaliśmy i niszczyliśmy ludy, naszą wolę zawsze przeprowadzaliśmy bez litości. Nie było nikogo, kto mógłby się nam sprzeciwić. Dokonaliśmy okrucieństw, przy których cała historia ludzkości brzmi jak dziecinna bajeczka, potworności, na których nazwanie brakuje w języku słów, nie narodziłyby się w żadnej wyobraźni. Nikt nie był w stanie nas powstrzymać. Brodziliśmy zanurzeni aż po biodra we krwi, a nie zdruzgotał nas żaden piorun. Układaliśmy stosy z czaszek, a nie przeszkodziła nam żadna wyższa siła. Składaliśmy sobie w ofierze rzeki ludzkiej krwi, a nie wtrącił się żaden bóg. Więc stwierdziliśmy, że sami jesteśmy bogiem.

Jubad ledwie był w stanie oddychać. Miał wrażenie, że się dławi, że dusi go wszystko, co słyszy.

– Mieliśmy władzę nad ciałami, dążyliśmy do tego, by zapanować także nad sercami. Każdy śmiertelnik, pod którymkolwiek ze słońc, bał się nas, ale to nam już nie wystarczało: miał nas pokochać.

Rozesłaliśmy kapłanów, głoszących we wszystkich galaktykach świętość naszego imienia i naszą wszechmoc, i dokonaliśmy tego, że oblicza dawnych bogów zostały wyrwane z korzeniami z ludzkich serc i sami zajęliśmy ich miejsce.

Cesarz zamilkł. Jubad bez ruchu wpatrywał się w niego. Powietrze w pokoju zdawało się być ciężkie jak stal.

Nieskończenie powoli władca odwrócił się do niego.

– Osiągnąłem to, czego pragnąłem. Władzę absolutną. Wieczne życie. Wszystko – powiedział. – A teraz wiem, że to nie ma żadnej wartości.

Jubad wyczuł w jego słowach niewymowne obrzydzenie i w jednej chwili zrozumiał, że to był właśnie ten zapach – bezduszny paraliż, pozbawiona nadziei ciemność. Tchnienie zgnilizny, nie mogącej dalej się rozprzestrzeniać, gdyż czas się zatrzymał.

– Władza jest obietnicą, trwającą tylko dopóty, dopóki dążąc do niej, napotykamy przeszkody. Zgromadziliśmy nieskończoną władzę, ale nie rozwiązaliśmy zagadki istnienia. Jesteśmy bliżsi bogom niż zwykłym ludziom, ale nie doznaliśmy spełnienia. Cesarstwo, choć ogromne, jest tylko pyłkiem we wszechświecie, lecz nie można oczekiwać, że jeszcze więcej władzy przybliży nas do osiągnięcia pełni. Mam zdobyć jeszcze jedną galaktykę? Jaka z tego korzyść? Nigdy nie trafiliśmy na inne istoty, porównywalne do nas, ludzi, a ludzie żyją wyłącznie pod naszymi rządami. Tak więc od tysięcy lat panuje pokój, nic już się nie zmienia; wszystko funkcjonuje, a nie dzieje się nic nowego. Dla mnie czas przestał istnieć. Wszystko jedno, czy żyłem sto tysięcy lat, czy tylko rok, nie ma już sensu iść dalej tą drogą. Doszliśmy do wniosku, że nasze poszukiwania były daremne i postanowiliśmy uwolnić ludzkość spod naszego jarzma, oddać to, co zdobyliśmy, nie zatrzymać nic z tego dla siebie.

Słowa padały w ciszę jak uderzenia młota. Jubad nie mógł się pozbyć uczucia, że jego ciało rozwiało się jak dym.

– Rozumiesz, co chcę przez to powiedzieć? – spytał cesarz.

Tak. Nie. Nic nie rozumiał. Przestał już pragnąć cokolwiek zrozumieć.

– Zdecydowaliśmy – powiedział cesarz, kryjący w sobie w tajemny sposób wspomnienia poprzednich władców – że chcemy umrzeć.

– Um-rzeć?

Nie. Nic nie rozumiał.

– Jeśli ktoś zgromadził tak wiele władzy jak my, niełatwo jest mu się jej pozbyć – spokojnie odrzekł cesarz. – Dlatego umrzemy. Pojawia się jednak problem, że imperium pozbawione cesarza nie będzie mogło dalej istnieć. Ludzie są ode mnie zbyt zależni. Gdybym nagle zniknął, nie mieliby przyszłości. Nie mogę tak po prostu oddać

władzy, nie skazując ich przy tym wszystkich na śmierć. Żeby rozwiązać ten problem, powołałem do życia ruch rebeliantów.

– Ach. – Jubad usłyszał w sobie powątpiewające głosy, uważające to wszystko za niezrozumiały manewr tyrana, lecz pochodząca z głębi serca mądrość upewniała go, że cesarz mówi całkowicie szczerze.

– Łatwo jest narzucić duchowe jarzmo, ale trudno je wyrwać z ludzkich umysłów. Ludzie nie mają przyszłości, jeśli nie zdołają strząsnąć mego panowania ze swoich dusz. Taki był cel ruchu rebeliantów, zebrać ludzi i obdarzyć ich duchową wolnością.

Cesarz zamknął ścianę zasłaniającą panoramę imperium.

– Cel został osiągnięty. Zbliżamy się do końcowej fazy mojego planu, teraz wszystko zależy od was. Musicie zdobyć świat centralny, zabić mnie, przejąć władzę i rozbić cesarstwo na wiele oddzielnych małych części. A przede wszystkim musicie z ludzkich umysłów doszczętnie wykorzenić wiarę we mnie jako boskiego cesarza.

Jubad zauważył, że już od dłuższego czasu wstrzymuje oddech i głęboko wciągnął powietrze. Nadludzkie ciśnienie zdawało się ustępować, atmosfera odczuwalnej fizycznie ciemności ulatniała się.

– Ale co my mamy zrobić? – zapytał.

– Zaraz ci to wytłumaczę – powiedział cesarz. – Znam wasze plany; nie mają szans powodzenia. Po naszej rozmowie zostaniesz odwieziony z powrotem do celi, w drodze zdarzy ci się sposobność ucieczki. Mój oddział straży tak wszystko zaaranżował, że będzie to wyglądało całkowicie wiarygodnie. Nie daj się zwieść pozorom, wszystko, co cię spotka, zostało zaplanowane. Przygotowali to tak, że podczas ucieczki wejdziesz w posiadanie tajnych dokumentów, demaskujących slaby punkt w obronie światów centralnych. Plany też są sfałszowane; jeśli zaatakowalibyście podany w nich słaby punkt, wpadlibyście w zasadzkę bez wyjścia. Zamiast tego rozpoczniecie pozorny atak, a naprawdę zaatakujecie punkt obronny Tauta. Tauta – tę nazwę musisz zapamiętać. To jeden z moich konspiracyjnych punktów, jest tam tajny tunel nadwymiarowy, kończący się bezpośrednio w pałacu. W ten sposób możecie ominąć całą obronę planetarną i opanować pałac od środka.

Jubad wstrzymał oddech. Nikt nigdy nie uważał istnienia takiego korytarza za możliwe.

– A teraz moja śmierć – kontynuował cesarz, nie zmieniając tonu. – Ty mnie zabijesz. Gdy zaatakujecie, będę tu na ciebie czekał, w tym pokoju. Zabijesz mnie strzałem w pierś – przygotuj się! Sam przekonałeś się, że niełatwo jest mnie zaatakować. Gdy spotkamy się następnym razem, musisz być do tego zdolny!

Jubad zdumiony skinął głową.

– Tak.

– Ważne są dwie sprawy – przykazał mu władca. – Po pierwsze

trzeba pokazać moje zwłoki na wszystkich kanałach medialnych, udowodnić, że jestem martwy. Wystawcie je na pokaz w upokarzającej pozycji, na przykład zawieście je za stopy. Nie możecie mieć żadnych oporów, to byłoby na nic. Pamiętaj o tym, że przede wszystkim musicie wstrząsnąć wiarą w cesarza. Musicie pokazać, że ja także byłem tylko śmiertelnym człowiekiem, mimo długiego życia. I musicie udowodnić, że to naprawdę moje zwłoki – dlatego nie uszkodź głowy. Nie myśl, że macie przed sobą łatwe zadanie. Nic nie jest trudniej wyplenić niż religię, choćby była nie wiem jak fałszywa.

Jubad przytaknął.

– Druga sprawa dotyczy nas obu, ciebie i mnie – kontynuował starzec i spojrzał badawczo na rebelianta. – Jest bardzo ważne, żebyś tajemnicę tej rozmowy zabrał ze sobą do grobu.

– Dlaczego?

– Ludziom potrzebna jest wiara, że wolność wywalczyli sobie sami; muszą móc być dumni ze zwycięstwa – ta duma pomoże im przetrwać nadchodzące trudne czasy. Nie mogą zorientować się, że to nie było *ich* zwycięstwo. Nigdy. Nie mogą dowiedzieć się, iż tak zupełnie utracili wolność, że trzeba było mojej interwencji, aby im ją zwrócić. Musisz milczeć dla dobra przyszłych pokoleń, dla dobra przyszłości wszystkich ludzi.

Jubad, rebeliant, patrzył w oczy cesarza i widział w nich nieusuwalne zmęczenie. Skinął głową, było to jak uroczysta obietnica.

Gdy pół roku później rebelianci zdobyli pałac, Jubad ukradkiem oddalił się od swego oddziału. Straże pałacowe były całkowicie zaskoczone. Wszędzie wokół strzelano, ale wynik walki nie budził wątpliwości. Jubad bez przeszkód dotarł do skrajnych obszarów ogromnego pałacu i wreszcie wszedł do pomieszczenia, w którym czekał na niego cesarz.

Stał w tym samym miejscu, w którym Jubad widział go poprzednio. Tym razem miał na sobie odświętny mundur, a na ramiona zarzucił cesarski płaszcz.

– Jubadzie – powiedział, gdy rebeliant wszedł. – Jesteś gotów?

– Tak – odpowiedział Jubad.

– Więc doprowadźmy rzecz do końca.

Jubad wyjął miotacz promieni i z ociąganiem ważył go w dłoni. Patrzył na cesarza, który stał spokojnie i przyglądał mu się.

– Żałujesz tego, co zrobiłeś? – spytał rebeliant.

Cesarz podniósł głowę.

– Nie – odrzekł. Wyglądał na zaskoczonego pytaniem.

Jubad nic nie powiedział.

– Nie – powtórzył w końcu cesarz. – Przyszedłem na świat nie wiedząc, co znaczy żyć. Władza zdawała się być jedyną rzeczą, która

kryła w sobie obietnicę spełnienia, więc dążyłem do niej – doszedłem dość daleko, by przekonać się, że obietnica była kłamstwem i że ta droga prowadzi donikąd. Ale próbowałem. Gdy nie otrzymujemy już odpowiedzi na nasze pytania, każda żywa istota ma przecież niezaprzeczone prawo ich szukać; wszystkimi środkami, na wszelki sposób i ze wszystkich sił. Miałem prawo postępować tak, jak postępowałem.

Jubad zadrżał, czując surowość tych słów. Cesarz był nieubłagany dla wszystkich, także dla samego siebie. Nawet w ostatniej chwili nie zaniechał twardych zasad, dzięki którym trzymał władzę sto tysięcy lat. Nawet w chwili śmierci i po niej decydował o losie ludzkości.

Ma rację, pojął oszołomiony Jubad, *nigdy nie pozbędzie się władzy, którą zdobył.*

Poczuł w ręce ciężar broni.

– Sąd może zdecydowałby inaczej.

– Musisz mnie zabić. Jeśli zostanę przy życiu, wasze powstanie nie powiedzie się.

– Może.

Jubad był przygotowany na gniew cesarza, lecz ku swemu zaskoczeniu widział w jego oczach tylko wstręt i przesyt.

– Wy, śmiertelnicy, macie szczęście – powiedział powoli władca. – Nie żyjecie dostatecznie długo, by zrozumieć błahość wszelkiego bogactwa i bezsens życia. Jak myślisz, dlaczego zrobiłem to wszystko, zadałem sobie tyle trudu? Mógłbym zabrać ze sobą w śmierć wszystkich ludzi, gdybym zechciał. Ale nie chcę. Nie chcę już nic, nie chcę mieć do czynienia z istnieniem.

Z zewnątrz dobiegały krzyki i odgłosy strzałów. Walczono coraz bliżej.

– Strzelaj! – rozkazał ostro cesarz.

I Jubad odruchowo, nie zastanawiając się, podniósł broń i strzelił cesarzowi w piersi.

Później wielbiono go jako oswobodziciela, jako tego, który pokonał tyrana. Uśmiechał się do kamer, przyjmował triumfujące pozy i wygłaszał owacyjnie oklaskiwane mowy, lecz cały czas nie opuszczała go świadomość, że tylko odgrywa zwycięzcę. Jedynie on wiedział, że nim nie jest.

Do końca życia będzie zadawał sobie pytanie, czy nawet jego ostatnia chwila też została zaplanowana przez cesarza.

To rozsądek nie wytrzymuje próby czasu; zmienia się i przemija. Wstyd natomiast jest jak rana, nigdy nie odkryta, dlatego nigdy się nie goi. Dotrzyma obietnicy i dochowa milczenia, ale nie z rozsądku, lecz ze wstydu. Będzie milczał z powodu tego momentu, tego mgnienia oka: w którym on, rebeliant, *był posłuszny* cesarzowi…

Jeszcze cię kiedyś zobaczę

Atak nastąpił bez uprzedzenia. Obce okręty pojawiły się nie wiadomo skąd i zbliżyły do stacji kosmicznej, nie wysyłając sygnałów rozpoznawczych i nie reagując na wezwania. A gdy latające roboty bojowe, pierwsza linia obrony stacji, otworzyły ogień, obcy odpowiedzieli gęstym ostrzałem.

Udało się zmusić ich do odwrotu, a nawet ciężko uszkodzić jeden z okrętów. Jednak należało liczyć się z powrotem obcych. Szkody, jakie atak wyrządził na stacji, trzeba naprawić tak szybko, jak to możliwe, by następnym razem nie dać się zaskoczyć i stawić czoła wrogowi w pełnej gotowości.

Ludkamon został przydzielony do prac naprawczych w sekcji bazowej 39-201, byli z nim sami zwykli ładowacze i z miejsca znienawidził tę pracę.

Sekcja Bazowa 39-201, płaski moduł budowlany o kształcie obszernej hali, pełniący rolę całkowicie zautomatyzowanego magazynu kontenerów, został trafiony jednym z pocisków i od tej pory nie nadawał się do użytku. Naprawiono uszkodzenia powłoki zewnętrznej i ponownie napełniono sekcję powietrzem, mimo to wciąż nie działała.

– Słuchajcie wszyscy uważnie – grzmiał szef brygady naprawczej, głosem nawykłym do wydawania rozkazów. – Podzielimy się na dwójki i zaznaczymy wszystkie elementy, które nie działają poprawnie. Potem zredukujemy w całym obszarze siłę ciężkości i ręcznie rozładujemy niedostępne kontenery. I pospieszcie się, jeśli łaska; statek tunelowy czeka!

Gródź podniosła się i otwarła dojście do ogromnej, mrocznej hali pełnej regałów i szyn transportowych, z których niektóre były pogięte lub nadtopione. Rozszedł się zapach chłodu i kurzu.

Dla Ludkamona zabrakło pary, wyruszył więc sam. To mu odpowiadało. Nie cierpiał ładowaczy, nie znosił ich, odkąd Iva…

Nie chciał o tym myśleć. Może i dobrze się stało, że otrzymał do wykonania zadanie, na którym może się skupić. Dobył markera i z pełnym zaangażowaniem począł sprawdzać transportery rolkowe: trącał ręką każdy wałek, słuchał odgłosu i zatrzymywał wałek. Na tych, które nie obracały się albo wydawały podejrzany dźwięk, rysował z boku znaczek.

Wtedy odkrył przewrócony kontener.

W hali było ich wiele. Ten jednak spadając podczas ostrzału z transportera, uderzył w rozszarpany bok regału, który rozciął go jak otwieracz do konserw.

Ludkamon wstrzymał oddech. Otwarty kontener!

Przez całe życie zadawał sobie pytanie, co też jest w pojemnikach, przywożonych tu codziennie tysiącami i przeładowywanych na statki tunelowe. Tego nie wolno im było wiedzieć. Kontenery – o długości i szerokości równej wzrostowi mężczyzny, sięgające mniej więcej na wysokość bioder – były zawsze zamknięte i zapieczętowane. Na temat ich zawartości kursowały niesamowite pogłoski.

Ludkamon rozejrzał się we wszystkie strony. Nikogo, kto by go obserwował. Tylko krok i dowie się. Krok i sprowadzi na siebie gniew cesarza.

A niech tam. Jeden krok i Ludkamon pochylił się nad dziurą wydartą w pokrywie kontenera.

Uderzył go zjełczały, nieprzyjemny zapach. Dłoń poczuła coś miękkiego, futrzanego. To, co chwycił i wyciągnął przez otwór, wyglądało jak gruby koc albo cienki dywan. Zdawało się mieć wymiary dokładnie takie same, jak kontener. Kontener był wypełniony po brzegi podobnymi przedmiotami.

Dywany? Dziwaczne. Ludkamon wcisnął miękki przedmiot z powrotem, na ile potrafił.

– Nie chciałeś chyba zajrzeć do kontenera? – wzdrygnął się na dźwięk grzmiącego głosu.

Ludkamon uniósł się.

– Ach, nie – wyjąkał.

Stał przed nim dowódca brygady i podejrzliwie mierzył go wzrokiem od stóp do głów.

– Założę się, że chciałeś. Ludkamon, ta ciekawość będzie cię kiedyś kosztować głowę!

Lekarz pochylał się nad otwartą raną, z nieporuszonym wyrazem twarzy, po którym jednak znać było lekki niesmak. Jego gesty miały wyraźnie dawać do zrozumienia, że swoją obecność tutaj uważał za uciążliwą formalność. Kości czaszki były pęknięte na obszarze wielkości dwóch dłoni, pod spodem kłębiła się masa mózgu, szara i martwa. Przyciągnął bliżej lampę wiszącą nad głową, by na oglądane tkanki nie padał żaden cień.

– I co? – spytał drugi mężczyzna. Duże, klinicznie sterylne pomieszczenie odpowiedziało echem na jego głos. – Przestał działać.

Lekarz z westchnieniem wyjął z uchwytu sondę pomiarową i dotknął nią mózgu, nie troszcząc się przy tym zbytnio o ostrożność. Przez chwilę obserwował wskaźniki. Ani drgnęły.

– Jest martwy, niewątpliwie – powiedział w końcu.

Ten drugi parsknął poirytowany.

– Ależ to katastrofa! Akurat teraz!

– Obawiacie się, że napastnicy powrócą?

– I to lepiej uzbrojeni. Tak. Nie ma rady, potrzebujemy jak najszybciej wymiany w Sekcji Wyższej, przed ponownym atakiem na stację.

Lekarz obojętnie skinął głową.

– Jestem gotów.

Zaczął odłączać przewody zasilające i wyłączać urządzenia. Buczenie, które jak tło dla innych dźwięków przez cały czas cicho brzmiało w chłodnym pomieszczeniu, ucichło.

– Ping!

Metalicznie brzmiącym sygnałem dźwiękowym straż kosmiczna informowała, że na ekranach pojawił się nowy punkt odbijający światło. Człowiek przy konsoli spojrzał w górę. Natychmiast zauważył punkt, samotnie migocący na ekranie i ręka nerwowo powędrowała do włącznika alarmowego.

Minęły wlokące się bez końca sekundy, nim obok punktu pojawiła się jego identyfikacja i przestał migotać. K-70113. Statek cesarza. Mężczyzna odsunął rękę od przełącznika alarmowego i włączył aparat radiowy.

– K-70113, tu stacja portalowa. Czas pokładowy 108. Mamy podwyższoną gotowość alarmową. Przygotujcie się na eskortę robotów bojowych. Wasz obszar przylotu: południowy zachód. O 115 otrzymacie promień naprowadzający; wylądujecie w zatoce 2.

Głos w głośniku brzmiał spokojnie i rzeczowo jak zwykle.

– Do stacji portalowej, przyjęliśmy. Przylot południowy zachód, lądowanie zatoka 2, promień naprowadzający 115, koniec.

– Koniec – potwierdził mężczyzna. Nie pytali o szczegóły. Może jeszcze nie wiedzieli o ataku obcych okrętów kosmicznych. No, to się dowiedzą.

Ze swego miejsca w szklanej kabinie Ludkamon mógł obserwować cały dok, ogromne wrota zapory, chodniki, schody i puste kontenery, ustawione w stosy wysokości domów. *Służymy cesarzowi.* Przesuwanie palcami pojedynczych paciorków naszyjnika członka portalowej warty uspokajało go. *Którego słowo jest prawem.* Sam nie wiedział, który już raz recytuje tekst ślubowania wartowników, by utrzymać w ryzach swe, galopujące jak oszalałe, myśli. *Którego wola jest naszą wolą. Którego gniew jest straszny.* Od czasu ataku obcych wszystko działo się wolniej. Prace naprawcze w większości ukończono i zdarzały się długie okresy oczekiwania, podczas których nie umiał sobie inaczej poradzić. *Który nie wybacza, lecz karze. Którego zemsta trwa wieki.*

Kolejny raz w jego głowie pojawiło się pytanie, dlaczego kulka, odpowiadająca w naszyjniku ostatniemu zdaniu ślubowania, była obciągnięta futrem. Przypomniały mu się osobliwe tkaniny, które

odkrył w kontenerze. Potem dojrzał Ivę, swoją Ivę, flirtującą z Feukiem, z tym obrzydliwym, nadętym prostakiem, i zawrzała w nim z trudem poskramiana zazdrość.

Ludkamon spoglądał na swe odbicie w jednym z wyłączonych ekranów. Widział szczupłego, młodego człowieka, sprawiającego niezdarne i niezgrabne wrażenie, nie rzucającego się raczej w oczy. Wbrew woli musiał przyznać, że nie potrafiłby podać powodów, dla których dziewczyna taka jak Iva w ogóle się nim zainteresowała. Łatwiej było zrozumieć, że mógł jej się podobać Feuk, ta myśl sprawiła, że poczuł w trzewiach palący ból, wydał się sobie okropnie brzydki i mały. Feuk był ładowaczem, wysoki, silny, pewny siebie, olbrzym o złotych lokach i muskułach ze stali. On, Ludkamon, zadziwiająco szybko doszedł do pozycji nadzorcy ładowaczy – stanowiska, które, ze względu na wymagane tam zdolności intelektualne, pozostanie na zawsze niedostępne dla Feuka – czuł powołanie do jeszcze wyższych celów. Jednak nigdy nie zdarzyło się, by zdolności intelektualne wywarły wrażenie na kobietach.

Na ekranie przed nim pojawił się meldunek. Ludkamon mimowolnie przeczytał i gniewnym ruchem dłoni włączył głośniki na hali, by dokonać wymaganej zapowiedzi.

– Kontrola przestrzeni kosmicznej zgłasza przylot statku cesarskiego K-70113. Spodziewany czas lądowania 116.

Wśród pracowników przeładowni nastąpiło poruszenie. Taśmociągi ustawiano na pozycjach, zerowano liczniki, przygotowywano wózki transportowe. Nad wrotami grodzi zabłysło światło sygnalizacyjne informujące, że z komory grodziowej odpompowywano powietrze. Stękające skrzypienie wielkich odrzwi, które musiały oprzeć się próżni, dudniło groźnie po hali, ale ludzie byli do tego przyzwyczajeni.

Tam! Feuk uszczypnął ją w pośladek, a ona roześmiała się. Po prostu robiła to, na co przyszła jej ochota. Nigdy nie poradzi sobie z jej beztroską radością życia. Ludkamon z wściekłością zgniótł w kulkę pierwszą stronę swego notatnika i cisnął nią w kąt.

Informację podawały wszystkie media stacji portalowej we wszystkich rewirach.

– Dowództwo stacji ogłasza, że zwycięzca najbliższych mistrzostw zostanie powołany do Sekcji Wyższej.

Setki wietrzyły w tym szansę dla siebie. To była dla każdego okazja wspięcia się na Poziom Administracyjny. Opowiadano sobie przedziwne historie o luksusie, jakiego zażywano w Sekcji Wyższej. Nikt tego jeszcze nie widział; była ona szczelnie oddzielona od Sekcji Głównej i nie zdarzyło się, by ktoś powołany na Poziom Administracyjny wrócił na poziomy niższe. Prawdopodobnie członkowie Sekcji Wyższej byli nawet poddawani zabiegom

przedłużającym życie. W każdym razie: na pewno nie musieli nawet kiwnąć palcem. Nigdy więcej przeładowywania kontenerów. To była szansa.

Całowała go długo i czule, miał uczucie, że rozpływa się w różowy dym. Z westchnieniem wplątał palce w jej włosy, wdychał ich zapach jak niebiańską woń i szeptał z zamkniętymi oczyma:

– Iva, kocham cię.

– Ja też cię kocham, Ludkamonie. – Pocałowała go jeszcze w czubek nosa i usiadła.

Leżał, dalej nie otwierając oczu i cieszył się uczuciem delikatności, którym był wypełniony. Gdy zauważył, że ona zaczyna się ubierać, podniósł się gwałtownie.

– Co robisz? Wychodzisz?

Spojrzała na zegarek.

– Jestem umówiona z Feukiem.

– Z Feukiem…?! – niemal krzyknął. – Ale – przecież właśnie powiedziałaś, że *mnie* kochasz!

– To prawda, tak właśnie myślę. – Uśmiechnęła się uśmiechem proszącym o wybaczenie. – Ale Feuka też kocham.

Pocałowała go po raz ostatni i poszła. Ludkamon patrzył za nią, nie pojmując. Potem zacisnął pięść i uderzył w materac, jeszcze raz i jeszcze, i jeszcze.

Statek transferowy wisiał jak wielka, pęcherzykowata narośl na spodzie stacji portalowej. W porównaniu ze statkami cesarskimi, które brzęcząc, krążyły wokół stacji jak owady wokół kwitnącego krzewu, był on wprost monstrualnie wielki. Niekończący się strumień kontenerów ginął w jego nienasyconych ładowniach, nadzorowany przez mężczyzn i kobiety w czarnych mundurach, nazywanych z szacunkiem „pilotami tunelowymi".

Codziennie przylatywały cesarskie statki, lądowały na jednym z dwudziestu czterech lądowisk, rozładowywano je i odlatywały z pustymi kontenerami. W dniach szczytu przeładowywano pięćdziesiąt tysięcy kontenerów, czasem nawet osiemdziesiąt tysięcy. Normą było dziesięć tysięcy kontenerów, przesuwanych z łoskotem po rolkach transporterów sekcji ładunkowej, z lądowisk do doku statku transferowego.

Czerwone światło niedalekiego słońca połyskiwało mrocznie na matowej, odrapanej przez strumienie cząsteczek i mikrometeoryty powłoce potężnej stacji portalowej. Niemal nikt nigdy nie patrzył z niej w przestrzeń kosmiczną. Miała bardzo niewiele okienek, bo nie było prawie nic do oglądania. Wielkie czerwone słońce, poza tym tylko ta niesamowita ciemna plama, na której krawędziach załamywało się światło odległych gwiazd: tunel.

W magazynie kontenerów Ludkamon zażądał od niej wyjaśnień, miał nadzieję, że nie znać po nim, jak drży.

– Iva, ja tak dłużej nie mogę. Idziesz ode mnie do Feuka, od Feuka wracasz do mnie, stale tam i z powrotem. Dłużej tego nie zniosę. – Przy ostatnich słowach musiał się bardzo pilnować, by jego głos nie przeistoczył się w bezradny szloch.

– No i? – spytała ostro. – Co chcesz zrobić? Odejść ode mnie?

Samo to wyobrażenie, to jedno słowo spowodowało, że wszystko w nim skurczyło się. Zacisnął pięści.

– Musisz wybrać jednego z nas! – nalegał.

Odpowiedziała z zaciętym wyrazem twarzy:

– Niczego nie muszę.

– Iva, ja cię kocham!

– W twoich ustach brzmi to: Chcę cię mieć!

Na to Ludkamon nie znalazł odpowiedzi. Miała rację, ale to rozgniewało go tym bardziej.

– Jeszcze zobaczysz! – rzucił w końcu gwałtownie i odwrócił się. Odchodząc, miał nadzieję, że Iva go zawoła, jednak nic nie usłyszał.

Następnym statkiem, który zacumował w lądowisku 2, był K-5404. Ku zaskoczeniu wszystkich przywiózł nie tylko zwykły ładunek, ale także zmienników, żywność i części zapasowe. Na żywność i części zapasowe czekano już niecierpliwie, ale załoga zmienników była problemem. K-22822, który miał zabrać zwolnioną załogę, jeszcze nie przyleciał; trzeba więc było wentylować i ogrzać ciasne, niewygodne kwatery awaryjne w sekcji maszynowej. Dzięki temu jednak można było podwoić siły w stacjach bojowych.

– Feuk!

Ludkamon krzyknął przez całą stołówkę i nic go nie obchodziło, że słyszą to setki ludzi.

– Feuk, wyzywam cię!

Barczysty ładowacz odwrócił się powoli. Przeszukiwał wzrokiem tłum, jego muskuły pod ubraniem odznaczały się jak stalowe liny.

– Ach tak? – zaburczał rozbawiony, gdy zauważył podchodzącego pospiesznie szczupłego nadzorcę ładowaczy.

– Feuk, chcę z tobą walczyć! – Ludkamon stał dysząc przed rywalem.

– Chętnie – zaśmiał się tamten szyderczo. – Mamy wyjść czy wypatroszyć cię tutaj?

Ludkamon potrząsnął głową.

– Wyzywam cię do wspólnej walki w mistrzostwach. Ten z nas, kto dalej zajdzie, dostanie Ivę, a drugi ustąpi.

W jadalni zapanowała nagle pełna napięcia cisza.

Feuk zastanowił się.

– Jeszcze nigdy nie startowałem w mistrzostwach – powiedział z rozwagą.

– Ja też nie. To gra fair.

Ktoś zamruczał potwierdzająco.

Feuk patrzył lekceważąco na swego przeciwnika.

– No cóż – powiedział w końcu. – Myślę, że nie przejdziesz nawet kwalifikacji. Więc niech będzie.

Ludkamon wyciągnął rękę.

– Umowa stoi? Słowo honoru?

– Umowa stoi. Słowo honoru – odpowiedział Feuk szyderczo i ścisnął rękę Ludkamona tak mocno, że tamten prawie padł na kolana.

Ludzie wokół klaskali.

Wielką salę zebrań, leżącą dokładnie w środku ciężkości stacji portalowej, przygotowano do rozegrania mistrzostw. Z niezbędnymi pracami technicznymi uporano się jak zwykle szybko. Trudniejsze były problemy organizacyjne. Ciągle jeszcze obowiązywała podwyższona gotowość alarmowa, dlatego systemy obronne musiały być w pełni obsadzone także podczas turnieju. Z drugiej strony, ponieważ zwycięzca miał być w nagrodę przyjęty do Sekcji Wyższej, nie ograniczono ilości uczestników. Każdy, kto się zakwalifikuje, będzie mógł startować.

– Ludkamon! Zwariowałeś?!

– Nie. Ja właśnie nie chcę *zwariować*.

Z gniewu po prostu wychodziła z siebie. Wbrew przepisom przyszła w czasie pracy do kabiny nadzorczej i teraz cała załoga ładowaczy mogła z dołu przyglądać się, jak rozwścieczona robi mu scenę. Fakt, że przez szklane ściany nie było nic słychać, czynił rzecz jeszcze bardziej pikantną.

– Myślałam, że się przesłyszałam. Walczyć o mnie. Chcecie się o mnie bić – dziękuję, to mi naprawdę pochlebia. A mnie nikt nie zapytał o zdanie, co?

– Ja cię *spytałem*, Iva.

– Kiedy?

– Spytałem cię, którego z nas wybierasz.

– Ale ja nie chcę wybierać!

– Dlatego załatwimy tę sprawę między sobą.

– Sprawę. Aha. Jestem więc dla was sprawą. Trofeum. Pierwszą nagrodą, którą można sobie postawić na półce. Albo raczej położyć do łóżka.

– Chcemy w końcu mieć jasność.

– A dlaczego nie biliście się tam od razu?

– Iva, Feuk jest ładowaczem i jest wielki jak szafa. To by nie było fair.

– Ludkamon, powodzenie w mistrzostwach zależy od specyficznych predyspozycji. To, że jesteś nadzorcą, a Feuk prostym ładowaczem, wcale nie znaczy, że masz większe szanse.

– Właśnie. To jest fair.

Spojrzała na niego, nie rozumiejąc.

– Jeśli przegrasz, zostawisz mnie?

– Tak.

– Łajdak!

– Ale wygram.

Z jej gardła wydostał się nieartykułowany wrzask.

– Czemu nie rzuciliście o mnie *kości*? To byłoby fair! – krzyknęła. Potem otworzyła drzwi na całą szerokość i zawołała na całą halę: „MĘŻCZYŹNI!!"

Pełnomocnik do spraw kwalifikacji spojrzał pytająco na siedzącego na krześle młodego człowieka, sprawiającego dziwnie nerwowe wrażenie.

– Jak się nazywasz? – spytał, wyjmując pisak.

– Ludkamon.

– Stanowisko?

– Nadzorca w ładowalni 2.

Mężczyzna sprawdził na liście. Nadzorca ładowaczy, to nie było stanowisko ważne pod względem bezpieczeństwa. Nie było więc potrzeby wskazania zastępstwa. Odłożył formularz na bok i podał kandydatowi hełm bojowy.

– Startowałeś już kiedyś w mistrzostwach?

– Nie.

Och, na cesarza! Znów łowca szczęścia, który marzy o tym, by uciec od żałosnej szarzyzny służby portalowej. Znów jeden, który czuje się godzien przejścia do tajemniczej Sekcji Wyższej, najdostojniejszego kręgu, jaki można sobie wyobrazić.

– Dobrze, wytłumaczę ci – zaczął cierpliwie pełnomocnik. – Musisz założyć hełm tak, żeby sensory na jego przedzie dokładnie przylegały ci do czoła. Tak. Teraz opuść wizjer. Co widzisz?

– Żółtą piłkę.

– Dobrze. Porusz nią.

– Poruszyć? – spytał osłupiały młody człowiek. – Jak?

– Musisz po prostu *myśleć* – wyjaśnił pełnomocnik. – Siłą wyobraźni. W mistrzostwach walczysz myślami. Hełm zbiera impulsy i przetwarza je w ruch. Teraz tylko ty widzisz piłkę; podczas mistrzostw będzie ją widziała także publiczność. No i oczywiście nie skończy się

na jednej piłce. W drugiej rundzie będą trzy, potem pięć, i tak dalej. Będziesz walczył z przeciwnikiem o kontrolę nad piłkami, im więcej będziesz kontrolował, tym dalej dojdziesz.

– Najważniejsze, żebym doszedł dalej niż… – zaczął chłopak i przerwał.

Pełnomocnik nadstawił uszu.

– Niż kto?

– Nikt. Co mam robić?

No i dobrze. Nic go nie obchodzi, jakie kłopoty ma ten szczupły chłopak.

– Porusz piłką. W kółko, jeśli potrafisz – mężczyzna sprawdzał na ekranie, co było widać w wizjerze hełmu. Piłka poruszyła się, najpierw z ociąganiem, szybko jednak coraz pewniej, po z grubsza kołowym torze.

– Dziękuję – powiedział mężczyzna i narysował na formularzu haczyk. – Zakwalifikowałeś się.

Otwarcie mistrzostw, zwykle wzbudzających raczej niewielkie emocje, tym razem odbyło się z wielkim przepychem. Praktycznie wszyscy, których akurat stan alarmowy nie zatrzymał na stanowiskach, zgromadzili się na galeriach otaczających halę; rozbrzmiała muzyka, po suficie tańczyły kolorowe światła, panował swobodny nastrój.

Wystąpił mówca należący do Sekcji Administracyjnej. Muzyka ucichła, gra świateł zgasła, wielkie zgromadzenie pogrążyło się w ciszy.

– Mam zaszczyt – powiedział – dokonać uroczystego otwarcia mistrzostw, poprzez nasze ślubowanie, ślubowanie wartowników portalu. Proszę powtarzać za mną.

Rozbrzmiało przytłumione stukanie i szuranie, gdy wszyscy podnosili się z siedzeń.

– Służymy cesarzowi – rozpoczął.

Służymy cesarzowi, powtórzył tysiącgłosowy chór załóg.

– Którego słowo jest prawem. Którego wola jest naszą wolą.

Którego słowo jest prawem. Którego wola jest naszą wolą.

– Którego gniew jest straszny. Który nie wybacza, lecz karze.

Którego gniew jest straszny. Który nie wybacza, lecz karze.

– Którego zemsta trwa wieki.

Którego zemsta trwa wieki.

Fanfary.

– Ogłaszam mistrzostwa – zawołał mówca – za otwarte!

Biegnąc wraz z innymi na arenę, Ludkamon, z ciasno wciśniętym na głowę hełmem, przeszukiwał oczyma galerie, lecz nie znajdował na nich Ivy. Za wiele twarzy. Może zresztą wcale nie przyszła.

Musi skoncentrować się na walce. To szansa na pobicie Feuka; jedyna, jaką ma.

Jego pierwszy przeciwnik nie był trudny. Na sygnał pojawiła się między nimi żółta piłka, a nad głową każdego gracza zabłysnął bladoniebieski prostokąt. Ten, kto przejmie panowanie nad piłką i przesunie ją w kwadrat nad głową przeciwnika, wygra. Ludkamon wygrał w kilka sekund.

Potem rozejrzał się. Feuk stał w dużym oddaleniu, ale wyglądało na to, że i on wygrał.

Więc dobrze. Następna runda.

Tym razem były to trzy piłki, ale Ludkamon opanował je wszystkie i umieścił w celu. Znów zwycięstwo.

Poszukał wzrokiem Feuka. Też był już gotowy i patrzył na niego.

To go uspokoiło. Ludkamon otarł pot z brwi. Nie słyszał okrzyków publiczności, widział tylko swego rywala. Liczył w duchu na to, że przewyższa go inteligencją, ale wyglądało na to, że Iva miała rację, tu obowiązywały inne reguły. Powoli docierało do niego, że nie będzie to łatwa walka.

– Stacja portalowa, tu K-6937, statek cesarski. Prosimy o wprowadzenie.

– K-6937, tu portalowy nadzór przestrzeni kosmicznej. W tej chwili rozładunek nie jest możliwy. Prosimy o przejście w pozycję oczekiwania.

– Nadzór przestrzeni – dlaczego?

– Odbywają się tu w tej chwili Wielkie Mistrzostwa.

Na innym kanale.

– K-12002, statek cesarski, wzywa stację portalową.

– K-12002, tu portalowy nadzór przestrzeni kosmicznej…

Liczba punkcików świetlnych wokół stacji stale powiększała się. W lądowiskach praca zamarła. Tylko ładowanie statku transferowego trwało nieprzerwanie mimo mistrzostw.

Jedenaście piłek. Ludkamona oczy piekły od potu i miał wrażenie, że hełm miażdży mu czaszkę. Jedenaście piłek, a żaden z nich jeszcze nie odpadł. Poprzez mocno oświetlone pola innych graczy rzucił wściekłe spojrzenie na Feuka. Nie podda się. Płonąca w nim namiętność była jak trawiący wszelkie inne uczucia płomień.

Jedenaście piłek. Zostawili już za sobą wielu znanych, dobrych graczy. W każdym razie zakończą grę gdzieś w ścisłej czołówce.

Myśl, że on, początkujący, pokonał tak sławnych graczy jak technik Pai i żołnierz Buk, zaniepokoiła go przez chwilę i wzór tworzony przez jedenaście tańczących z drżeniem wokół siebie piłek zachwiał się na moment.

Teraz tylko nie zmniejszyć koncentracji. Zacisnął pięści, na

szeroko rozstawionych nogach kiwał się w przód i w tył, nie spuszczając oka z piłek. Przeciwnik był silny i znał wiele trików. Odkąd w grze uczestniczyło więcej niż siedem piłek, walki były zacięte i trwały długo.

Ostatni kontener zaklinował się w liczniku, na chwilę nim zjechał z rolek transportera do wnętrza statku transferowego. Ponieważ nastawiona ilość nie została jeszcze osiągnięta, urządzenie transportowe, choć puste, działało dalej, kręcące się rolki tarły o dno unieruchomionego kontenera, wydając przy tym dźwięk szarpiący nerwy na strzępy.

Odgłosy zaalarmowały członka zatoki statku transferowego. Pilot tunelowy podszedł pośpiesznie i próbował uwolnić kontener, lecz nie był w stanie sam pokonać ustawicznego nacisku wałków transportowych. Przywołał drugiego mężczyznę.

– Że też takie rzeczy zdarzają się zawsze na sam koniec – powiedział tamten.

– Właśnie. A jak rozgrywki?

– Wygląda na to, że tym razem do finału dojdzie dwu nowicjuszy. Szkoda, że nas już wtedy tu nie będzie.

Jedyny harmonogram, który obowiązywał pilotów tunelowych, wyznaczało pulsowanie tunelu, nazywane także *czasowaniem.*

We dwóch udało im się wsunąć kontener z powrotem na taśmę. Z łoskotem przesunął się na wyznaczone miejsce, wtedy cały transporter wyłączył się ze stukiem, który poniósł się echem po całej hali. Nagle w korytarzach i szybach zapanowała cisza, którą mącił tylko brzęk kilku rolek, obracanych wciąż siłą bezwładności.

Hala oszalała. Mężczyźni i kobiety wspięli się na czubki palców i z krzykiem wymachiwali rękami. Prowadzący grę ze swego podestu z trudem przekrzykiwał huk hałasu, ogłaszając wynik rozgrywek.

– Finał! Wystąpią… Ludkamon przeciw Feukowi!

To była absolutna sensacja. Dwóm początkującym udało się w Wielkich Mistrzostwach odesłać na miejsca wszystkich faworytów i dojść do finału. Finału, w którym miano grać dziewiętnastoma piłkami, co oznaczało niezwykle wysoki stopień trudności.

Teraz cię pokonam, myślał zdecydowanie Ludkamon. *Raz na zawsze cię załatwię.* Obserwował Feuka spod półprzymkniętych powiek, podczas gdy jeden z asystentów szybkimi ruchami masował mu kark. Rywal kazał sobie spryskać twarz wodą. Jego obnażony tors błyszczał od potu.

Nagle Ludkamon odkrył wśród publiczności Ivę. Podczas gdy wokół wszystko wyło i wrzeszczało, stała przerażająco blada, z szeroko otwartymi oczami i złożonymi przed ustami dłońmi. Gdy ją

zobaczył, przypomniał sobie, że zwycięzca mistrzostw zostanie powołany do Sekcji Wyższej!

A po następnej walce jeden z nich będzie tym zwycięzcą!

Skrzywił usta w nikczemnym uśmiechu. To było genialne. Najgenialniejszy podstęp wszechczasów. On, Ludkamon, *specjalnie przegra* finałową walkę! W ten sposób Feuk stanie się zwycięzcą mistrzostw, zostanie powołany do Sekcji Wyższej – a on, Ludkamon, będzie miał Ivę tylko dla siebie.

To było genialne. Idealna okazja, by usunąć na zawsze z drogi uciążliwego rywala. A najlepsze było to: nic nie mogło mu przeszkodzić.

– Grodzie zamknięte i szczelne.

– Absorber gotowy i uruchomiony.

– Przewód zasilający odłączony, zasilanie pokładowe uruchomione.

Człowiek w czarnym uniformie pochylił się do przodu i przełączył po kolei kilka przełączników.

– Statek transferowy do nadzoru przestrzeni. Jesteśmy gotowi do odłączenia.

– Tutaj nadzór przestrzeni. Stracicie finał mistrzostw.

– Tak. Ale nasze serca biją w rytm czasowania tunelu… – To było powiedzenie pilotów tunelowych.

– Jasne. Gotowi do odłączenia za dziesięć… pięć… trzy – dwa – jeden – odłączyć! Dobrego lotu.

Człowiek w czarnym mundurze uśmiechnął się.

– Dziękuję stacji portalowej!

Miękko, bez najmniejszego wstrząsu, statek transferowy oddzielił się od wielkiej stacji kosmicznej i powoli skierował ku wielkiej, niesamowitej plamie na morzu gwiazd.

Ludkamon na wszelkie sposoby szydził i drażnił Feuka, by wzbudzić w nim wolę walki. Teraz, gdy stali naprzeciw siebie w finałowej walce, jeszcze raz pokazał mu język, co publiczność przyjęła frenetycznym wyciem i co wyraźnie wprawiło Feuka w dziką wściekłość. I dobrze. Ma oślepnąć ze złości, ma walczyć ślepy z wściekłości. Niech go znienawidzi, niech zapomni o wszystkim prócz pragnienia pokonania jego, Ludkamona.

A on spełni to pragnienie. Ludkamon uśmiechnął się szyderczo, pewny zwycięstwa.

Zabrzmiał gong i na polu walki pojawił się obraz dziewiętnastu piłek.

Na jedno mgnienie oka w umyśle Ludkamona pojawiła się inna myśl: gdyby walczył i wygrał, dowiedziałby się, jak to jest z tą Sekcją

Wyższą. Może to prawda, co opowiadają – o niewyobrażalnym luksusie, przedłużonym życiu… Może toczy tutaj całkiem niedorzeczną walkę? Sekcja Wyższa, to szansa, która się nigdy nie powtórzy. Odrzucić ją dla niestałej kobiety…

Z nagłym zdumieniem Ludkamon ujrzał, jak wszystkie dziewiętnaście piłek zostaje wprawione w ruch. Pomknęły do prostokątnego pola nad głową Feuka i zniknęły w nim, nim Ludkamon zdążył zareagować.

Napięcie tłumu rozładowało się w ogłuszającym krzyku radości. Zagrzmiały fanfary. Prowadzący grę daremnie próbował powiedzieć coś przez głośniki. Ale dopiero, gdy pierwsi kibice przeskoczyli przez barierki i podbiegli do niego, Ludkamon zrozumiał, że właśnie on, w jakiś sposób, wygrał mistrzostwa.

– Ale… ja przecież zupełnie nic nie zrobiłem! – mamrotał.

Feuk! Feuk, ten szubrawiec! Teraz wszystko było jasne. Feuk wpadł na dokładnie ten sam pomysł co on – ale nie zwlekał, tylko natychmiast doprowadził do swej przegranej!

Ludkamon musiał bezsilnie przyglądać się, jak Feuk z szyderczym uśmiechem skłonił się przed nim. Przechytrzył go. Ludkamon zacisnął oczy. Teraz mógł już tylko mieć nadzieję, że wynagrodzi mu to Sekcja Wyższa. Przynajmniej nigdy już nie będzie musiał nawet kiwnąć palcem.

Iva miała łzy w oczach, gdy podeszła do niego.

– Teraz jesteś zadowolony? – szlochała.

– Iva – bełkotał zmieszany. – Nikt nie mógł się tego spodziewać…

Objęła go i ścisnęła z rozpaczą pożegnania.

– Więc wygrałeś i mimo to przegrałeś, ty… ty idioto!

– To jeszcze nie koniec, Iva – szeptał bezradnie.

– Wkrótce o mnie zapomnisz. Przejdziesz do Sekcji Wyższej i nigdy więcej o mnie nie pomyślisz.

Potrząsnął głową i poczuł w gardle duszący ucisk.

– Nigdy cię nie zapomnę. Zobaczę cię jeszcze. Obiecuję ci, że jeszcze cię kiedyś zobaczę.

Wszechpotężna czerń, drżąca i pulsująca, niesamowity rwący strumień nieprzeniknionej ciemności, który zdawał się łykać gwiazdy. Statek transferowy był jak okruszek pyłu, gdy zbliżał się do olbrzymiego wiru.

– Jeszcze raz do świata ciemności – powiedział jeden z mężczyzn przy kokpicie.

Choć piloci tunelowi już tysiące razy wykonywali ten skok, zawsze wstrzymywali oddech.

Czerń zdawała się puchnąć. To było uczucie jak przy skoku przez

krawędź wodospadu. Statek transferowy zniknął z wszechświata.

Przyłącza były gotowe. Rusztowanie, mające przyjąć nowego członka Sekcji Wyższej, czekało otwarte, roztwory odżywcze pulsowały miarowo w splotach przezroczystych przewodów.

Lekarz kontrolował przyrządy. Funkcjonowały normalnie. Rutynowy przypadek.

Giętkie srebrzyste rurki prowadziły do półotwartych ust pacjenta, szaro-białe kable znikały w dziurkach nosa i w nacięciach na gładko ogolonym tyle głowy. Oczy i uszy usunięto już i zastąpiono wymiennymi modułami. Spojrzenie lekarza przesunęło się pobieżnie po szczupłym, żylastym ciele młodego człowieka, które nagie leżało przed nim na stole i poczuł przelotny żal. Potem odpędził te myśli, przyłożył piłę i zaczął oddzielać głowę od tułowia.

– Musisz w końcu o nim zapomnieć. – Feuk trzymał delikatne dłonie Ivy w swoich potężnych łapach i bezradnie patrzył na nią. Jej spojrzenie skierowane było w nieokreśloną dal. – On jest teraz w Sekcji Wyższej i należy do Poziomu Administracyjnego. Nie sądzisz, że gdyby chciał, mógłby zjawić się tu w każdej chwili?

Iva powoli potrząsnęła głową.

– Nie mogę uwierzyć, że tak szybko o mnie zapomniał.

Patrzył tysiącem oczu i miał tysiące ramion. Do jego umysłu docierały rozkazy, które należało wykonać i używając siły swych myśli, dyrygował zastępami robotów bojowych, krążących w przestrzeni kosmicznej wokół stacji portalowej. Podłączony do systemu komputerowego, którego przewody i sterowniki rozciągały się po całej stacji, widział wszystko, będzie żył setki lat.

Widzę cię, Iva. Widzę cię tysiącem oczu. Czy nie to ci obiecałem?

Pałac łez

To samotna planeta, najsamotniej sza planeta wszechświata, jego najbardziej przeklęte miejsce. Brak tu jakiejkolwiek nadziei. Ciężkie niebo o nieodmiennie ołowianoszarej barwie zaciągnięte ponurymi chmurami, w nocy nie widać gwiazd, nigdy. Ta planeta miała kiedyś nazwę, ale któż ją jeszcze pamięta? Reszta kosmosu zapomniała o tym świecie, o jego mieszkańcach i ich losie, zapomniała jego nazwy.

Gdzieś na tej planecie znajdziesz rozległą, opustoszałą równinę, sięgającą aż po linię widnokręgu i jeszcze dalej. Nic na niej nie rośnie, nic nie żyje, żaden krzew, nawet źdźbło trawy, żadna roślina ani zwierzę, wszędzie tylko szara skała i szary pył. Choćby znalazł się ktoś, kto zapragnąłby przemierzyć tę płaską przestrzeń, będzie maszerował całe dnie i tygodnie, nie napotykając żadnego wzniesienia ani doliny, nie znajdzie nic do picia ani do jedzenia, nie zyska żadnego urozmaicenia prócz wschodów i zachodów posępnej słonecznej tarczy – aż pewnego dnia dostrzegłby na horyzoncie sylwetkę wielkiej budowli: pałacu łez.

Kruche wieżyczki sterczą wysoko ku niebu, jak wyszczerbione zęby starego wojownika, który nie podda się, póki żyw. Z tych wieżyczek rozlegały się niegdyś wieczorami fanfary grane przez strojnie ubranych trębaczy – ale to już tak dawno…

Gdyby można było przekręcić z powrotem tarczę czasu, daleko, daleko wstecz, wtedy wcale nie byłoby tu równiny. Wszędzie, gdzie teraz jest starta na gładko skała, stałyby domy, ciągnęłyby się ulice, rozpościerały wspaniałe place. Wówczas było tu ogromne miasto, stolica potężnego królestwa. Szerokie drogi rozchodziły się we wszystkich kierunkach nieba, dalej, niż sięgnąć okiem i przecinały jak przesieki gęsty las okazałych budynków. Ruch na alejach i placach nigdy nie ustawał, wszystko jedno, w dzień czy w noc. Zresztą w tym mieście, stale pogrążonym w złocistym blasku, nigdy nie zapadała prawdziwa noc. Jego mieszkańcy żyli szczęśliwie i dostatnio, a gdy ktoś wznosił wzrok ku niebu, widział srebrzyste cielska międzygwiezdnych statków kosmicznych, zostawiające na czystym niebie swe ślady – obłoki, nim wylądowały w handlowym porcie lotniczym lub opuściły atmosferę planety, zdążając ze swymi ładunkami ku dalekim celom, do którejś z gwiazd, jakich miliony skrzyły w górze i wabiły z oddali.

Lecz potem gwiazdy zgasły…

Nie pozostało nic z miasta, które kiedyś zdawało się nieśmiertelne, niepokonane. Można by kopać do woli, a nie znalazłoby się żadnego śladu żyjących tu dawniej ludzi. Żadnych zasypanych resztek fundamentów, żadnych wskazówek o biegu nieistniejących już

ulic, nic. Trwają wciąż tylko dzień i noc, upał i chłód, czasem deszcz i wiecznie wiejący nad równiną wiatr, przemiatający szarobury pył, który bezlitośnie i nieustannie wżera się w kamienne ozdoby pałacu, jedynego stojącego tu jeszcze budynku. Dawniej, gdy byli tu jeszcze ludzie, uważali pałac za najpiękniejszą budowlę galaktyki. Lecz niszcząca siła czasu nie pozostawiła żadnych śladów dawnej urody: kamienne rozety wież, niegdyś porównywane do rozkwitających pąków kwiatów, teraz oszlifowane zmieniły się w nieforemne szare bryły, a z pełnych artyzmu płaskorzeźb na ścianach, dla zobaczenia których ludzie przebywali wiele lat świetlnych, nie pozostały nawet ślady pozwalające się domyślić, gdzie się kiedyś znajdowały. Pałac pogrążony jest w rozkładzie i opuszczeniu. Popękane mury i zapadnięte dachy nie chronią przed wiatrem ani deszczem. Chłód i upał szarpią resztki murów, czasem odpadnie kamień, potoczy się odłamek. Poza tym nic się nie dzieje. Na żadnym z dziedzińców ani korytarzy nie widać śladów ludzkiego życia.

Jedyna część budynku, która jest zupełnie nietknięta, to sama sala tronowa. Dumnymi, wysokimi oknami wznosi się nad ruiną i gruzami, a tajemnicze moce uchroniły przed zniszczeniem subtelnie cyzelowane ornamenty pod oknami, zapomniane ozdoby gzymsów i głębokie ryflowanie kolumn.

Sala tronowa to potężna hala, której sklepienie podpierają liczne kolumny. Niewyobrażalnie dawno urządzano tu zbytkowne ceremonie, wygłaszano przejmujące mowy i prowadzono pełne goryczy rokowania. Sala ta widziała wiele zwycięstw i równie wiele klęsk. Nie – o jedną klęskę za dużo…

Od tego czasu ogromny portal wejściowy pozostaje zamknięty i opieczętowany. Złote inkrustacje na wewnętrznej stronie skrzydła drzwi zachowały się jeszcze, lecz nie można ich zobaczyć. Są zakryte wielkim portretem, oświetlanym rzędem wiecznie świecących lampek.

Złoty tron władcy stoi naprzeciw na podeście. Na nim, bez ruchu, siedzi jedyna żywa istota, którą jeszcze kryją te mury: władca we własnej osobie. Siedzi bez drgnienia, wyprostowany, ręce złożone na podłokietnikach. Można by wziąć go za martwą naturę, gdyby jego oczy nie patrzyły umęczonym spojrzeniem, a klatka piersiowa nie wznosiła się i opuszczała równomiernie.

Z okna może widzieć równinę wokół pałacu, aż po horyzont. Na stole przed nim stoją dwa wielkie monitory, które dawno, dawno temu działały i pokazywały obrazy z miejscowości położonych jeszcze dalej. Ale kiedyś obrazy zaczęły blaknąć, aż potem na ekranach widać było już tylko szare migotanie, przez lata i stulecia. Wreszcie najpierw jeden, potem drugi ekran zgasł. Od tego czasu urządzenia stoją czarne i milczące, bezużyteczne dla władcy.

Spojrzenie w okno trafia zawsze na taki sam widok: monotonnie

szara równina, przechodząca gdzieś w oddali w monotonnie szare niebo. Tam na zewnątrz nic się nie dzieje, nic się nie zmienia.

Władca często życzyłby sobie oszaleć i równie często zadaje sobie pytanie, czy może już oszalał. Lecz wie, że nie jest szaleńcem i nigdy nim nie zostanie.

Od czasu do czasu spada gdzieś gwiazda, władca wiele dni rozkoszuje się tym niespodziewanym dźwiękiem, ciągle na nowo odtwarza go w uchu, by wysmakować do końca, gdyż brak tu innych rozrywek.

Szkło, z którego wykonano okienne szyby, poddane w przeciągu eonów sile grawitacji, nieskończenie powoli spływało w dół. Z biegiem stuleci wysokie szklane szyby stawały się grubsze przy dolnej krawędzi, a cieńsze przy górnej, aż pewnego dnia otwarły się u szczytu i dały wiatrowi dostęp do pogrążonej w ciszy sali tronowej, najpierw gwizdał, jakby ociągając się, potem jego śpiew zmienił się w tryumfalne wycie.

Od tego czasu szyby poddawały się dalej i dalej i dziś wiatr hula po sali tak samo, jak nad równiną. I przynosi kurz.

Kosztowna kryształowa podłoga jest niewidoczna, pokryta pyłem. Kurz osiadł na obrazach i statuetkach, na ścianach, na wyścielanych siedzeniach krzeseł, nawet na ciele władcy. Pokrył jego ramiona i dłonie, łono, stopy i włosy. Jego twarz jest szara od kurzu, tylko łzy płynące z oczu zostawiają ślady na pomarszczonych policzkach, wzdłuż nosa, na górnej wardze i szyi, rozpływają się, rysując siateczkę na kołnierzu płaszcza koronacyjnego, niegdyś purpurowo czerwonego, teraz wyblakłego i szarego.

Władca widzi wokół siebie rozpad i czeka z niewypowiedzianą tęsknotą, aż maszyna za jego tronem wreszcie przestanie działać, jak wszystko poza nią, i pozwoli mu umrzeć.

Siedzi tak więc bez ruchu, lecz nie z własnej woli. Siedzi, gdyż kiedyś wszystkie mięśnie i ścięgna w jego ciele zostały przecięte, a każde włókno nerwowe nieodwracalnie przepalone. Ledwie widoczne stalowe klamry trzymają czaszkę, na stałe przykręconą do oparcia tronu. Na wysokości potylicy wnikają pod skórę głowy, są przykręcone do kości skroniowych i sięgają aż pod kość jarzmową, gdzie zapewniają proste ustawienie czerepu. Dodatkowe klamry podtrzymują dolną szczękę, która bez nich opadłaby w dół.

Za tronem stoi potężna, bezgłośnie pracująca maszyna, która od tysięcy lat utrzymuje przy życiu ciało władcy. Od maszyny do pleców prowadzą rury, grubości męskich ramion, niewidoczne dla obserwatora, gdyby taki wszedł do sali. To one sprawiają, że klatka piersiowa ciągle oddycha, a serce stale bije, to one zaopatrują mózg i inne organy w pożywienie i tlen.

Oczy są jedyną częścią ciała władcy, którą jest w stanie poruszać.

Może przelewać tyle łez, ile zechce i gdyby nie parowały, cała sala zatopiona byłaby wodą wypłakanych przez niego łez. Może patrzeć, gdzie zapragnie, ale od długiego, długiego czasu wpatruje się już tylko w obraz przed sobą. To ponury, ironiczny obraz, który przez wszystkie epoki nie utracił nic ze swego okropieństwa: portret jego pogromcy. Władca wpatruje się w to oblicze i czeka na ułaskawienie – czeka, czeka, czeka i płacze.

Gdy znów ujrzymy gwiazdy

Ognisko było małe, ledwie starczało, by mimo wściekłego chłodu doprowadzić do wrzenia zawartość zawieszonego nad ogniem garnka. Siedzieli wokół szerokim kręgiem, kobiety, dzieci i plemienni starcy, milcząco wpatrywali się w zmęczone płomienie, żując niespiesznie. Pogrążeni w zamyśleniu próbowali wydłużyć jedzenie pospolitej mdłej papki, nabieranej palcami z wyszczerbionych drewnianych misek.

Rzucane przez ogień światło słabo rozjaśniało zimne skały otaczające zgromadzonych. Smutno błąkało się po zniszczonych twarzach, na których trudy wypełniającej ich całe życie ucieczki wyryły swój ślad. Nie mieli w nocy innego światła. Wielkie niebo nad nimi trwało czarne, jak nieskończenie głęboka przepaść.

Cheun był w tej grupie jedynym wojownikiem. W milczeniu jadł swą papkę, wiedząc, że się nią nie nasyci. Sytość – od chwili, gdy ostatnio czuł się syty, minęły już lata. Wtedy mieszkali jeszcze w dolinach nad rzeką, z tłustymi pastwiskami i żyzną ziemią. Teraz te doliny były w rękach wroga, a pastwiska zniknęły na zawsze pod szarą masą, którą pokrywał każdy wyrwany im skrawek ziemi.

Cheun jadł teraz szybciej. Musi wrócić do mężczyzn, trzymających straż na wzniesieniu. Oni też byli głodni i czekali na jego powrót.

Kątem oka widział, jak stary Soleun odstawia pękniętą miskę i z przelotnym uśmiechem głaszcze się po brzuchu, z przyzwyczajenia, właśnie tak, jakby był najedzony i zadowolony. Cheun rzucił mu krótkie spojrzenie. Wiedział, co teraz nastąpi.

– Niebo nie zawsze było ciemne – zaczął opowiadać Soleun piskliwym głosem starca. – Nie zawsze wraz z nadejściem nocy przygniatała ludzi ciemność. Kiedyś, przed niewyobrażalnie długim czasem, tak dawno, że deszcz dawno zmył do morza wszystkie góry, które wówczas były młode – wtedy w nocy na firmamencie nieba widniały gwiazdy.

Dzieci lubiły te opowieści starego. Cheun niechętnie skrzywił twarz. Uniknięcie starczego zdziecinnienia było wystarczającym powodem, by szukać śmierci wojownika.

– Gwiazdy… Choć minęło już tak wiele czasu, z naszej mowy nie znikło to słowo – dalej w zamyśleniu ciągnął Soleun. – Mimo, że żadne żywe oko nie widziało nigdy ani jednej gwiazdy, jednak z przekazów naszych przodków wiemy, że gwiazda to mały punkcik słabo świecący na nocnym niebie. Były ich na niebie tysiące i tysiące tysięcy. Wtedy sklepienie nieba w nocy, wysadzane wspaniale migoczącymi światełkami, przypominało drogocenną biżuterię, w którą wprawiono duże i małe brylanty. Lecz zjawili się wrogowie. Przyszli do naszego

świata z innego, wrogiego, i gwiazdy zgasły. Od tamtej pory nocą niebo jest ciemne i przytłacza nasze dusze.

Słowa starego i święta powaga, z jaką je wypowiadał, wyzwoliły w Cheunie wzruszenie, aż przeszedł mu po plecach dreszcz, który natychmiast go zirytował.

– Od tej chwili wrogowie nas prześladują. Krok za krokiem przepędzają, zabijają i czynią nasz świat niemożliwym do zamieszkania. Nikt nie wie, dlaczego to robią. Wypędzają nas i powiększają Szarą Ziemię, coraz dalej i dalej. Na pozór wyglądają na ludzi jak my, lecz w rzeczywistości są sługami Złego. Są nieprzyjaciółmi nie tylko naszymi, ale wszelkiego życia, chcą, by pewnego dnia Szara Ziemia pokryła cały świat, żeby nie było już nic innego, tylko Szara Ziemia a na jej środku pałac, który nazywają pałacem łez. My jednak wiemy, że nasi wrogowie służą Złu, wiemy, że z tego powodu czeka ich ostateczna klęska. Zło nie może trwać samo z siebie. Może pokonają nas, lecz w końcu poniosą klęskę i popadną w zapomnienie. My może zginiemy, lecz będziemy żyć wiecznie. Wszystkie te potworności pewnego dnia się skończą. Nadejdzie dzień, w którym na nowo zabłysną gwiazdy. A kiedy znów zobaczymy gwiazdy, będziemy wybawieni.

Przy tych słowach twarze dzieci podniosły się w ciemność i przeraziły na widok ciążącej nad nimi pustki. Wzrok starszych pozostał tępo skierowany na ziemię, a powiew ich oddechów bielił się mgliście w poświacie małego ogniska.

Pewnego dnia. Nikt nie wiedział, kiedy to nastąpi. Prawdopodobnie, nim nadejdzie ów dzień, deszcz spłucze z oblicza świata także góry wznoszące się wokół nich.

Choć nie wyjadł jeszcze wszystkiego ze swej miski, Cheun wstał z gniewną gwałtownością. Nieuważnie podał miskę siedzącej obok kobiecie i opuścił krąg, odchodząc w ciemność.

Tutaj nie widział już nic. Posuwając się naprzód, dotykał skał, w górę, drogą, dokładnie zapamiętaną za dnia. Ważny był każdy szmer; rejestrował najmniejszą zmianę echa powtarzającego odgłos jego kroków. Ścieżka była stroma i niebezpieczna.

Miał zadyszkę, gdy dotarł do wartowni, urządzonej na przeciwległym zboczu łańcucha górskiego. Ktoś przywitał go klepnięciem w ramię. Cheun chwycił dłoń i rozpoznał Onnena, wodza plemienia.

– Cheun! Co słychać na dole? Starcy znów pocieszają się bajaniem?

Cheun węszył gniewnie. Wyczuwał obecność innych mężczyzn, szmer ich oddechów i poruszeń. W powietrzu czuć było strach i złość – obezwładniające zwątpienie, świadomość, że nie ma sposobu, by obronić się przed wrogiem.

– Soleun opowiada stare legendy. Mówi, że musimy tylko poczekać, a wrogowie sami – własną złośliwością – doprowadzą do swej klęski.

W ciemności zabrzmiały pojedyncze śmiechy, twarde i urwane, jak szczeknięcia. Wiatr, ledwie tu wyczuwalny, jednak kąśliwie zimny, sprawił, że Cheun poczuł na twarzy ból. Dziurki nosa zdawały się zamarzać od wewnątrz i tracił w nich czucie.

– Działo się coś na granicy? – rzucił pytanie w nieprzeniknioną noc.

– Nic – powiedział ktoś.

Cheun po omacku podszedł do przodu, aż zobaczył dolinę po przeciwnej stronie wzniesienia. Tam dojrzał inne światło, światło wroga. Ledwie widoczny, ciemnoniebieski świetlny rąbek wskazywał przebieg umocnionej granicy. Promienie były tak rozproszone, że nie dało się rozpoznać żadnych szczegółów, tylko kanciaste kontury kolosalnych maszyn, ustawionych wzdłuż granicy.

Cheun przypomniał sobie, jak będąc dzieckiem, pierwszy raz ujrzał ten widok. Wcześniej granica była ciągnącym się bez końca niepozornym ogrodzeniem z drutu zabijającego uderzeniem pioruna każdego, kto zanadto się do niego zbliżył. Drut nocami żarzył się błękitnym światłem niczym nieustanna pogróżka. Pewnego dnia pojawiły się maszyny, powoli, jak wielkie zwierzęta z szarej stali. Nadjechały niekończącym się ciągiem i uformowały tyralierę, jedna przy drugiej, aż w końcu front jadących maszyn rozciągał się od horyzontu po horyzont.

Stał tam i czekał, co nastąpi. Jego plemię nie czekało; spakowali swój niewielki dobytek i odeszli. Lecz z oddali widział jeszcze: przyszli ludzie i rozebrali płot. I choć był tak młody, jednak pojął, że robili to po to, by otworzyć drogę dla Szarej Ziemi, dla wroga, który chce zabić ich wszystkich, mimo że nic mu nie zrobili.

I tak już było zawsze. Ciągle musieli uciekać, coraz wyżej na północ, robiło się coraz zimniej i mieli coraz mniej jedzenia. Czasem musieli walczyć z innymi plemionami, na których tereny wdarli się, uciekając przed wrogiem. A teraz dotarli na skraj skalistego Masywu Północnego. Pozostała im już tylko droga na śmiertelnie zimne, bezpłodne pustkowie, gdzie nadejdzie ich koniec wśród nagich skał i stromych wąwozów.

– O czym myślisz, Cheun? – znienacka spytał Onnen tuż przy nim.

Cofnął się. Nie słyszał podchodzącego przywódcy, tak bardzo pogrążony był w rozmyślaniach i wspomnieniach.

– Nie wiem, dokąd tym razem moglibyśmy uciec – wyjaśnił. – Została nam już tylko skalna pustynia, a za nią wieczny lód. Wszystko jedno, co zrobimy – możemy wybierać tylko między śmiercią szybką lub powolną.

– A co ty wybierasz?

– Ja zawsze wybieram walkę.

Onnen milczał przez chwilę.

– Planowałem, że gdy znów trzeba będzie wyruszyć, pójdziemy w kierunku wschodu słońca. Jeśli pogłoski nie kłamią, są tam ciepłe doliny, żyzna gleba i dobrze odkarmione zwierzęta. Lecz to długi marsz, żeby go przetrzymać, potrzebowalibyśmy następnych żniw. Atak nadchodzi za wcześnie. Wrogowie w najbliższych dniach ruszą naprzód i zniszczą ostatnie pola tam w dole, a jeśli jeszcze tutaj będziemy, zabiją i nas.

– Nie pozostaje nam więc nic innego, tylko uciekać i zostawić starych i osłabionych – stwierdził Cheun. Musiał kiedyś podczas ucieczki zostawić swą chorą matkę i z daleka przyglądać się, jak jej chata wali się, uderzona ognistym piorunem wroga.

– Mam inny plan – powiedział Onnen. – Spróbujemy ich zatrzymać.

Cheun nie był pewien, czy to wszystko nie jest tylko złym snem. Zatrzymać? Co wygadywał przywódca? Żadna broń nie była w stanie zrobić nawet drobnej rysy na stalowych kolosach wroga.

– Jak to sobie wyobrażasz?

– Chcę zabić jednego z nich i zdobyć jego broń – spokojnie wyjaśnił Onnen. – Nasza broń nie może się mierzyć z ich maszynami, ale jeśli skierujemy na nich ich własną broń, może będziemy mieli jakąś szansę.

To był sen. Koszmarny sen.

– Onnen, tych maszyn są tysiące. Nawet jeśli udałoby się zniszczyć jedną z nich, to nic nie zmieni…

– Ale jeśli zdobędziemy maszynę i zaatakujemy nią inne – to by coś zmieniło!

– Oni są mocniejsi, Onnen. Zniszczysz jedną, a na jej miejsce przyjedzie sto następnych.

Głos wodza stał się nagle cięty, niecierpliwy.

– Czy nie mówiłeś, że zawsze wybierasz walkę, Cheun?

Cheun milczał.

– Teraz mamy ostatnią okazję, by coś zrobić – tłumaczył Onnen. Położył dłoń na ramieniu Cheuna i ten, choć nie mógł tego widzieć, wiedział, że wódz wskazuje na równinę w dole, na granicę. – Rozmontowali płot miotający pioruny, a ich maszyny stoją wystarczająco szeroko, by mógł się między nimi przemknąć człowiek. Popatrz – przy niektórych maszynach światło jest bardzo, bardzo słabe. Możemy zakraść się pod osłoną ciemności, wejść na Szarą Ziemię i zaatakować od tyłu – na pewno nie liczą się z czymś takim. Poczekamy, aż któryś z nich pójdzie gdzieś sam i zabijemy go strzałą.

Cheun musiał przyznać, że Onnen dobrze przemyślał swój plan.

Za dnia często widzieli pojedyncze osoby za szpalerem maszyn. Wprawdzie na Szarej Ziemi nie ma gdzie się schować, ale to nie będzie potrzebne, dopóki jest jeszcze ciemno. Uderzyliby od strony, z której wrogowie nie spodziewają się ataku, a ponieważ maszyny stoją otoczone swym bladoniebieskim światłem, oni widzieliby wroga, a on ich nie.

A lepiej było zginąć w walce niż w obozie chorych.

– Idę z tobą – powiedział Cheun.

Onnen klepnął go w ramię, zadowolony, z widoczną ulgą.

– Wiedziałem.

Gdy śmiałe przedsięwzięcie zostało postanowione, nie zwlekali ani chwili. Onnen zebrał wokół siebie ludzi i jeszcze raz wyjaśnił, co chcą zrobić. Jednemu z najmłodszych kazał zostać na straży, polecił sprawdzić broń – kamienne siekiery, oszczepy, łuki i strzały – i zaraz zaczęli schodzić w dół ku polom.

Odnajdowali ścieżkę także w mroku. Palcami wymacywali kamienie, suche gałęzie, kruszący się mech i zagłębienia w skale. Stopy posuwały się po żwirze, wyszukiwały stopnie, muldy i półki skalne. Każdy wiedział, kiedy musi się pochylić, a gdzie uważać, by nie spaść.

Cheun czuł, jak w jego sercu rodzi się pełna ironii złość i rozpala wolę walki. Dawniej często tłumił w sobie nienawiść do wrogów, by nie czuć bólu własnej słabości, całkowitej bezsilności, by się do niej nie przyznawać. Teraz sama myśl, że może uda im się zadać mocniejszemu wrogowi choćby tylko bolesną ranę, otwarła zapory nagromadzonej przez całe życie nienawiści i napełniła go energią nie znającą litości.

Przyszli tu z innego świata, by zabijać i niszczyć, jeżeli nawet kiedyś był po temu jakiś powód, nikt o nim nie pamiętał, odkąd ludzie sięgali pamięcią. A co będzie, gdy pewnego dnia dokończą swego bezsensownego dzieła, gdy zabiją wszystkich i pokryją cały świat szarym dywanem? Może, zastanowił się Cheun, było całkiem odwrotnie, niż opowiadały legendy. Może trzeba zniszczyć wrogów, by na nowo zobaczyć gwiazdy.

W końcu na podeszwach stóp poczuł wyschniętą trawę równiny. Miał sucho w ustach i wiedział, że pozostali czuli podobnie. Nikt nie odzywał się.

Maszerowali w kierunku niebieskiego żaru, przez suche, szeleszczące kępy traw, przez trzaskające zdradziecko kalekie zarośla i młode krzewy, rosnące na polach i nie mające nigdy dojrzeć. Otaczała ich czerń, ciągnąca się bez końca we wszystkich kierunkach, aż po ciemnoniebieskie migotanie przed nimi, które wyglądało jak szew od jednego krańca świata po drugi. Nie było słychać nic poza szmerem kroków i oddechów. Wszystkie zwierzęta, nawet najmniejsze gryzonie

i owady uciekły od strefy Szarej Ziemi. Tylko oni maszerowali w jej kierunku.

Gdy minęli pola, Onnen zatrzymał grupę.

– Musimy dokładnie zastanowić się, którędy iść – wyszeptał. – Myślę, że najlepiej będzie, jeśli pójdziemy parami. Każda para znajdzie inną szczelinę, przemknie między pojazdami, potem spotkamy się po drugiej stronie na Szarej Ziemi. Pójdziemy po kolei; nie wszyscy na raz. Czy ktoś ma lepszą propozycję?

Nikt nic nie powiedział. Dłonie macały w ciemności, w milczeniu utworzyli dwójki.

– Więc – naprzód! – syknął przywódca. Pierwsza para ruszyła. Po chwili w świetle granicznym zobaczyli kontury ciał dwóch młodych wojowników. Przy pojazdach wroga wydali się nieoczekiwanie drobni i delikatni, Cheun dopiero teraz uzmysłowił sobie, jak potężne były maszyny – ogromne, ponure góry metalu na opancerzonych kołach.

Mimowolnie potrząsnął głową. Wrogowie byli sługami Zła, tak, byli silniejsi, nieskończenie mocni. Byli zwycięzcami i pozostaną nimi po wsze czasy.

A im pozostała tylko honorowa śmierć. Przynosiła przynajmniej wyzwolenie od niekończącej się ucieczki i od pozbawionego nadziei cierpienia.

Dwa trzaski jak uderzenie pejczem przecięły mroźne powietrze i kazały czekającym skurczyć się. Z przerażeniem patrzyli, jak obaj wojownicy padają, machając bezładnie rękami.

– Stać! – krzyknął Onnen, by zatrzymać drugą grupę, która już ruszyła w drogę.

Stali bez ruchu i czekali. Nic się nie działo, wszystko trwało w ciszy.

– Musimy coś wymyślić – szepnął w końcu Onnen. – Wygląda na to, że nie ma przejścia, choć brak ogrodzenia. Musimy wymyślić coś innego…

Cheun wyciągnął rękę i dotknął jego ramienia.

– To nie ma sensu, Onnen. Jeśli nie możemy wejść na Szarą Ziemię, nic nie poradzimy.

– Nie poddam się tak po prostu! – Zasyczał ze złością Onnen. – Musimy się jeszcze raz zastanowić…

Nagle powietrze wypełniło się niskim, buczącym dźwiękiem, narastającym powoli, przypominającym grzmoty w oddali. Cheun obrócił się, próbował odkryć jego źródło. Brzmiał groźnie.

– Atak – westchnął ktoś. – Zaczyna się.

– Jeszcze nigdy nie posuwali się nocą – upierał się tępo Onnen.

Do buczenia dołączyło wysokie brzęczenie, jakby ogromne stado komarów zbliżało się nieubłaganie. Robiło się coraz głośniejsze i ostrzejsze.

– A jednak – powiedział. – To oni.

Wtedy buchnęło na nich światło, nieznośnie jaskrawe po całkowitej ciemności, porażające w swej sięgającej od horyzontu po horyzont pełni. Tak niespodziewanie dotknęło nieprzygotowanych oczu, że wydawało się jaśniejsze od słońca, jaśniejsze niż sto słońc. Cheun przycisnął do zamkniętych oczu zaciśnięte w pięści dłonie, a i tak przenikało pod powieki, jakby ktoś je przez nie przeciskał i sprawiało ból. A potem ziemia pod ich stopami zadrżała. Wiedział, co to znaczy: maszyny wroga ruszyły i toczyły się naprzód, nieustannie, wprost na nich.

– Odwrót! – krzyknął i zrobił krok w tył, ciągle z zamkniętymi, łzawiącymi oczyma, palonymi przez światło jak przez ogień. Tępy grzmot szarych kolosów wypełniał powietrze, zgrzyt kół, trzask łamanych gałęzi i pękających kamieni. W jednej chwili zrobiło się tak głośno, że nie mógł słyszeć innych.

Wtedy pojawiły się znowu te ostre, wyjące dźwięki, po których zawsze następowały krzyki jego towarzyszy. Cheun biegł, biegł w imię swego życia i życia swego plemienia. Były w nim gniew i strach, oba przydawały jego stopom skrzydeł. Walka. To także mogła być walka. Czasem walka polegała na tym, by biec, uciekać przed mocniejszym wrogiem, by ze wszystkich sił starać się umknąć.

Znów trzask jak uderzenie pejczem daleko w tyle, ten był przeznaczony dla niego. Poczuł nagły jak błyskawica ból, przenikający całe ciało, który rzucił go w przód jak nieoczekiwane uderzenie w plecy. Nie ustając w biegu, mimowolnie sięgnął ręką do miejsca, skąd brał początek ból i przez łzy w oczach zobaczył na dłoni krew. Dużo krwi.

Wróg trafił go, ale on żył jeszcze. Nie poddawać się. Biec dalej. Wróg popełnił błąd. Nawet wróg robi czasem błąd. Nawet te kolosy nie miały nieograniczonej władzy. Był dostatecznie daleko, by móc uciec. Ucieknie. Uda mu się. Krwawi, tak, ale to nic nie znaczy. Walczyć. Biec. Biec coraz dalej. Zawsze wybierał walkę. Wyzwanie. On, wojownik. On, Cheun z plemienia Oneun. Dotarł do stóp gór, nim upadł, zdołał wspiąć się jeszcze kawałek ścieżką, oświetloną teraz jasnym światłem.

Tym razem to było to. Cheun leżał na plecach z zamkniętymi oczami, przyciskał ręce do rany i czuł, jak uchodzi z niego życie. Nieoczekiwanie jasno widział, że umrze, było mu tylko żal plemienia, które będzie musiało bez wojowników uciekać dalej we wrogą, martwą dal, aż wszyscy zginą.

Słyszał odgłosy nacierającego wroga, czuł na plecach beznadziejne drżenie ziemi i słyszał tysiąckrotne trzaski łamanych i miażdżonych roślin. Oddychał coraz ciężej. Więc tak wygląda koniec. Jego koniec. Przynajmniej wykrwawi się na długo przed tym, nim

maszyny zaczną wspinać się pod górę. Wypełniła go samotność, dyszał, leżąc uczepiony ostatniej iskry życia. Zastanawiał się, czy jest ktoś, czyjej obecności pragnąłby teraz, lecz nikt nie przychodził mu do głowy. Taki więc był jego koniec: nędzny.

Nagle nastąpiła cisza i żadne więcej światło nie przenikało przez powieki. Cheun otworzył oczy. Nad sobą, na nieskończenie szerokim nocnym niebie, ujrzał gwiazdy.

Powrót

Na co to wszystko? Sam nie wie. Po tych wszystkich latach, niezliczonych posępnych odkryciach i krwawych zajściach, po tak wielu koszmarach…

– Komendant Wasra?

Niechętnie obejrzał się. To Jegulkin, nawigator, widać było, że niechętnie mu przeszkadza.

– Tak?

– Zbliżamy się do planety G-101/2. Czy są jakieś specjalne instrukcje?

Wasra nie musiał się zastanawiać. Przez ostatnie miesiące lądowali na tylu planetach podobnych do tej, tylekroć ogłaszali koniec cesarstwa, aż czasem zdawało mu się, że śni, że to w sennym koszmarze skazano go na powtarzanie przez wieki wciąż tych samych słów i gestów. Nie, przypomniał sobie, tym razem jest inaczej; dla tej planety miał specjalne rozkazy. Ale to niczego nie ułatwiało.

– Żadnych specjalnych rozkazów. Szukamy portu kosmicznego i lądujemy.

– Tak jest, komendancie.

Wasra wpatrywał się w wielki ekran główny, ukazujący przestrzeń kosmiczną tak, jak widziało ją nieuzbrojone oko. Mała, świecąca matowym światłem plamka była coraz bliżej: druga planeta słońca G-101, Mieszkali na niej tkacze włosianych kobierców, jak na tysiącach innych planet. Planet, które zdawały się być wszystkie podobne.

A za nią zimnym światłem błyszczały gwiazdy, z których każda była innym słońcem lub należała do innej galaktyki. Wasra ponuro zadawał sobie pytanie, czy kiedykolwiek uda im się ostatecznie wydostać z imperium cesarza, pozbyć cesarskiego dziedzictwa. Nie widział na to szans. Czy ktoś kiedyś zyska pewność, że za tymi nieruchomymi punktami światła nie kryje się następna nie odkryta część monarchii, że nie otworzą się tam drzwi do kolejnej strasznej tajemnicy?

W pokrywie aparatury zobaczył swoje odbicie i zdziwił się, jak często w ostatnich tygodniach, że jego twarz wciąż wygląda młodo. Szary mundur komendanta zdawał się być zrobiony z materiału cięższego niż te, z których szyto mundury noszone przez niego dotychczas, a insygnia ciążyły mu z dnia na dzień coraz bardziej. Osiągnął akurat pełnoletność, gdy przyłączył się do ekspedycji generała Karswanta, młody żołnierz, który chciał przeżyć podniecające przygody i sprawdzić się. A dziś, choć spędził tylko trzy lata w tej ogromnej prowincji, czuł się tak stary, jak sam cesarz i nie mógł pojąć,

jak to możliwe, że nie widać tego na jego twarzy.

Zdawało mu się, że mieli już za sobą tysiące lądowań takich jak to i za każdym razem było tak samo.

Chociaż nie – ta planeta była jednak czymś szczególnym. Właściwie to właśnie tutaj zaczęło się to wszystko. SALKANTAR już kiedyś na niej lądował, po uciążliwym, ciągnącym się tygodniami błądzeniu, dysponując tylko starymi, pełnymi błędów mapami. Wtedy był jeszcze zwykłym członkiem załogi i nikt nie spodziewał się, że czekają ich krwawe walki z cesarskimi oddziałami, które nie mają pojęcia o śmierci cesarza i o upadku imperium. Wtedy zdawało się, że ekspedycja została już zakończona. Szykowano się do powrotu, czyniono przygotowania do wielkiego skoku przez próżnię międzygalaktyczną. Wasra kierował pracami porządkowymi na trzecim pokładzie i gdyby mu ktoś powiedział, że za dwa lata będzie komendantem SALKANTARA, wyśmiałby go. A jednak tak się stało i te dwa bezlitosne lata zrobiły z chłopca mężczyznę. A wszystko zaczęło się tutaj, na tej planecie, której jasna, sroga, piaskowo-brązowa tarcza powoli stawała się coraz większa i okrąglejsza, i na jej powierzchni można było zauważyć zarysy pierwszych konturów.

Wasra przypomniał sobie rozmowę z generałem Karswantem, jakby odbyła się wczoraj, a nie wiele tygodni temu. Opryskliwy stary człowiek, którego wszyscy się bali, ale każdy kochał, pokazał mu zdjęcie.

– Nillian Jegetar Cuain – powiedział, a w jego głosie brzmiał niepojęty smutek. – Gdyby nie ten człowiek, bylibyśmy od niemal trzech lat w domu. Chciałbym, żebyście dowiedzieli się, co się z nim stało.

Ten mężczyzna wylądował na G-101/2, na przekór wyraźnym instrukcjom i odkrył włosiane kobierce. Z początku Wasra nie mógł uwierzyć w pogłoski przenikające do kwater załogi, tak wydawały się absurdalne; ale potem raport Nilliana potwierdzono co do najmniejszego szczegółu. Włosiane kobierce, jak oświadczyło dowództwo ekspedycji, były niezwykle pracochłonnymi wyrobami tkanymi z ludzkich włosów, w rzeczywistości tak pracochłonnymi, że jeden tkacz przez całe życie był w stanie zrobić tylko jeden kobierzec. Ale nawet to byłoby warte najwyżej wzmianki w raporcie ekspedycji, gdyby nie nieoczekiwane uzasadnienie: te kobierce, jak twierdzili tkacze, były przeznaczone do pałacu cesarza, a ich wyrób uważano za święty obowiązek. To wymagało wyjaśnienia – bo każdy, kto kiedykolwiek był w cesarskim pałacu, potwierdzał, że wprawdzie można tam znaleźć najbardziej zadziwiające rzeczy, ale na pewno żadnego włosianego kobierca.

Flota ekspedycji zajęła pozycje wyczekujące i po kilku miesiącach rzeczywiście pojawił się wielki, ciężko schodzący do lądowania statek

transportowy, który siadł na planecie i po około dwóch tygodniach ją opuścił. Polecieli za nim, zgubili go, ale za to odkryli następną planetę, na której tkano włosiane kobierce, z tym samym religijnym uzasadnieniem. A potem jeszcze jedną i jeszcze, wkrótce tuziny i setki, a potem łodzie ekspedycji wyruszyły ponownie i znajdowały coraz więcej światów, w których tkano włosiane kobierce, wysłano stada automatycznych robotów rozpoznawczych, które także meldowały wciąż to samo, i gdy odkryto już dziesięć tysięcy takich światów, zaprzestano dalszych poszukiwań, choć należało się spodziewać, że jest ich jeszcze więcej…

Zaczęły działać napędy i od ich tępego dudnienia zadrżała podłoga pod stopami. Wasra chwycił mikrofon książki pokładowej.

– Za chwilę lądujemy na drugiej planecie słońca G-101, w kwadrancie 2014-BQA-57 sektor 36-01. Nasz czas standardowy 9-1-178005, ostatnie skalowanie 2-12. Lekki krążownik SALKANTAR, komendant Jenokur Taban Wasra.

Widać już było lądowisko, ogromną utwardzoną nawierzchnię, pokrytą bliznami i osmaloną przez przestarzałe napędy. Stary port kosmiczny, istniejący od tysięcy lat. Każda z tych planet miała dokładnie taki sam port, wszystkie wyglądały podobnie. Wokół lądowiska rozciągało się zawsze rozległe stare miasto, a wszystkie drogi tego świata zdawały się do niego prowadzić i w nim kończyć. Teraz już wiedzieli, że tak właśnie było.

Brzmienie napędów zmieniło się.

– Lądowanie! – ogłosił pilot.

Z grzmiącym łomotem, przerażającym śmiertelnie każdego, kto pierwszy raz leciał statkiem kosmicznym, SALKANTAR osiadł na powierzchni. Lecz mężczyźni i kobiety na pokładzie przeżyli już zbyt wiele, by w ogóle zwrócić uwagę na ten dźwięk.

Wrota wielkiej grodzi głównej powoli otwarły się przed nimi i na wyszczerbioną płytę lądowiska spuszczono ze świstem platformę rozładunkową. Do wnętrza wdarły się zapachy, ciężki, wzbudzający mdłości odór fekaliów i zgnilizny, kurzu, potu i nędzy, który zdawał się osadzać we wnętrzu nozdrzy jak futrzana podszewka. Wasra pochylając ku sobie głowicę maleńkiego mikrofonu, jeszcze raz zadawał sobie pytanie, dlaczego wszystkie te światy wydzielały tę samą woń. To pytanie przychodziło mu na myśl przy każdym lądowaniu. Wydawało się, że nie ma odpowiedzi, nigdzie w tej zapomnianej przez bogów galaktyce, tylko same pytania.

Było gorąco. Żar bladego słońca drżał nad ciągnącym się bez końca, poszarzałym od kurzu lądowiskiem, od miasta zbliżała się grupa starych mężczyzn, kroczących w pośpiechu, lecz równocześnie z niezwykłą pokorą; ubrani w ciemne ciężkie togi, których noszenie przy tej temperaturze musiało być torturą. Wasra wyszedł im

naprzeciw przez otwartą gródź i czekał, aż mężczyźni zbliżą się do dolnej krawędzi platformy.

Zauważył spojrzenia, jakie podchodząc, rzucali na statek kosmiczny, wyglądał tak odmiennie od statków kiedykolwiek tu widzianych. Teraz patrzyli na niego nieśmiało, niepewnie, w końcu jeden z mężczyzn skłonił się i powiedział:

– Bądź pozdrowiony, kosmiczny żeglarzu. Oczekiwaliśmy Was, za pozwoleniem, wcześniej…

Zawsze ten sam strach. Gdziekolwiek przybywali, wszędzie to zmieszanie, spowodowane załamaniem transportu włosianych kobierców, który funkcjonował bez zarzutu od tysięcy lat. Nie przyznawali się do tego nawet sami przed sobą. Ich powitania także brzmiały podobnie.

Wszystko było podobne, te wielkie, zapuszczone porty kosmiczne, te przycupnięte, zbiedniałe, cuchnące miasta wokół nich i ci starzy mężczyźni w swych znoszonych, ponurych togach, którzy niczego nie chcieli zrozumieć, opowiadali ciągle o cesarzu i jego imperium oraz o innych planetach, na których robiono wino na cesarski stół lub pieczono chleb, o planetach, które tkały dla niego ubrania, hodowały kwiaty lub tresowały śpiewające ptaki do jego ogrodów… Lecz nie znaleźli nic podobnego, tylko tysiące światów, w których tkano włosiane kobierce, nic, tylko kobierce, nie kończący się strumień dywanów z ludzkich włosów, od tysiącleci płynący przez tę galaktykę…

Wasra włączył mikrofon, przesyłający wzmocniony głos do umieszczonych na zewnątrz głośników.

– Oczekiwaliście żeglarzy cesarza – wyjaśnił, jak wielekroć przedtem. – My nimi nie jesteśmy. Przybywamy, by wam powiedzieć, że nie ma już cesarskich kosmicznych żeglarzy, nie ma też cesarza i możecie zaprzestać tkania włosianych kobierców. – Bez trudu przeszedł na dawny Paisi, którym mówiono we wszystkich światach tej galaktyki, ta łatwość czasem niemal go przerażała. Prawdopodobnie po powrocie do domu wywoła niejedno zdziwione spojrzenie.

Starcy, wszyscy noszący insygnia dostojników cechu tkaczy włosianych kobierców, wpatrywali się w niego z przerażeniem. Wasra skinął głową dowódcy grupy propagandowej i w chwilę potem z platformy zeszli mężczyźni i kobiety, niosąc wytarte teczki, a w nich fotografie i zniszczone odtwarzacze filmowe. Robili wrażenie zmęczonych, szli jak lunatycy. Komendant wiedział, że starają się nie liczyć, ile takich planet czeka jeszcze przed nimi.

Widzieli już – to była przynajmniej jakaś odmiana w rutynie – najróżniejsze reakcje na wiadomość o końcu cesarskiego imperium. Na niektórych planetach cieszono się, że można zrzucić pańszczyźniane

jarzmo gobeliniarstwa. Na innych znów kamienowano ich jak heretyków, obrzucano wyzwiskami i prześladowano. Mieli do czynienia ze starszymi cechu, którzy z nieznanych źródeł wiedzieli już o śmierci cesarza, nalegali jednak, by nie mówić o tym ludziom, obawiali się o swą pozycję w społeczeństwie. Wasra wiedział, że i tak nie mają wpływu na bieg wydarzeń po ich odjeździe. W niektórych światach będzie pewnie musiało minąć jeszcze kilka stuleci, nim naprawdę skończą się stare porządki.

Przypomniały mu się instrukcje generała. Sapnął gniewnie, bo niemal o nich zapomniał i wyjął swój komunikator.

– Tu komendant. Przodownik Stribat, proszę do mnie do grodzi wyjściowej.

Trwało zaledwie mgnienie oka, nim z drzwi wyszedł wielki, chudy żołnierz i wyprostował się, salutując niedbale.

– Komendancie?

Wasra niechętnie podniósł wzrok.

– Zostaw te bzdury – burknął. Na początku razem pełnili służbę na pokładzie SALKANTARA. Teraz Stribat zarządzał pojazdami pokładowymi i piechotą. Żadna wielka kariera. Wielkie kariery są tylko dla błaznów, pomyślał gorzko Wasra.

– Pamiętasz, że byliśmy już raz na tej planecie?

Zaskoczony Stribat uniósł brwi.

– Naprawdę? Ja już od tygodni podejrzewam, że ciągle lądujemy na tej samej planecie…

– Bzdura. Byliśmy już tutaj, ale trzy lata temu. SALKANTAR miał za zadanie szukać pewnej kapsuły typu KALYT, która wpadła w tarapaty.

– A ponieważ nie mieliśmy współrzędnych punktu wejścia, tygodniami skakaliśmy od jednego słońca do drugiego, aż trafiliśmy na właściwe. – Stribat w zamyśleniu skinął głową. – Nigdy nie zapomnę, jak kiepsko się wtedy czułem od tych wszystkich nadświetlnych lotów, następujących tak szybko jeden po drugim… Nillian, tak się nazywał? Jeden z pilotów KALYTA. Wylądował, odkrył gobeliny i zniknął bez śladu. Och…?

Wasra zobaczył w jego oczach błysk zrozumienia i tylko przytaknął.

– Mamy sprawdzić, co się z nim stało. Poślij załogę do pojazdów pancernych; jedziemy do miasta, do domu cechu.

Po chwili gąsienice trzech ciężko opancerzonych pojazdów zachrzęściły po grodzi podłogowej. Ich silniki bębniły głucho i głośno, aż bolał żołądek, gdy stało się w ich pobliżu dłużej niż przez moment.

Boczne drzwi pierwszego pojazdu otworzyły się, Wasra wsiadł. Starszyzna cechu na lądowisku z respektem cofnęła się, gdy trzy

pancerniki po kolei staczały się z platformy.

– Na tym właśnie polega różnica – powiedział Wasra, kierując swe słowa niby do Stribata, lecz przecież właściwie do nikogo konkretnego. – Dla cesarza życie nic nie znaczyło, mniej niż nic. A dzisiaj? Generał Karswant czeka na pokładzie TRIKOODA, wszystko przygotowane do powrotu, by zdać Radzie raport o naszej ekspedycji – ale nie, nie poleci, nim się nie dowie, co się stało z tym człowiekiem, tym Nillianem. Przyjemnie jest to wiedzieć. Jestem z tego jakoś… – Szukał właściwego słowa.

– Dumny – podpowiedział Stribat.

– Dumny, tak. Jestem z tego dumny.

Gdy zjechali na ziemię, komendant kazał zatrzymać się na chwilę.

– Weźmiemy ze sobą jednego ze starszyzny; zaprowadzi nas do domu cechu. – Otwarł boczne drzwi i kiwnął na jednego ze starców, stojącego akurat w pobliżu. Starszy cechu nie ociągając się, podszedł i bez oporu wsiadł.

– Tak się cieszę, że w końcu przyjechaliście – zaczął paplać natychmiast, gdy mała kolumna ruszyła w dalszą drogę. – To dla nas wielki kłopot, trzeba wam wiedzieć, że gdy statki cesarza nie przybywają w ustalonym czasie, a nasze magazyny są już przepełnione kobiercami… Och, to zdarzyło się już raz, pamiętam – byłem wtedy jeszcze dzieckiem. Cesarskie statki przybyły dopiero po czterech latach. Było niedobrze, to była dla nas wielka próba. A wtedy cech miał jeszcze większe magazyny niż dziś, trzeba wam wiedzieć. Dziś wszystko jest trudniejsze niż dawniej…

Wasra przyglądał się staremu, przygarbionemu człowiekowi w wystrzępionej pelerynie, który rozglądał się po wnętrzu pojazdu białymi, niemal ślepymi oczami i paplał przy tym jak podniecone dziecko.

– Powiedzcie – przerwał mu – jak macie na imię?

Stary skłonił się lekko.

– Lenteiman, żeglarzu.

– Lenteiman, słyszeliście, co mówili moi ludzie?

Naczelnik cechu zmarszczył czoło, niepewnie szukając oczyma kierunku, z którego nadbiega głos komendanta. Usta bezwiednie otwarły się i odsłoniły rząd czarnych kikutów. Zdawało się, że nie rozumie nawet, o czym mowa.

– Lenteiman, nie jesteśmy żeglarzami cesarza. Nie musicie już czekać na żeglarzy, bo nie przyjadą nigdy więcej – ani za cztery, ani za czterysta lat. – „Choć tego akurat nie jestem pewny”, pomyślał Wasra. – Nie musicie też już tkać kobierców dla cesarza, bo cesarz nie żyje. Nie ma już cesarskiego imperium.

Stary milczał przez moment, jakby usłyszane przez niego słowa potrzebowały czasu, by wniknąć do jego świadomości. Potem z krtani

starca dobył się gulgoczący chichot. Podniósł głowę ku płonącemu bladym żarem słońcu.

– Ale słońce jeszcze świeci, czyż nie? Wy, żeglarze, jesteście dziwnymi ludźmi i dziwaczne są wasze zwyczaje. To, co opowiadacie, u nas uznano by za herezję i lepiej powiedzcie swoim ludziom, żeby w mieście trzymali języki za zębami. Choć na pewno dużo ujdzie wam na sucho, bo wszyscy są zadowoleni, że wreszcie przyjechaliście – znów zachichotał.

Wasra i Stribat wymienili bezradne spojrzenia.

– Czasem zdaje mi się – wymamrotał Stribat – że Denkalesar był optymistą. – Denkalesar był postacią niemal mitologiczną; wiadomo, że przed setkami lat rzeczywiście żył człowiek o takim imieniu i naprawdę napisał książkę, której tytuł dał nazwę ruchowi rebeliantów: *Bezgłośny wiatr*. Jednak od strącenia cesarza czytanie Denkalesara wyszło z mody i Wasra był zaskoczony, że Stribat go zna.

– Lenteiman – spytał – co zwykle robicie z heretykami?

Starzec zrobił szeroki, nieokreślony ruch swymi szponiastymi dłońmi.

– Oczywiście wieszamy ich, jak nakazuje prawo.

– A czasem zamykacie ich tylko?

– W przypadku mniejszych herezji, pewnie. Ale rzadko.

– A procesy i powieszonych zapisuj ecie w jakiejś księdze?

– A co myślicie? Naturalnie, a wszystkie księgi przechowujemy, jak stanowi cesarskie prawo.

– W domu cechu?

– Tak.

Wasra zadowolony skinął głową. Warkot i drżenie silników pojazdu, od którego każde włókno ciała wpadało w wibracje, zaczęły sprawiać mu przyjemność; odczuwał je teraz jako symbole wyniosłej, niepokonanej władzy. Przybywał trzema pancernymi pojazdami, z nim żołnierze pod bronią o mocy przewyższającej wszystko, co było na tej planecie. Bez przeszkód wejdzie do budynku, który jest centrum tutejszej kultury i będzie poczynać sobie w nim wedle własnej woli. To mu się podobało. Jego spojrzenie wędrowało wzdłuż jasnobrązowej linii tworzonej przez chaty i coraz bliższe niskie zabudowania miasta, cieszył się tym poczuciem wyższości przybywającego zwycięzcy.

Dotarli do siedziby cechu, masywnej, wzbudzającej szacunek. Szarobrązowe ściany budynku, opadające skośnie jak mury bunkra, nie miały okien, tylko małe szczeliny przypominające otwory strzelnicze. Cień budowli padał na duży plac, stanowiący przedziwny widok: jakby odbywał się na nim jarmark, daremnie od miesięcy oczekujący gości, aż kupcy zapadli w rodzaj półsnu. Wozy wszelkiego rodzaju stały bezładnie rozrzucone, wielkie, małe, zbytkownie

ozdobione i rozpadające się ze starości, szkaradne wozy pancerne i otwarte wozy targowe. Duże, kudłate zwierzęta pociągowe tłoczyły się wszędzie i tępo gapiły przed siebie, zaś ich woźnice drzemali na kozłach: były to karawany handlarzy gobelinów, przybyłych, by odstawić zebrane kobierce. Przybycie pojazdów opancerzonych wprowadziło trochę ożywienia w ten obraz; głowy uniosły się, rozległo się trzaskanie batami i wozy, blokujące drogę do wielkiej bramy, jeden po drugim odjeżdżały na bok.

Odrzwia portalu stały szeroko otwarte, mimo to Wasra rozkazał zatrzymać się przed bramą. Chciał wejść w towarzystwie Stribata, starszego cechu i oddziału zbrojnych, pozostali mieli trzymać straż przy pojazdach.

– To rozsądne, że zatrzymaliście się tutaj – zaskrzeczał Lenteiman – bo na wewnętrznym dziedzińcu nie ma już miejsca – wiecie, kobierce…

– Lenteiman, zaprowadźcie nas do naczelnika cechu – rozkazał Wasra.

Stary z gotowością skinął głową.

– On na pewno oczekuje was już niecierpliwie, żeglarzu.

Ktoś otworzył drzwi pojazdu i do środka wdarł się odór zwierzęcych odchodów, wprost nie do wytrzymania. Wasra zaczekał z wysiadaniem, aż zbierze się oddział, mający ich eskortować. Gdy wyszedł na pylasty grunt placu, stawiając tym samym po raz pierwszy stopę na tej planecie, niemal fizycznie odczuwał na sobie spojrzenia stojących wokół ludzi. Unikał rozglądania się. Obok niego stanął Stribat, potem staruszek, wtedy komendant skinieniem głowy dał eskorcie znak, by ruszyła naprzód.

Minęli bramę. Otoczyła ich nienaturalna, zastraszająca cisza. Wasrze zdawało się, że słyszy, jak ktoś szepcze drugiemu do ucha, iż nie wyglądają na cesarskich żeglarzy. Jeśli nawet starcy z cechu z trudem pojmowali i bronili się przed prawdą wszystkimi cząstkami swej istoty – lud dobrze wiedział, co się dzieje i co oznacza ich przybycie.

Za bramą znajdował się niewielki dziedziniec. Pewnie tu też nazywają go *dziedzińcem rachunkowym,* pomyślał Wasra, widząc przed sobą metalowy wóz transportowy, rozładowywany przez kilku mężczyzn. Z szacunkiem wyjmowali jeden włosiany kobierzec po drugim i układali je na stosie przed mężczyzną odzianym w strój starszego cechu, zaś ten skrupulatnie porównywał każdą wyjętą sztukę z zapiskami w papierach transportowych. Na zbliżającą się grupę rzucił tylko przelotne, pogardliwe spojrzenie; zauważył jednak Lenteimana i pośpiesznie ukłonił się głęboko, tak samo jego pomocnicy. Tylko handlarz gobelinów, masywny mężczyzna, śledzący całą procedurę tępym spojrzeniem, nie poruszył się.

Wysoki aż po kolana stos włosianych kobierców wywołał u Wasry dreszcz przerażenia. Widok nawet jednego włosianego dywanu był paraliżujący, jeśli miało się świadomość, w jaki sposób powstał: że praca nad nim strawiła całe życie jakiegoś tkacza, że wplatał weń tylko włosy swych żon; że młodość poświęcił na wykonanie osnowy i zaprojektowanie wzoru, zaś jego wykonanie miało go kosztować resztę życia, że tkał najpierw główne kontury, których kolor pochodził od włosów jego pierwszej żony, a potem, kiedy miał już córki i drugie żony, wypełniał powierzchnie o innych kolorach, a na koniec, ze zgarbionymi plecami, wykrzywionymi palcami i niemal oślepły, obrębiał cały kobierzec kręconymi włosami, wycinanymi spod pach swoich żon.

Widok pojedynczego kobierca budził szacunek. Widok całego ich stosu był odrażający.

Następna brama, za nią krótki, mroczny korytarz, tak szeroki, że robił wrażenie niewielkiej hali. Żołnierze z eskorty rozglądali się dokładnie, stwierdził z zadowoleniem Wasra.

Weszli na dziedziniec wewnętrzny. Teraz stało się jasne, dlaczego w korytarzu panował mrok: wznosiły się tu góry kobierców. Wasra spodziewał się tego widoku, mimo to aż wstrzymał oddech. Równiutko ułożone w stosy przewyższające rosłego mężczyznę, warstwa na warstwie, leżały kobierce, jedna taka wieża obok drugiej, od jednego kąta podwórza po drugi. Pańszczyzna planety z trzech lat. Nie wolno było o tym myśleć, jeśli nie chciało się oszaleć.

Podszedł do jednej z takich wież i spróbował policzyć. Na stosie leżało dwieście kobierców, co najmniej. Oszacował wymiary wewnętrznego dziedzińca, policzył w myśli. Pięćdziesiąt tysięcy kobierców. Poczuł, jak robi mu się niedobrze, panika, która mogła go powalić.

– Naczelnik? – rzucił krótko starszemu, zabrzmiało to gwałtowniej i groźniej niż zamierzał. – Gdzie go znajdziemy?

– Idźcie za mną, żeglarze.

Z zadziwiającą zwinnością Lenteiman wśliznął się w szczelinę między stosami kobierców a ścianą wewnętrznego dziedzińca. Wasra dał eskorcie znak, by szła za nim i podążył za starcem. Czuł szczere, przemożne pragnienie, by rzucić się, poprzewracać wyższe od niego stosy gobelinów, pobić starszego cechu. Obłęd, to wszystko to jakiś obłęd. Walczyli, zwyciężyli, zniszczyli wszelkie możliwe pozostałości cesarskiej władzy, lecz pomimo tego, to owo szaleństwo nie miało końca, ciągle trwało. Wciąż, z każdym stawianym przez niego krokiem, ktoś w tej galaktyce odcinał z ramy włosiany kobierzec. Z każdym jego oddechem zabijano gdzieś męskiego noworodka, ponieważ gobeliniarz mógł mieć tylko jednego jedynego syna, gdzieś – na jednej z tych niezliczonych planet, do których jeszcze nie dotarli

lub na takiej, na której wprawdzie już byli, lecz nie dano wiary ich nowinom. Powstrzymanie powodzi włosianych gobelinów wydawało się niemożliwe.

Im dalej szli, tym bardziej przenikliwy stawał się zapach wydzielany przez włosiane kobierce: ciężki, zjełczały smród, przywodzący na myśl zepsuty tłuszcz lub gnijące odpadki. Wasra wiedział, że to nie włosy tak śmierdzą, lecz środki impregnujące, którymi tkacze utrwalali kobierce na zdumiewająco długi czas.

Wreszcie dotarli do mrocznego otworu w murze. Krótkimi schodami weszli na górę. Lenteiman przykazał im gestem, by zachowywali się cicho i poszedł naprzód, pełen szacunku, jakby stąpał po świętej ziemi.

Pomieszczenie, do którego ich wprowadził, było duże i ciemne, rozjaśnione tylko czerwonym światłem płomieni ognia palącego się na środku w metalowej misie. Niskie sklepienie zmuszało do pokornego pochylenia głów, a przytłaczający upał i gryzący dym wyciskał pot z czoła. Wasra nerwowo pomacał dłonią przy pasie, szukając broni, chciał się tylko upewnić, że jest na swoim miejscu.

Lenteiman skłonił się w kierunku słabego ognia.

– Czcigodny. Pozdrawia was Lenteiman. Przyprowadzam wam komendanta cesarskich żeglarzy, pragnie on z wami mówić.

Reakcją było szuranie i niewyraźny ruch w pobliżu ognia. Dopiero teraz Wasra zauważył obok metalowego paleniska coś w rodzaju sofy, przypominającej dziecinną kołyskę, a między kołdrami i futrami ukazała się głowa i prawe ramię bardzo starego mężczyzny. Gdy tamten otworzył oczy, Wasra zobaczył, jak ślepe źrenice błyszczą srebrno w świetle płomieni.

– Cóż za niespotykany zaszczyt… – wyszeptał starzec. Jego głos brzmiał cienko, wydawał się zagubiony, jakby przemawiał do nich z innego świata. – Pozdrawiam was, żeglarzu cesarza. Moje imię brzmi Ouam. Długo na was czekaliśmy.

Wasra wymienił ze Stribatem niespokojne spojrzenie. Postanowił nie tracić czasu na tłumaczenie naczelnikowi, że bynajmniej nie są cesarską flotą, tylko rebeliantami. W każdym razie nie będzie próbował tego wyjaśniać, nim wypełnią swoje zadanie. Odchrząknął.

– Bądź pozdrowiony, dostojny Ouamie. Moje imię brzmi Wasra. Prosiłem o rozmowę z wami, gdyż pragnę wam zadać ważne pytanie.

Ouam zdawał się poświęcać więcej uwagi brzmieniu obcego głosu niż znaczeniu słów.

– Pytajcie.

– Szukam człowieka imieniem Nillian. Pragnę dowiedzieć się od was, czy człowiek o tym imieniu był w ciągu ostatnich trzech lat oskarżony o herezję albo skazany?

– Nillian? – Naczelnik w zamyśleniu pokiwał wysuszoną czaszką.

– Muszę sprawdzić w księgach. Dinio?

Wasra właśnie miał zadać sobie pytanie, jak ten ślepy starzec chce sprawdzić coś w jakichś księgach, gdy z cienia rzucanego przez łoże wynurzyła się następna twarz. Tym razem była to twarz chłopca, spojrzał chłodno na gości nieobecnym wzrokiem i pochylił się ku starcowi, by ten mógł mu coś wyszeptać do ucha. Skłonił się gorliwie, niemal z psim oddaniem i gwałtownie poderwał, by zniknąć w drzwiach, gdzieś w tyle komnaty.

Po chwili wrócił, niosąc pod pachą opasły tom i przykucnąwszy na podłodze obok paleniska zaczął studiować zapiski. Nie trwało to długo. Znów pochylił się nad sofą i szeptał ze starym człowiekiem. Ouam uśmiechnął się, jego uśmiech przywodził na myśl ćmę trupią główkę.

– Nie ma w naszych wpisach takiego imienia – powiedział.

– Jego pełne imię brzmi Nillian Jegetar Cuain – powiedział Wasra. – Może wpisano go pod innym imieniem.

Naczelnik uniósł brwi.

– Trzy imiona?

– Tak.

– Dziwaczny człowiek. Pamiętałbym go. Dinio?

Chłopiec ponownie sprawdził wpisy. Gdy tym razem szeptał, miał wyraźnie więcej do powiedzenia.

– Także te dwa inne imiona nie są zapisane – wyjaśnił Ouam. – W ciągu ostatnich trzech lat była w ogóle tylko jedna egzekucja heretyka.

– A jak było mu na imię?

– To była kobieta.

Wasra zastanowił się.

– Czy jesteście informowani, gdy w jakimś innym mieście ktoś zostaje skazany z powodu herezji?

– Czasem. Nie zawsze.

– A jak wyglądają wasze lochy? Macie więźniów?

Ouam przytaknął.

– Tak, jednego.

– Mężczyznę?

– Tak.

– Chcę go zobaczyć – zażądał Wasra. Najchętniej dodałby, że jest gotów zetrzeć na proch cały dom cechu, by dostać to, czego żąda.

Ale groźby nie były potrzebne. Ouam przyzwalająco kiwnął głową i powiedział:

– Dinio was zaprowadzi.

Więzienie znajdowało się w najodleglejszej części siedziby cechu. Dinio prowadził ich w dół po nędznych, wąskich schodach, przyciskając do siebie jak skarb księgę ze spisem egzekucji i więźniów. Ze ścian kruszył się brudnobury tynk, a im niżej schodzili, tym

bardziej przenikliwy stawał się smród moczu, zgnilizny i chorób. Gdzieś po drodze chłopiec wziął pochodnię i zapalił ją, a Stribat włączył niesioną na piersi lampę.

W końcu dotarli do dużej kraty, pilnowanej przez bladego, otyłego więziennego dozorcę. Spojrzał na nich tępym spojrzeniem i jeśli nawet zdziwiły go te liczne odwiedziny, nie dał nic po sobie poznać.

Dinio rozkazał mu otworzyć wejście do lochów i Wasra zostawił dwóch żołnierzy do pilnowania otwartych krat.

Poszli ciemnym korytarzem, rozjaśnianym tylko płonącymi w przedsionku pochodniami. Po prawej i lewej stronie znajdowały się otwarte drzwi do wolnych cel. Stribat oświetlał je swoją lampą. W każdej celi wisiało duże, kolorowe zdjęcie cesarza. Więźniowie byli mocowani łańcuchami do przeciwległej ściany, obraz pozostawał poza ich zasięgiem i poskąpiono im łaski całkowitej ciemności: przez okratowane otwory wentylacyjne wpadało z góry akurat tyle światła, że musieli spędzać czas na wpatrywaniu się w wizerunek cesarza.

Dinio i tłusty więzienny dozorca, cuchnący jeszcze bardziej nieprzyjemnie niż zbutwiałe siano pokrywające podłogę, zatrzymali się przed jedyną zajętą celą. Stribat poświecił do środka przez szparę w drzwiach. Zobaczyli ciemną długowłosą postać, skurczoną, leżącą na podłodze, z rękami przykutymi łańcuchem do ściany.

– Otwierać – rozkazał gniewnie Wasra. – I rozkujcie go.

Mężczyzna ocknął się, usłyszawszy zgrzyt klucza w zamku. Gdy drzwi otwarły się, siedział już wyprostowany i spokojnie patrzył im naprzeciw. Jego włosy połyskiwały srebrną bielą, a w świetle lampy Stribata stało się jasne, że mężczyzna jest o wiele za stary, by mógł to być Nillian.

– Rozkujcie go – powtórzył Wasra. Dozorca więzienia ociągał się. Dopiero gdy Dinio przyzwalająco skinął głową, wyjął klucz i otworzył kajdanki staruszka.

– Kim jesteście? – spytał Wasra.

Mężczyzna spojrzał na niego. Mimo całego upodlenia, promieniowały od niego godność i pogodny spokój. Musiał spróbować kilka razy, nim udało mu się wydobyć z siebie słowa; najwyraźniej od lat nic nie mówił.

– Na imię mi Opur – powiedział. – Kiedyś byłem mistrzem trójfletu.

Mówiąc to, smutno spojrzał na swe ręce, które, okaleczone, wyglądały groteskowo. Kiedyś musiano mu złamać oddzielnie każdy palec i wszystkie te złamania zrosły się same, bez szyn i bez opatrunku.

– Co on zrobił? – chciał dowiedzieć się Wasra.

Dozorca więzienny, na którego patrzył pytając, gapił się tylko

głupkowato, zamiast niego odezwał się chłopiec, chłodna odpowiedź zabrzmiała protekcjonalnie:

– Ukrył w swoim domu dezertera.

– Dezertera?

– Cesarskiego żeglarza. Ładowacza z KARY, ostatniego statku, który tu wylądował.

To musiał być ten statek, który jako pierwszy tropili przed trzema laty. By stracić go z oczu i odkryć następny świat, w którym ludzie tkali włosiane kobierce wierząc, że są jedynymi gobeliniarzami cesarza.

– Co stało się z dezerterem?

Wyraz twarzy Dinia był nadal odpychający.

– Jeszcze go nie złapano.

Wasra przez chwilę w zamyśleniu przyglądał się młodzieńcowi i zastanawiał się, jaka jest jego pozycja. Potem zdecydował, że tak naprawdę wcale go to nie obchodzi i zwrócił się ku więźniowi. Wraz ze Stribatem pomógł mu wstać i powiedział:

– Jesteście wolni.

– Nie, on nie jest wolny! – zaprotestował z wściekłością Dinio.

– Jest wolny! – powtórzył ostro Wasra i rzucił chłopcu tak groźne spojrzenie, że tamten cofnął się. – Jeszcze słowo, a przełożę cię przez kolano i tak ci wleję, że narobisz w portki.

Przekazał Opura dwóm żołnierzom ze swej eskorty, rozkazał im odprowadzić go na statek i oddać pod opiekę medyczną, po czym odwieźć we wskazane przez niego samego miejsce. Jeśli miałby nie czuć się bezpiecznie na tej planecie, Wasra był zdecydowany zabrać go do następnego świata gobeliniarzy, na którym wylądują.

Dinio patrzył za odchodzącymi żołnierzami i mistrzem fletu, parskając gniewnie, lecz nie odważył się już nic powiedzieć. Zamiast tego nieustannie przekładał księgę z jednej ręki do drugiej, jakby nie wiedział, co ma z nią zrobić, aż w końcu przycisnął ją do piersi jak tarczę. Coś małego i białego wypadło przy tym spomiędzy stronic i miękko poszybowało na podłogę.

Wasra zauważył to i podniósł. Była to fotografia, ukazująca cesarza.

Martwego cesarza.

Komendant zaskoczony wpatrywał się w zdjęcie. Znał je. Dokładnie takie samo miał w kieszeni. Każdy członek załogi floty rebeliantów miał przy sobie fotografię martwego cesarza, na wypadek, gdyby musiał komuś udowodnić, że naprawdę został obalony i nie żyje.

– Skąd to masz? – spytał chłopca.

Dinio zrobił upartą minę, jeszcze silniej ścisnął swą księgę i nic nie powiedział.

– To musiało należeć do Nilliana – powiedział Wasra do Stribata i przysunął odwrotną stronę fotografii do stożka światła rzucanego przez jego lampę. – Naprawdę. Widzisz? Napis na rewersie był wytarty i rozmazany, tak blady, że właściwie niewidoczny, ale w jednym miejscu wydawało się, że można rozpoznać sylabę *Nill.* Gdy Wasra spojrzał na Dinia, w jego wzroku było łamanie drzew i pękanie dziecięcych czaszek.

– Skąd pochodzi to zdjęcie?

Dinio przełknął nieswojo i w końcu wydusił z siebie:

– Nie wiem. Należy do Ouama.

– Przecież Ouam nie przywiózł go sobie na pamiątkę z jakiejś wycieczki.

– Nie wiem, skąd je ma!

Wasra i Stribat wymienili spojrzenia, znowu było jak kiedyś, gdy jeden wiedział, co myśli drugi.

– Interesuje mnie – stwierdził wtedy komendant – co też ma nam do powiedzenia Ouam.

W powrotnej drodze słyszeli, jak w mrocznych korytarzach siedziby cechu rozbrzmiewają echem niesamowite, pełne skargi głosy i mimo woli przyspieszyli kroku. Gdy weszli po schodach do komnaty naczelnika cechu – tym razem w pośpiechu, nie z szacunkiem – nie czekały tam na nich dym ani rozjaśniony mdłym czerwonym światłem mrok, lecz promienna jasność i czyste powietrze.

Pokój był odmieniony. Jakiś mężczyzna powoli przechodził od jednego okna do drugiego i otwierał okiennice, a do środka wpadały ciągle nowe kaskady jaskrawego światła. Przez otwarte okna włosiane kobierce wyglądały jak morskie fale, rozbijające się o okienne parapety.

Ogień na metalowym trójnogu zgasł, a Ouam leżał martwy na swym legowisku, z zamkniętymi ślepymi oczami, wysuszone dłonie złożone na piersiach. Łoże było mniejsze, niż Wasra wcześniej sądził, lecz mimo to sędziwe, kościste ciało naczelnika wydawało się na nim zagubione jak ciało dziecka.

Za oboma kosmicznymi wędrowcami po schodach weszli starsi cechu. Minęli dwóch obcych, nie poświęcając im uwagi, stanęli wokół łoża martwego Ouama i zaintonowali niezbyt przekonywujący żałobny śpiew. Echo tego lamentu powracało z zewnątrz przez otwarte okna i rozprzestrzeniało się po całym budynku cechu, po całym mieście. Także człowiek, który otwierał okna, wypuszczając nagromadzony przez lata dym i zaduch, przyłączył się teraz do żałobników i dwaj rebelianci ze zdumieniem patrzyli na niego, jak w jednej, nie dłuższej niż mgnienie oka chwili przerzucił się od skrzętnego zabiegania do rozdzierającej rozpaczy.

Pośpieszne, dzikie kroki na schodach kazały Wasrze odwrócić

głowę. Był to Dinio, dostał zadyszki, wbiegając do góry, oszalały z rozpaczy. Nie oglądając się na prawo ani lewo, rzucił się ku łożu naczelnika, padł przy nim na podłogę i wybuchnął gorzkimi łzami. Był to w tym pomieszczeniu jedyny szczerze brzmiący głos.

Wasra jeszcze raz spojrzał na trzymaną w dłoni fotografię, potem włożył ją do kieszeni. Spojrzeli na siebie ze Stribatem i znów zrozumieli się bez słów.

Gdy znów stanęli przed siedzibą cechu, słońce już zachodziło, rozżarzone do czerwoności jak stopiony metal. Dwa wozy opancerzone na placu połyskiwały w jego świetle jak kosztowne szlachetne kamienie. Rytualne śpiewy jęczących i zawodzących członków cechu nadawały całej scenerii pozór marzenia sennego.

– To zdjęcie należało do Nilliana, prawda? – spytał Stribat.

– Tak.

– To znaczy, że tu był.

Wasra obserwował handlarzy zamykających na noc swoje stoiska i rzucających od czasu do czasu zamyślone spojrzenia na budynek cechu.

– Nie wiem, co to właściwie znaczy.

– Może uciekł, poznał jakąś miłą kobietę i żyje teraz szczęśliwie gdzieś na tej planecie – zastanowił się głośno Stribat.

– Tak, może.

– Trzy lata… Może już mieć dwójkę dzieci. Kto wie, może nawet sam zaczął tkać włosiany kobierzec?

On nie żyje, pomyślał Wasra, nie oszukuj się. Zabili go za to, że powiedział coś przeciw cesarzowi. Nieśmiertelnemu cesarzowi. Niech to diabli, starczył jeden jedyny dzień, by go strącić z tronu, ale już przez dwadzieścia lat co dzień na nowo walczą, by go naprawdę pokonać.

– Łódź zwiadowcza! – wybuchnął Stribat i podniecony chwycił go za rękaw. – Wasra! A co z łodzią?

– Jaką łodzią?

– Ten Nillian musiał przecież przyjechać na łodzi zwiadowczej. Możemy jej poszukać!

– Dawno ją znaleziono, już wtedy – wyjaśnił Wasra. – I rozesłano przebranych zwiadowców, którzy zebrali informacje. Nillian został pojmany z powodu herezji, pewien handlarz gobelinów zabrał go do miasta portowego. Szukano go tam potem, ale nigdy tu nie dotarł.

Wasra przestudiował ówczesne raporty. Nie zrobiono ich zbyt dokładnie – wiele trudu włożył w odszukanie nazwy miasta, w pobliżu którego Nillian wylądował – z niewielkim skutkiem. Włosiane gobeliny uważano za sympatyczną osobliwość, zresztą wtedy każdy w duchu widział się już w powrotnym locie do domu. Panował wtedy

taki nastrój: *Miał rozkaz nie lądować, mimo to wylądował – no to ma za swoje.*

– Czy nie byłoby dobrze, gdyby był tu z nami partner Nilliana?

– Pewnie – przytaknął Wasra. Czuł falę zmęczenia ogarniającą całe ciało i wiedział, że to nie tylko fizyczne znużenie. Nie było końca. Nic nie miało końca. – Pewnie, ale on nie żyje. Był wśród ochotników w pierwszym szturmie na stację portalową, dorwał go któryś z tych latających robotów bojowych.

Stribat wydał nieartykułowany dźwięk, mający wyrazić coś w rodzaju zaskoczenia.

– Skąd pilotowi KALYTA przyszło do głowy zgłosić się na ochotnika do misji bojowej?

Gdy Wasra nie odpowiedział, pochrząkiwał jeszcze przez chwilę, jak miał w zwyczaju, gdy się nad czymś zastanawiał.

– I skąd przyszło do głowy generałowi zgodzić się na to?

Wasra nie słuchał jego mamrotania. Zatopiony w myślach patrzył na potężny kadłub SALKANTARA, w oddali wznoszący się władczo ku niebu, ciemny na tle zachodzącego słońca, srebrzyście iskrzący się wzdłuż konturów. Jego miejsce było w kosmosie, jak wszystkich statków kosmicznych; na powierzchni planety sprawiał wrażenie ciała obcego.

A jednak, pomyślał markotnie komendant, SALKANTAR będzie stał tu jeszcze długo. Generał Karswant nie wyruszy do świata centralnego wcześniej, nim od niego, komendanta Wasry, nie usłyszy czegoś o losie Nilliana. I póki generał nie złoży raportu Radzie Rebeliantów, ta nie może zdecydować, co robić dalej. A dopóki nie zapadną decyzje, rzeka włosianych gobelinów będzie płynąć dalej, będą musieli wszędzie patrzeć na te obsceniczne stosy, te góry, te niezliczone ilości włosianych kobierców.

– To znaczy, że mamy teraz przeszukać całą planetę? – domyślił się Stribat.

– A masz lepszy pomysł?

– Nie, ale czy taki nakład pracy jest uzasadniony? To znaczy, gdyby Nillian żył – to przecież jakoś dotarłby do miasta portowego. Tu jest port kosmiczny; jeśli gdziekolwiek, to właśnie tutaj miałby szansę być znaleziony. A jeśli nie żyje, to przecież naprawdę nie jest jedyną ofiarą, którą straciła ta ekspedycja.

– Odkrył fenomen włosianych kobierców.

– Tak, i co z tego? – Stribat rzucił komendantowi badawcze kamienne spojrzenie, jakby upewniając się, czy może zawierzyć mu to, co chce powiedzieć. – Nie chcę cię urazić, Wasra, ale czy nie mogłoby być tak, że motywy generała Karswanta nie są do końca takie szlachetne, jak chciałbyś wierzyć?

Wasra słuchał uważnie.

– Co masz na myśli?

– Może on chce zrobić uprzejmość pewnemu określonemu członkowi Rady?

– Określonemu członkowi Rady?

– Członkowi Rady imieniem Berenko Kebar Jubad.

Wasra spojrzał uważnie na towarzysza, zastanawiając się usilnie, co tamten próbował mu powiedzieć. To Jubad podczas szturmu na Pałac Gwiezdny wyzwał na pojedynek cesarza i zastrzelił go. Od tej pory cieszył się niemal legendarną sławą.

– Co ma z tym wspólnego Jubad?

– Ojciec Jubada – powiedział powoli Stribat – nazywał się Uban Jegetar Berenko…

Równie dobrze mógł walnąć go w głowę. Dolna szczęka Wasry opadła bezsilnie.

– Jegetar! – powtórzył z wysiłkiem. – Nillian Jegetar Cuain. Są spokrewnieni…

– Najwyraźniej.

– I myślisz, że Karswant *dlatego* czeka…?

Stribat tylko wzruszył ramionami.

Wasra podniósł głowę, wpatrzył się w ciemniejące niebo, na którego zenicie pojawiały się pierwsze gwiazdy. Gwiazdy, należące do cesarza. Nie było końca. Czy cesarz był martwy? Czy doszło już do tego, że jego pogromcę mieli uczynić następnym cesarzem?

– Wracamy na statek – rzucił w końcu, opanowany nagłym uczuciem, że nie wytrzyma tu już ani chwili, nie tutaj, w bramie dziedzińca rachunkowego. – Natychmiast.

Stribat dał szybki znak żołnierzom eskorty i natychmiast silniki obu wozów pancernych zahuczały, tępo i przenikliwie aż do szpiku kości. Zwierzęta pociągowe, już wyprzężone i układające się do snu jedno przy drugim, podniosły gwałtownie łby i wybałuszyły oczy w tamtą stronę.

Każdy na placu odsuwał się na bok, gdy ruszyli. Jechali po śladach trzeciego wozu, który pojechał wcześniej z uwolnionym przez nich mężczyzną. Mistrzem trójfletu. Przez chwilę myśli Wasry krążyły wokół tej nazwy, próbował wyobrazić sobie, co mogła znaczyć. Potem, gdy drżenie siedzenia przeniosło się na jego ciało, przypomniał sobie uczucie, z którym jechał w tę stronę: to poczucie siły i przewagi, którym się cieszył. Władza i jej pokusy – wyglądało na to, że nigdy się nie nauczą radzić sobie z nimi, nawet po dwustu pięćdziesięciu tysiącach lat trwania cesarskiego imperium.

Pochylił się ku przodowi i chwycił mikrofon komunikatora. Gdy połączył się z dyżurnym radiowcem SALKANTARA, rozkazał:

– Proszę wysłać zwielokrotnioną wiadomość promieniową do TRIKOODA. Adresat: generał Jerom Karswant. Tekst: Nillian Jegetar

Cuain z prawdopodobieństwem graniczącym z pewnością nie żyje. Wszystkie ślady wskazują, że padł ofiarą religijnego linczu. Dobrego lotu do domu i moje najlepsze pozdrowienia dla Świata Centralnego. Podpisano komendant Wasra i tak dalej.

– Natychmiast? – spytał telegrafista.

– Tak, natychmiast.

Gdy się oparł, poczuł się samolubny i przekorny, i było mu z tym dobrze. Jak zimny ogień w żyłach. Jutro roześle po całym mieście oddziały uświadamiające, żeby każdemu, kogo spotkają, mówili, co dzieje się w galaktyce. Że cesarz nie żyje. Na nieba, nie mógł się wprost doczekać, kiedy wyląduje na następnej z tych przeklętych planet gobeliniarzy i rzuci ludziom prawdę w twarz.

Zauważył, że Stribat przygląda mu się z boku, z uśmiechem, wpełzającym bardzo powoli na usta. Może ten Nillian jeszcze pewnego dnia się znajdzie, któż to może wiedzieć? Ale w tej chwili ważne było to, że Karswant w końcu wyruszy do Świata Centralnego i złoży sprawozdanie Radzie. Żeby sprawy ruszyły z miejsca. Jeśli pewnego dnia zabiorą mu insygnia komendanta, to nie zmieni faktu, że postąpił tak, jak uznał za słuszne.

Wasra uśmiechał się, był to uśmiech wolnego człowieka.

A jego zemsta trwa wieki

Po jasnym i bezchmurnym nocnym niebie wędrowało siedem księżyców, a kopuła nieba jak czarno-niebieski kryształ sklepiała się nad nierealnym krajobrazem.

Pomyśleć, że dawniej ten cały świat służył wyłącznie przyjemności i rozrywce jednego jedynego człowieka! Pomijając rozległe podziemne lochy i systemy obronne, oczywiście. Lamita często stała tu wieczorami, na małym balkonie przy swym pokoju i próbowała zrozumieć.

Po tamtej stronie pałacowych murów rozciągało się morze, spokojnie srebrzące się w świetle księżyca. Na horyzoncie, tak daleko, że nocą nie można było rozpoznać linii oddzielającej ląd od wody, wznosiły się łagodne, zalesione wzgórza. Cała planeta była jednym sztucznie założonym parkiem. Wiedziała, że oprócz tego wielkiego pałacu były jeszcze niezliczone mniejsze zamki i inne wiejskie siedziby, w których cesarz oddawał się swym przyjemnościom.

Cóż, to wszystko odeszło w przeszłość. Dziś w wielkiej sali tronowej obradowała Rada Rebeliantów, a niezliczeni współpracownicy Rządu Tymczasowego zaludniali ogromny Gwiezdny Pałac. Nie obyło się bez protestów, że rząd znalazł siedzibę w dawnym Świecie Centralnym. Mówiono, że w tym rajskim otoczeniu jego członkowie są zbyt oddaleni od rzeczywistych problemów ludzi na innych światach, by móc podejmować sensowne decyzje. Względy praktyczne zadecydowały, że Rada Tymczasowa zatrzymała jednak jeszcze na jakiś czas swą siedzibę: wszystkie urządzenia komunikacyjne zbiegały się tutaj w przedziwny sposób.

Zabrzmiał harmonijny dźwięk dzwonka. To była rozmowa zamiejscowa, na którą czekała. Lamita pośpiesznie opuściła balkon i podeszła do urządzenia wielofunkcyjnego przy swoim łóżku. Na ekranie widniał symbol sieci międzygalaktycznej.

– Jest połączenie głosowe z Ikatanem – poinformował ją przyjemnie brzmiący, ale wyraźnie sztuczny głos syntezatora. – Po drugiej stronie Pheera Dor Terget.

Nacisnęła odpowiedni guzik.

– Cześć, mamo. Tu twoja córka Lamita.

Ekran pozostał ciemny. Znów nie ma połączenia wizyjnego. Wydaje się, że ostatnio dochodzą do skutku tylko przy rozmowach z innymi galaktykami.

– Lamita, skarbie! – głos matki w niektórych słowach nabierał nieprzyjemnego metalicznego pogłosu. – Co u ciebie słychać?

– A co ma być słychać? Wszystko w porządku, oczywiście.

– Ach, na tej waszej wyspie szczęścia. My jesteśmy zadowoleni, że

znowu działają wodociągi i ustały walki w sektorze północnym. Może się tam w końcu nawzajem powybijali; nikogo by to specjalnie nie zmartwiło.

– Coś nowego u taty?

– U niego w porządku. Dostaliśmy znowu lekarstwa i jego stan się ustabilizował. Lekarz ostatnio powiedział, że gdyby był pięć lat młodszy, można by operować. Ale tak nic się nie da zrobić… – Westchnęła. Westchnienie z odległości trzydziestu tysięcy lat świetlnych. – Mów o sobie, dziecko. Co u ciebie nowego?

Lamita wzruszyła ramionami.

– Jutro jestem zaproszona do udziału w Wielkim Posiedzeniu Rady. Jako obserwatorka. Wrócił komendant ekspedycji Gheera i będzie składał raport.

– Gheera? Czy to nie ta prowincja, o której nie wiedziano nawet, że istnieje?

– Tak. Zaginęła na osiemdziesiąt tysięcy lat i wygląda na to, że ludzie tam przez cały ten czas nie robili nic innego, tylko tkali dywany z włosów swoich żon – powiedziała Lamita i dodała z przekąsem: – a cokolwiek jeszcze ekspedycja odkryła dziwacznego, ode mnie będzie się oczekiwać, że wyjaśnię, co to wszystko miałoby znaczyć.

– Nie pracujesz już z Rhuną?

– Rhuna została nową zarządczynią Lukdarii. Wczoraj odleciała. Teraz jestem sama odpowiedzialna za cesarskie archiwum.

– Zarządczynią? – W głosie matki wyraźnie wyczuwało się zawiść. – Niemożliwe. Gdy atakowaliśmy pałac cesarza, pewnie akurat uczyła się chodzić. A dziś robi wielką karierę.

Lamita odetchnęła głęboko.

– Mamo, mnie też to dotyczy. Miałam wtedy cztery lata.

Starzy rebelianci z trudem oswajali się z myślą, że teraz, gdy długowieczny cesarz już nie rządził, w przyszłości jedno pokolenie będzie następowało po drugim.

Międzygwiezdne milczenie. Każda sekunda kosztowała majątek.

– Tak, taka już jest kolej rzeczy – westchnęła w końcu matka. – Jesteś więc teraz zupełnie sama w swoim muzeum.

– To nie muzeum, a archiwum – poprawiła Lamita. Wyczuwała w słowach matki ukryte lekceważenie i złościła się, choć postanowiła nie dać się sprowokować. – Poza tym to naprawdę śmieszne. Ćwierć miliona lat historii cesarstwa i ja całkiem sama w środku tego – tymczasem w archiwum można by znaleźć odpowiedzi na pytania, których jeszcze nawet nie potrafimy postawić…

Jak to się działo, że matka zawsze potrafiła ją rozzłościć do białości, po prostu nie słuchając nawet polowy z tego, co mówiła?

– A co poza tym? Wciąż jesteś sama?

– Mamo! – Znów ta sama śpiewka. Minie pewnie następny milion

lat, a rodzice i tak ciągle będą się czepiać swoich dzieci.

– Przecież tylko pytam…

– Znasz moją odpowiedź. Dowiesz się, jak będę miała dziecko. Do tego czasu moje historie z mężczyznami to wyłącznie moja sprawa – w porządku?

– Dziecko, ja w żadnym razie nie chcę się wtrącać w twoje życie; po prostu byłabym spokojniejsza, gdybym wiedziała, że nie jesteś sama…

– Mamo? Czy możemy zmienić temat?

Rada Tymczasowa zaprosiła na posiedzenie niezwykle wielu obserwatorów. To zrozumiałe, chodziło przecież o pierwszy raport z budzącej powszechne zainteresowanie misji w ponownie odkrytej prowincji cesarskiego imperium. Jako że Rada obradowała w dawnej sali tronowej, posiadającej Jak wypadało centralnemu punktowi imperium, zapierające dech w piersiach wymiary i wyposażenie, nie stanowiło to żadnego problemu.

Lamita w poszukiwaniu przydzielonego sobie miejsca przeciskała się między dwoma starymi członkami Rady. Oczywiście w jednym z tylnich rzędów. Docierały do niej strzępy zdań, tworzyły obraz panującej tu atmosfery.

– …chwilowo naprawdę inne zmartwienia, żeby zajmować się jakimś obskurnym kultem w zapomnianej galaktyce.

– Uważam to za manewr Jubada i Karswanta, żeby swoje wpływy w Radzie…

W tylnich rzędach nie znalazła swego nazwiska. Ściskała w dłoni zaproszenie, irytując się na poczucie niepewności, jakie odczuwała wobec tych wszystkich starych bohaterów rebelii.

Ku swemu przerażeniu tabliczkę ze swoim imieniem odkryła całkiem na przedzie, zaraz za półkolem stołów, przy których siedzieli członkowie Rady. Wyglądało na to, że rzeczywiście przykładano wagę do tego, by wyrobiła sobie zdanie. Usiadła, starając się nie rzucać w oczy i rozejrzała się wokół. Pośrodku półkola, przed projektorem, stał duży stół. Kątem oka dojrzała Borlida Ewo Kennekena, z którym od pewnego czasu miała do czynienia w sprawie Gheery. Należał do Komisji do Spraw Pozostałości Imperium i był, jeśli chodziło o archiwum, w pewnych sprawach kimś w rodzaju jej przełożonego. Pokiwał do niej z uśmiechem i Lamita znów zauważyła, jak jego wzrok z pewnym ociąganiem oderwał się od jej figury.

Uderzenie w gong zapowiedziało rozpoczęcie posiedzenia. Lamita zafascynowana patrzyła na bogato zdobiony instrument wysokości człowieka. Pewnego dnia siedziba Rady zostanie przeniesiona gdzie indziej i stary cesarski pałac zmieni się w muzeum, najbardziej fascynujące muzeum wszechświata.

Zauważyła przysadzistą postać generała w galowym mundurze, wchodzącego właśnie do sali w asyście kilku oficerów. Sprawiał wrażenie człowieka szorstkiego, opryskliwego i niesamowicie pewnego siebie. To musiał być Jerom Karswant, dowódca ekspedycji Gheera. Położył garść nośników danych na małym stoliku przy projektorze, starannie je uporządkował i usiadł na przeznaczonym sobie fotelu.

Drugi gong. Lamita zauważyła, że Borlid znów na nią patrzy. Była teraz zła na siebie, że założyła sukienkę podkreślającą biust. Na szczęście przewodniczący Rady Tymczasowej podniósł się, by otworzyć posiedzenie i udzielić głosu generałowi Karswantowi, spojrzenie Borlida podążyło za obiektem powszechnego zainteresowania.

Karswant wstał. W obliczu o gniewnych rysach, trzeźwo błyszczały oczy.

– Na wstępie chcę państwu pokazać, o czym będzie dziś mowa – rozpoczął i skinął na swych dwóch towarzyszy. Ci podnieśli z podłogi wielką rolkę wysokości człowieka, położyli ją na stole i ostrożnie rozwinęli.

– Szanowni członkowie Rady, panie i panowie – oto włosiany kobierzec!

Szyje wyciągnęły się.

– Najlepiej będzie, jeśli wszyscy na chwilę podejdą do przodu, by z bliska spojrzeć na to zadziwiające dzieło sztuki. Cały kobierzec zrobiony jest wyłącznie z ludzkich włosów, a węzły wykonano tak ciasno i gęsto, że na jego wykonanie trzeba było pracy całego ludzkiego życia.

Pierwsi uczestnicy posiedzenia z ociąganiem podnieśli się i przeszli między rzędami foteli, by objąć wzrokiem włosiany gobelin i ostrożnie go dotknąć. Nastąpiło ogólne szuranie krzesłami, pozostali poszli za ich przykładem i po krótkiej chwili posiedzenie przeistoczyło się w pełen podniecenia rozgardiasz.

Zaskoczoną Lamitę przeniknęło uczucie wielkiego szacunku, gdy udało jej się pogłaskać dłonią powierzchnię kobierca. Na pierwszy rzut oka przypominał futro, lecz w dotyku czuło się, że włosy były utkane o wiele gęściej i ciaśniej. Czarne, blond, brązowe i rude spleciono w dywanie w skomplikowane geometryczne wzory. Z raportów ekspedycji znała zdjęcia włosianych gobelinów, ale widzieć jeden z nich bezpośrednio przed sobą było porażającym przeżyciem. Wyczuwało się wprost bezmiar poświęcenia i skupienia, zużytkowanych przy wytworzeniu tego niesłychanego arcydzieła.

Podczas powszechnego przepychania Borlid znalazł się nagle, jakby przypadkiem, tuż obok niej. Włosiany kobierzec zdawał się go zbytnio nie interesować.

– Jak się to wszystko skończy – szepnął jej do ucha – mogę cię zaprosić na kolację?

Lamita zrobiła głęboki wdech i wydech.

– Borlid, przykro mi. Nie jestem akurat w nastroju, żeby o tym rozmawiać.

– A po posiedzeniu? Wtedy będziesz w nastroju?

– Nie wiem. Raczej nie. Poza tym jestem pewna, że miałabym nieczyste sumienie, przyjmując twoje zaproszenie, bo wiem, że robisz sobie niewłaściwe nadzieje.

– Och? – udał zaskoczenie. – Czy wyraziłem się niezrozumiale? To nie były oświadczyny, chodzi tylko o zwykłą kolację…

– Borlid, nie teraz, proszę! – upomniała go i wróciła na swoje miejsce.

Jak mógł być tak pewny siebie? Lubiła go wcześniej jako współpracownika, ale od kiedy ubzdurał sobie, że nie można mu się oprzeć, stał się po prostu głupkowaty i prostacki. Nie mógł pojąć, że ona nie chce mieć z nim nic wspólnego. Jego zachowanie zdawało jej się tak dziecinne, czuła się, jakby niechcący uwiodła nieletniego.

Stopniowo publiczność uspokoiła się. Gdy już wszyscy wrócili na miejsca, generał kontynuował swój wykład. Lamita słuchała tylko pobieżnie. Większość spraw, o których mówił, znała już – jak odkryto włosiane kobierce, szczegóły kultu, jaki wytworzył się w światach Gheery wokół tych gobelinów, trasy handlowe i statki kosmiczne, które zabierały na pokład kobierce, by odwozić je w nieznanym kierunku.

– Udało nam się tropić ślad włosianych kobierców aż do wielkiej stacji kosmicznej, krążącej wokół gwiazdy podwójnej, składającej się z czerwonego olbrzymiego słońca i czarnej dziury. Zgodnie z naszymi obserwacjami – które później się potwierdziły – stacja ta była czymś w rodzaju punktu przeładunkowego gobelinów. Jednak gdy zbliżyliśmy się do niej, nieoczekiwanie zostaliśmy zaatakowani tak gwałtownie, że musieliśmy się wycofać.

Oczywiście, Borlid był atrakcyjny według ogólnie przyjętych norm. I jak mówiono, nie marnował żadnej okazji do podbojów miłosnych. Lamita głęboko wciągnęła powietrze. To naprawdę nie był powód, dla którego go odrzuciła. Chodziło bardziej o… jego niedojrzałość. Jako mężczyzna wydawał jej się płaski, niedojrzały, nie interesujący.

– Trzeba pamiętać o tym, że do tej pory flota ekspedycji była niewielka, składała się tylko z jednego ciężkiego i trzech lekkich krążowników oraz dwudziestu pięciu łodzi zwiadowczych. Poczekaliśmy więc na uchwalone przez Radę przybycie jednostek bojowych, potem zaatakowaliśmy stację i w końcu zajęliśmy ją ze względnie niewielkimi stratami własnymi. Ta czarna dziura okazała

się w rzeczywistości portalem ogromnego tunelu nadwymiarowego, na tyle dużego, że mogły do niego wlatywać statki transportowe niespotykanej wielkości. W tym tunelu znikały i to od dziesiątków tysięcy lat, wszystkie bez wyjątku wytworzone w Gheera włosiane kobierce, co do jednego.

Lamita wiedziała, że wygląda nieźle, szczupła blondynka, długie nogi. Nie było mężczyzny, który by się za nią nie obejrzał. To nie jej wygląd był przyczyną, dla której już od tak dawna była sama. Zadawała sobie pytanie, co takiego było z nią nie w porządku.

– Przejęliśmy jeden statek transportowy wracający z tunelu. Był pełen pustych kontenerów, przeznaczonych najwidoczniej do transportu kobierców. Po dokładnych badaniach i przemyśleniach odważyliśmy się zaryzykować i całym składem bojowym polecieliśmy przez tunel. Tak trafiliśmy na układ słoneczny, o którym myślano, że już nie istnieje, bo tam, gdzie powinien być zgodnie z mapami gwiezdnymi, nie było go – znaleźliśmy planetę Gheerh.

Zapomniała o Borlidzie. To, co słyszała, było prawdziwą historią na wyciągnięcie ręki. Gheerh stanowiła kiedyś prawdopodobnie centrum wielkiej monarchii, królestwa Gheera, nim flota cesarza napadła ją i podbiła, by wcielić do cesarskiego imperium. I by potem z jakiegoś nieznanego powodu izolować ją od reszty cesarstwa i o niej zapomnieć.

– Układ słoneczny znajdował się w potężnej bańce nadprzestrzennej, jedynym wejściem do niej był tunel, którego użyliśmy. To właśnie z tego powodu nie znajdowaliśmy Gheerh w miejscu zaznaczonym na mapach gwiezdnych. Do tej pory sądziliśmy, że została zniszczona, ale w rzeczywistości usunięto ją z naszego wszechświata przy pomocy pęcherza nadwymiarowego; została, można powiedzieć, zamknięta w maleńkim własnym wszechświecie, w którym nie było gwiazd prócz słońca Gheerh. Pęcherz był utrzymywany przez urządzenia umieszczone na najbliższej słońcu Gheerh planecie, zużywały one ogromne ilości energii czerpanej bezpośrednio ze słońca. Tych urządzeń strzegły silnie uzbrojone i niezmiernie ruchliwe bojowe statki kosmiczne, zaatakowały nas natychmiast po wejściu do wnętrza bańki. Ponieważ równocześnie odcięły nam drogę powrotu, zaatakowaliśmy ze swojej strony projektory pęcherza i zniszczyliśmy ich tak wiele, że układ słoneczny wrócił do normalnego wszechświata. Wrócił na swe dawne miejsce, a wtedy przyszły nam z pomocą pozostałe jednostki bojowe i w końcu udało nam się zneutralizować siły przeciwnika i zająć planetę Gheerh.

Karswant zatrzymał się na chwilę. Po raz pierwszy zdawał się szukać właściwych słów.

– Widziałem już w życiu wiele przedziwnych rzeczy – z namysłem mówił dalej. – Uchodzę za człowieka, którego nie tak łatwo zaskoczyć.

Ale Gheerh…

Projektor pokazywał obraz monotonnie szarej planety, na której niemal nie było oceanów. Jedynie w rejonie biegunów zauważyć można było niewielkie przebarwienia.

– Odkryliśmy kilka milionów pramieszkańców, pędzących prymitywne życie w godnych pożałowania warunkach. Znaleźliśmy kilkaset tysięcy ludzi, uważających się za oddziały cesarza i prowadzących bezlitosną wojnę przeciw tamtym. Posuwali się naprzód krok po kroku, mordowali, palili i niszczyli wszystko, nieustannie rozszerzając swoje granice. Pierwotni mieszkańcy zajmują jeszcze tylko niespełna ćwierć całej powierzchni planety, chodzi przy tym w większości o nieurodzajne rejony biegunowe.

– Mam nadzieję, że położyliście kres tej ponurej wojnie? – pozwolił sobie wtrącić grzmiącym głosem jeden z członków Rady.

– Oczywiście – odparł generał. – Udało nam się powstrzymać właśnie rozpoczęty atak.

Członkini Rady podniosła rękę.

– Generale, powiedzieliście, że pierwotni mieszkańcy zostali w przeciągu tego czasu stłoczeni na jednej czwartej powierzchni planety. A co jest na pozostałych trzech czwartych?

Karswant skinął głową.

– Powierzchnia, że tak powiem, oczyszczona przez oddziały, obejmuje około dwóch trzecich całości stałego lądu planety i…

Znów zatrzymał się i powoli rozejrzał po sali, sprawiał przy tym wrażenie, jakby szukał pomocy. Gdy wreszcie mówił dalej, jego głos utracił właściwą mu wojskową twardość; wydawało się, że teraz przemawia człowiek – Jerom Karswant.

– Przyznaję, że bałem się tej chwili. Jak, na wszystkie skarby świata, mam opisać to, co zobaczyliśmy? Jak mam to opisać, żebyście mi uwierzyli? Ja sam nie uwierzyłem moim najlepszym komendantom, ludziom, którym bez wahania powierzyłbym swe życie, lecz musiałem sam wylądować i zobaczyć. Nie mogłem uwierzyć nawet w to, co widziałem na własne oczy…

Rozłożył ręce w geście bezradności.

– Podczas całej podróży powrotnej z Gheera siedzieliśmy razem i na nowo trawiliśmy wszystkie szczegóły, ale nie doszliśmy do żadnych wniosków. Jeśli doszukacie się jakiegoś sensu w tym wszystkim, proszę i mnie wtajemniczyć. To właściwie jedyna rzecz, jakiej jeszcze w życiu pragnę – zrozumieć, poznać przyczynę istnienia planety Gheerh.

Ponownie włączył projektor, zaczął wyświetlanie przygotowanego filmu.

– Każdą piędź powierzchni, którą cesarskie oddziały zdobyły, mordując i wypędzając pierwotnych mieszkańców, następnie

wyrównywano i utwardzano. Zajmował się tym personel techniczny, w liczbie około pięciuset tysięcy ludzi. Kiedy linia frontu przesuwała się dalej, przygotowaną tak powierzchnię przykrywano włosianymi kobiercami. W taki sposób w ciągu tysięcy lat jednostki cesarza wyłożyły gobelinami dwie trzecie całkowitej powierzchni planety.

Zdumioną ciszę przerwał jeden z członków Rady, pytając:

– Chcecie w ten sposób powiedzieć, generale, że wszystkie te włosiane kobierce wytwarzano tylko po to, by pokryć nimi jakąś tam *planetę*?

– Taki obraz nasuwa się, gdy leci się nad Gheerh. Gdziekolwiek by się nie skierować, leży kobierzec przy kobiercu, nie widać nawet skrawka pierwotnej powierzchni. Rozległe równiny, głębokie kotliny, wysokie góry, plaże, wzniesienia, stoki – wszystko, wszystko pokryto włosianymi kobiercami.

Obecni z zafascynowaniem śledzili wyświetlane obrazy, potwierdzające słowa generała.

– To przecież szaleństwo – stwierdził ktoś w końcu. – Jaki sens może mieć coś takiego?

Karswant bezradnie wzruszył ramionami.

– Nie wiemy. Nie zdołaliśmy doszukać się w tym żadnego sensu.

Wśród uczestników posiedzenia wybuchła ożywiona dyskusja, którą przewodniczący Rady Tymczasowej powstrzymał władczym ruchem dłoni.

– Macie rację, generale Karswant, z trudem przychodzi mi w to uwierzyć – rzekł. – Z całą pewnością jest to najbardziej niewiarygodna rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałem – zatrzymał się na chwilę. Widać było po nim, że z wysiłkiem stara się nie zgubić wątku tego, co chce powiedzieć. – Oczywiście, niemożliwe, żebyśmy mogli wszyscy polecieć do Gheera, choć, prawdę mówiąc, czuję taką wielką potrzebę. Po prostu spróbujemy panu uwierzyć, generale.

Wyglądał na zupełnie oszołomionego, gdy znienacka zamilkł i rozglądał się bez celu. Każdy na sali wyglądał na oszołomionego.

– Jakiekolwiek miałoby być wyjaśnienie tego wszystkiego – mówił po chwili dalej, z wyraźnym wysiłkiem starając się znów zapanować nad sytuacją – z pewnością tkwi ono w historii. Cieszę się, że jest tu dziś obecna nasza czarująca Lamita Terget Utmansalen, jedna z naszych najlepszych historyków. Zarządza cesarskim archiwum, może wie na ten temat więcej od nas?

Lamita wstała przy tych słowach i nerwowo obracała się na wszystkie strony, zaskoczona tym, że znalazła się tak nieoczekiwanie w centrum zainteresowania.

– Przykro mi, ale nie mogę nic w tej sprawie powiedzieć – zaczęła, gdy przewodniczący dał jej znak skinieniem głowy. – W archiwum do tej pory nie znaleziono żadnych wskazówek dotyczących

włosianych gobelinów. To jednak niekoniecznie znaczy, że ich tam nie ma; system rozmieszczenia zasobów archiwum jest dla nas ciągle raczej zagadką, a archiwum, obejmujące cały okres cesarstwa, jest przeogromne…

– Lamita, zostajecie zwolnieni od innych zadań – przerwał jej przewodniczący. – Niech się pani teraz zajmie tylko tą sprawą.

Dziękuję, myślała zirytowana Lamita, siadając. Sama. Ja i archiwum. Współpracownicy, powinien był mi ich przydzielić.

– Musimy – kontynuował pośpiesznie stary członek Rady – zająć się także teraźniejszością i przyszłością. Trzeba przeprowadzić uświadomienie ludności Gheery, wykorzenić wiarę w cesarza i ustanowić nowy ustrój polityczny. Sądzę, że za przykładem prowincji Baquion i Tempesh-Kutaraan mogłoby udać się przekształcić Gheerę w samodzielną federację…

Dyskusji politycznej, która nastąpiła potem, Lamita przysłuchiwała się tylko pobieżnie. Bieżąca polityka jej nie interesowała. Swoją uwagę poświęcała wyłącznie wydarzeniom i procesom historycznym, dawno minionym tysiącleciom. W duchu wędrowała przez archiwum, tysięczny raz próbowała rozwikłać tajemnicę systemu rozmieszczenia eksponatów, lecz nie miała żadnego pomysłu. Była zadowolona, gdy posiedzenie nareszcie dobiegło końca.

Borlid dopadł ją, nim udało jej się opuścić salę.

– Lamita, muszę z tobą chwilę porozmawiać.

Skrzyżowała ramiona, przyciskając do piersi trzymane dokumenty.

– Słucham.

– Od tygodni mnie unikasz. Chciałbym wiedzieć, dlaczego.

– Unikam?

– Tak. Ja cię pytam, czy chcesz ze mną iść na kolację, a ty…

Westchnęła.

– Borlid, nie okłamujmy się. Oczekujesz ode mnie więcej niż tylko wspólnego posiłku. A ja nie mam ochoty. Więc nie byłoby w porządku, gdybym przyjęła twoje zaproszenie. I byłoby to uciążliwe.

– Nie ma szans?

– Nie. – Urażona męska pycha. Okropność!

– Więc masz jakiegoś mężczyznę?

– Gdyby nawet tak było, Borlid: to tylko moja sprawa i nic cię to nie obchodzi.

Leżała na plecach i wpatrywała się w pomalowany sufit nad łóżkiem. Nocna bryza lekko poruszała dzwonkami, wiszącymi w otwartych drzwiach balkonu, wydawały przy tym delikatne, pełne tęsknoty dźwięki. Ich cień w świetle księżyca padał na narzutę łóżka, poza tym w pokoju było całkiem ciemno.

– Odrzuciłam jednego z najatrakcyjniejszych mężczyzn w pałacu – powiedziała głośno. – A teraz leżę sama w łóżku i nie wiem, co z sobą począć.

Cichy śmiech z odległości siedemnastu lat świetlnych. – Jeśli go odrzuciłaś, to widocznie nie był dość atrakcyjny, siostrzyczko.

– No właśnie. Wydaje mi się dziecinny i płytki.

– Przed chwilą powiedziałaś, że to jeden z najatrakcyjniejszych mężczyzn…

– No tak. Wielu kobietom się podoba.

Znów ten śmiech.

– Coś mi się zdaje, siostruniu, że stale jeszcze sądzisz, że trzeba być podobnym do innych. A tak naprawdę chodzi o to, żeby właśnie być odmiennym od reszty – odkryć swoją wyjątkowość. Urodziłaś się rebeliantką, ale to nic nie znaczy. Przed tobą jeszcze twoja własna rebelia.

Lamita zmarszczyła nos, próbując zrozumieć znaczenie tych słów. Jej starsza siostra uwielbiała rzucać tajemnicze sentencje i kazać swoim rozmówcom decydować, co z nimi poczną.

– Sarna, co ze mną jest nie w porządku, że ciągle jestem sama? – spytała Lamita głosem krnąbrnego dziecka.

– A co masz przeciw temu, żeby być sama?

– To nudne. Niewesołe.

– Niepokojące? – drążyła Sarna.

– Też – musiała wbrew woli przyznać Lamita.

– Ile czasu minęło, od kiedy ostatnio byłaś z mężczyzną?

– Dużo. Poszło to już w zapomnienie. Poza tym było okropnie. Czułam się jak niańka.

– Ale było to dawno – podsumowała siostra – i uporałaś się już z tym. To nie może być powód. Lamita, który mężczyzna z twojego otoczenia cię podnieca?

– Żaden – odpaliła Lamita jak strzał z pistoletu.

– Zastanów się jeszcze raz.

Lamita przesunęła przed oczami korowód wszystkich znośnych młodych mężczyzn, z którymi miała do czynienia. Wszyscy nudziarze.

– Nie ma się nad czym zastanawiać. Naprawdę żaden.

– Nie wmówisz mi. Wiem coś o tym, co wyprawiają z nami nasze hormony.

Lamita musiała przyznać, że doświadczenia jej siostry w tych sprawach były imponujące; z tego też powodu do niej zadzwoniła.

– To niemożliwe. Podejrzewam, że ktoś jest. Jest jakiś mężczyzna, który cię pociąga i w którego obecności robi ci się wilgotno między nogami. Tylko sama się przed sobą nie przyznajesz. Może jest żonaty, może szkaradny albo jest jeszcze inny powód – w każdym razie wypchnęłaś go ze świadomości. Ale on gdzieś jest. Dlatego wszyscy

inni cię nie interesują. – Przerwa. – No, co ty na to?

Lamita zatopiona w myślach odgarnęła z czoła kilka włosów. Tak, coś w tym było. Wyczuwała w myślach miejsce, stawiające coś w rodzaju oporu, biała plama, ustawiona przez nią samą bariera. Jeśli na chwilę odrzuciłaby wszystkie swoje tabu, wtedy zjawiał się… Nie. To nie wchodziło w grę. Co by o niej powiedziano, gdyby…

Co by inni powiedzieli. To było to. Zadziwiające obawy u kogoś, kto uważał się za rebeliantkę, prawda? Niemal rozzłościła się sama na siebie, a jednak była zadowolona, że dotarła do tych zakamarków.

– Rzeczywiście, jest pewien mężczyzna… – zaczęła z ociąganiem.

– No więc? – powiedziała Sarna z satysfakcją.

– Ale to niemożliwe. Nie z nim.

– Dlaczego nie? – jej siostra drążyła z wyraźną przyjemnością.

– Jest ode mnie o wiele starszy.

– To na pewno geny. Ojciec też nie był młodzieniaszkiem, kiedy poznał mamę.

– I jest niepoprawnym zwolennikiem cesarza.

– Gwarancja zajadłych dyskusji – skomentowała rozbawiona Sarna. – Jeszcze coś?

Lamita zastanowiła się.

– Nie – westchnęła w końcu. – Ale teraz to już naprawdę nie wiem, co robić.

– Nie? – śmiała się z niej siostra. – Założę się, że bardzo dobrze wiesz.

Znała ten stan: bezwarunkowe postanowienie, by zacząć działać, znaleźć odwagę, nie zważać na żadne przeszkody. Wiedziała też, że trzeba wykorzystać ten stan, póki trwa.

Nie było mowy o spaniu. Szybko ubrała się i zadzwoniła do cesarskiego archiwum. Archiwista zgłosił się po krótkiej chwili.

– Czy nie macie nic przeciw temu, że dziś wieczorem przyjdę jeszcze do archiwum? – spytała.

Tylko uniósł brwi.

– Jesteście pełnomocniczką Rady. Możecie wchodzić i wychodzić, kiedy tylko zechcecie.

– Tak – zaśmiała się nerwowo Lamita. – Chciałam tylko zawiadomić. Zaraz przyjdę.

– Tak – powiedział Emparak, archiwista i rozłączył się.

Gdy podjechała do archiwum, brama była otwarta. Przez chwilę stała bezradnie w jasno oświetlonej hali przedsionka i rozglądała się. Wszystko wydawało się puste i opuszczone, nikogo nie było widać. W dużej sali pod kopułą także paliło się światło. Lamita przeszła do centralnej czytelni i położyła teczkę na owalnym stole, przy którym dawniej siadywał sam cesarz. Wszystkie odgłosy zwielokrotnione echem rozbrzmiewały nazbyt głośno, co potęgowało jeszcze poczucie

osamotnienia.

Weszła w jeden z rozchodzących się promieniście korytarzy i z regału wyjęła stary tom. Gdy wracała z nim do stołu, zauważyła archiwistę. Jak zwykle stał w półcieniu kolumn przy wejściu do czytelni, wyczekując bez ruchu.

Lamita powoli odłożyła grubą książkę na stół.

– Mam nadzieję, że wam nie przeszkadzam – rzuciła w ciszę.

– Nie – powiedział Emparak.

Ociągała się.

– Gdzie właściwie mieszkacie?

Jeśli to pytanie zaskoczyło go, nie dał tego po sobie poznać.

– Mam małe mieszkanie na pierwszym podziemnym poziomie.

Zabrzmiało to odpychająco. Wiedziała, że znał jeszcze cesarza, pracował z nim i przy wszystkich okazjach, gdy do tej pory miała do czynienia z archiwistą, okazywał swoje wrogie nastawienie do niej i generalnie do każdego, kto miał coś wspólnego z rebelią. Przyjrzała mu się. Był krępym mężczyzną, niewiele wyższym od niej samej, o gęstych srebrzystoszarych włosach, jego plecy były nieco przygarbione, co sprawiało, że stale wydawał się lekko pochylony. Jednak była to pełna godności, dostojna postać, promieniująca spokojnym opanowaniem i dojrzałością.

– To musi być osobliwe uczucie, mieszkać tutaj – powiedziała w zamyśleniu. – Pośród historii wielu tysięcy lat…

Zauważyła, że Emparak zadrżał przy tych słowach, a gdy ponownie spojrzała w jego oczy, widziała, że był zaskoczony.

– Gdy imperium cesarza upadło, byłam jeszcze dzieckiem, miałam akurat pięć albo sześć lat – mówiła dalej i po raz pierwszy miała poczucie, że on naprawdę jej słucha. – Dorastałam w świecie, który był na przełomie. Widziałam, jak wszystko wokół mnie się kończy i zaczęło mnie interesować, jak było przedtem. To pewnie powód, dla którego studiowałam historię. A przez całe studia marzyłam o tym, żeby pewnego dnia znaleźć się tutaj, w cesarskim archiwum. Wykopaliska, zbieranie materiałów, badania w terenie, to wszystko mnie nie podniecało. Tam na zewnątrz były pytania – ale tutaj, o tym byłam przekonana, są odpowiedzi. A ja nie byłam zainteresowania szukaniem, chciałam wiedzieć. – Spojrzała na niego. – I teraz jestem tutaj.

Wysunął się o jeden krok ze swego cienia, sam pewnie tego nie zauważył. Przyglądał jej się badawczo, jakby widział ją po raz pierwszy, a Lamita cierpliwie czekała.

– Po co mi to opowiadacie? – spytał w końcu. W jego głosie zabrzmiało zmęczenie.

Lamita ostrożnie podeszła do niego. Głęboko i powoli wciągnęła powietrze i próbowała odszukać w sobie tę odwagę, która jeszcze

przed chwilą ją uskrzydlała.

– Przyszłam, żeby dowiedzieć się, co się dzieje między nami – powiedziała łagodnie.

– Między… nami?

– Między wami, Emparak, a mną – coś jest. Jakieś wibracje. Jakieś porozumienie. Pole elektryczne. Ja to czuję i jestem pewna, że wy też to czujecie. – Stała teraz bezpośrednio przed nim i to uczucie było bardzo mocne. – Od razu zwróciłam na was uwagę, Emparak, gdy pierwszy raz zobaczyłam, jak stoicie tu przy kolumnach. Do tej pory nie przyznawałam się, ale wasza obecność wzbudza we mnie pożądanie; silne pragnienie, jakiego nigdy dotąd nie znałam. Przyszłam, by mu się poddać.

Dyszał, przemykał spojrzeniem z szaloną szybkością po podłodze i po ścianach, rzucając na nią okiem tylko przez moment.

– Proszę, nie kpijcie sobie ze mnie.

– Ja nie kpię, Emparak.

– Jesteście… piękną kobietą, Lamita. Możecie mieć każdego mężczyznę, którego zechcecie. Dlaczego mielibyście zadawać się z takim kaleką jak ja?

Lamita nagle poczuła wypełniający go ból, jakby to był jej własny. To było uczucie, które zdawało się mieć początek gdzieś w okolicy jej serca.

– Nie uważam, żebyście byli kaleką. Widzę, że macie przygarbione plecy, ale jakie to ma znaczenie?

– Jestem kaleką – upierał się. – I jestem już starym mężczyzną.

– Ale mężczyzną.

Nic nie powiedział, stał odwrócony od niej i wpatrywał się w marmurową podłogę.

– Przyszłam, żeby dowiedzieć się, co czujecie, Emparak – w końcu powiedziała cicho Lamita. Może to jednak nie był dobry pomysł. – Jeśli wolicie, odejdę.

Zamruczał coś, czego nie zrozumiała.

Wyciągnęła rękę i dotknęła jego ramienia.

– Chcecie, żebym poszła? – spytała głosem pełnym napięcia.

Pokręcił głową.

– Nie. Nie odchodźcie. – Wciąż nie wiedział, gdzie uciec spojrzeniem, ale jego ręka chwyciła nagle jej dłoń i trzymała ją mocno, a słowa nagle jakby z niego trysnęły. – Jestem starym błaznem… To wszystko jest takie… Nie liczyłem na to, że jeszcze kiedyś w życiu… i to kobieta jak wy! Zupełnie nie wiem, co mam teraz zrobić.

Lamita nie mogła powstrzymać uśmiechu.

– Założę się, że wiecie bardzo dobrze – powiedziała.

Była przygotowana na to, że będzie musiała walczyć z całą górą

nagromadzonego poczucia niższości i zdecydowana była podjąć tę walkę. Jednak gdy Emparak wziął ją w ramiona i pocałował, zrobił to ze zdecydowaniem, które zaskoczyło ją bezgranicznie. Po prostu rozpłynęła się w jego objęciu, jakby jej ciało zawsze czekało na dotyk tego mężczyzny.

– Czy mogę wam pokazać, gdzie mieszkam? – spytał w końcu, po wielu godzinach, jak jej się zdawało.

Przytaknęła rozmarzona.

– Tak – westchnęła. – Proszę.

– Wciąż nie mogę uwierzyć – powiedział Emparak w ciemność. – Nie wiem, czy kiedykolwiek w to uwierzę.

– Uspokój się – sennie zamruczała Lamita – ja też ledwo w to wierzę.

– Miałaś wielu mężczyzn? – spytał i jakoś zabawnie zabrzmiała w tym zazdrość.

– Nie tylu, jak większość sądzi – uśmiechnęła się. – Ale dosyć, żeby zorientować się, że szybko nudzą mnie mężczyźni, dla których najważniejsza część historii zaczęła się wraz z ich urodzeniem. – Obróciła się i przytuliła do jego piersi. – Na szczęście zdaje się, że twoje doświadczenia w tym względzie stawiają w głębokim cieniu moje nędzne osiągnięcia. Założę się, że nie zawsze żyłeś takim zakonnym życiem, jak sugeruje twoje mieszkanie.

Emparak uśmiechnął się, domyśliła się tego po brzmieniu jego głosu.

– Dawniej miałem znaczącą pozycję i to dużo ułatwiało. Byłem dyskretny, ale każdy wiedział, że nie oprze mi się żadna kobieta w pałacu… Potem był przewrót i wy rebelianci zdegradowaliście mnie drastycznie, daliście mi odczuć swoją władzę i to, że znalazłem się po niewłaściwej stronie, po stronie pokonanych. Zostawiliście mnie w spokoju, bo nie byliście pewni, czy nie będziecie mnie jeszcze kiedyś potrzebować, ale stałem się tylko starym woźnym. Od tamtej pory zupełnie się wycofałem.

– Zauważyłam – wymamrotała Lamita. Coś ją ostrzegało, że rozmowa wkracza na niebezpieczne tereny, ale postanowiła podjąć ryzyko. – Coś mi się zdaje, że ciągle jeszcze jesteś wielkim wielbicielem cesarza.

Poczuła, jak nagle znów się zamknął.

– A co to ma dla ciebie za znaczenie? – W jego odpowiedzi usłyszała niezłomną dumę, przekorę i strach. Niemało strachu.

– Dopóki jesteś i moim wielbicielem, wszystko w porządku – powiedziała łagodnie. Dobra odpowiedź. Poczuła, jak się odpręża. Mimo strachu nie byłby w stanie zaprzeć się swoich poglądów, nawet dla niej. To jej imponowało.

– Właściwie nigdy nie byłem wielbicielem cesarza w zwykłym znaczeniu tego słowa – powiedział z zastanowieniem. – Ludzie, którzy go czcili i wielbili, nie znali go, znali tylko swoje o nim wyobrażenia. Ale ja go znałem, twarzą w twarz – milczał przez chwilę i Lamita mogła dosłownie czuć, jak budzą się w nim wspomnienia. – Jego obecność była jeszcze bardziej porażająca niż wszystkie legendy, jakie byli w stanie wymyślić jego kapłani. To była niesamowicie charyzmatyczna osobowość. Wy rebelianci upraszczacie to wszystko; nie można go mierzyć współczesną miarą. Raczej miarą, jaką przykłada się do zjawisk przyrody. Nie zapominaj, że był nieśmiertelny, miał prawie sto tysięcy lat – nikt nie wie, co to może znaczyć. Nie, nie jestem ślepym czcicielem – jestem badaczem. Próbuję zrozumieć, nie znoszę tanich, szybkich, gotowych odpowiedzi.

Lamita wyprostowała się i włączyła światło przy łóżku. Patrzyła na Emparaka, jakby widziała go pierwszy raz, w pewnym sensie naprawdę tak było. Gapiący się tępo, złośliwy staruszek zniknął. Mężczyzna, leżący obok niej, był trzeźwo myślący, żywotny i okazywał się być bardziej jej bliski duchem niż ktokolwiek, kogo znała dotąd.

– Ze mną jest dokładnie tak samo – powiedziała i nagle opanowała ją ochota, żeby z miejsca uwieść go jeszcze raz.

Emparak jednak odrzucił kołdrę, wstał i zaczął się ubierać.

– Chodź – powiedział. – Chcę ci coś pokazać.

– Archiwum jest tak stare, jak cesarskie imperium, w tym czasie było zdrowo ponad tysiąc zmian systemu katalogowania zbiorów. Przez to jest on dziś tak skomplikowany. Jeśli się tego nie wie, nie ma szans, żeby zorientować się w układzie zbiorów – głos Emparaka powracał echem z niskich, ciemnych bocznych korytarzy, gdy schodzili poziom po poziomie w tajemnicze głębiny archiwum. Tu na dole tylko główne korytarze były słabo oświetlone, tego, co kryją cienie rzucane przez szafy, gabloty i wiele zagadkowych łupów, można było się tylko domyślać. Lamita w pewnej chwili sięgnęła po dłoń archiwisty i już jej nie puściła.

– Poziom drugi – powiedział Emparak, gdy zeszli po kolejnych szerokich kamiennych schodach. Wskazał niepozorną małą tabliczkę, na której bardzo starym krojem pisma wymalowano liczbę.

– Czy to poziom drugi od dołu? – spytała Lamita.

– Nie. Nie ma żadnego związku. Archiwum rozbudowywano niezliczone ilości razy, przerabiano, poszerzano i zmieniano system oznaczeń – zaśmiał się sarkastycznie. – Pod nami jest jeszcze czterysta poziomów. Żaden rebeliant nie był nigdy tak nisko.

Szli szerokim korytarzem. Przy tabliczce z literą L, wypisaną pismem rozpowszechnionym w czasach trzeciego cesarza, skręcili w

węższy boczny korytarz, potem rozpoczął się marsz wzdłuż szeregu szaf i tajemniczych przedmiotów, urządzeń i dzieł sztuki, Lamicie zdawało się, że ich wędrówka nie ma końca. Używane do opisania szyldów symbole cyfr zdradzały setki tysięcy lat ich semiotycznego rozwoju, aż dotarli do liczby 967, wypisanej krojem pisma używanym przed osiemdziesięcioma tysiącami lat.

Emparak otworzył dużą jednodrzwiową szafę. Odchylił skrzydło drzwi tak szeroko, jak to było możliwe i wtedy włączył światło pod sufitem.

Po wewnętrznej stronie drzwi szafy wisiał włosiany kobierzec.

Dopiero po chwili Lamita zorientowała się, że stoi z otwartymi ustami i zaraz je zamknęła.

– Więc jednak – powiedziała. – Więc archiwum jednak coś wie o włosianych gobelinach.

– Archiwum wie *wszystko* o gobelinach.

– A ty przez cały ten czas milczałeś.

– Tak.

Lamita poczuła, jak na kształt pęcherzyków we wrzącej wodzie wydobywa się z niej błazeński chichot i nie mogła go powstrzymać. Odrzuciła głowę w tył i śmiała się, a jej śmiech wracał ze wszystkich stron odbity echem. Przez łzy widziała, że Emparak obserwuje ją, uśmiechając się.

– Archiwisto – parsknęła, gdy mogła znów złapać powietrze, daremnie starając się nadać swemu głosowi surowe brzmienie – teraz powiecie mi natychmiast wszystko, co wiecie o tej sprawie. W przeciwnym razie przykuję was do łóżka i nie dam wam spokoju, aż będziecie mówić.

– Och – westchnął Emparak. – Właściwie miałem ci opowiedzieć tę całą historię, ale tak naprawdę kusisz mnie, żebym milczał…

Wyjął dużą mapę gwiezdną, zatopioną w folię odporną na czas.

– Gheera była kiedyś kwitnącym królestwem, którego powstanie, jak w przypadku niemal wszystkich starych ludzkich królestw, ginie w mrokach pradziejów. Za czasów dziesiątego cesarza, a więc poprzednika ostatniego, to królestwo zostało odkryte i dokonano na nie najazdu – tylko z tego powodu, że istniało i cesarz zapragnął je opanować. Rozgorzała wojna, trwała długo i pochłonęła wiele ofiar, jednak Gheera tak naprawdę nie miała żadnej szansy przeciw cesarskiej wojennej flocie i w końcu została pokonana.

Wskazał na rząd staroświeckich zasobników obrazu.

– Król Gheery nazywał się Pantap. On i cesarz spotkali się twarzą w twarz na Gheerh, gdy królestwo było już zdobyte. Cesarz domagał się od Pantapa uroczystego, publicznego hołdu.

Emparak spojrzał na Lamitę.

– Chcesz zabrać te materiały na górę?

– Co? A, tak – przytaknęła – tak, naturalnie.

Emparak zniknął w bliskim poprzecznym korytarzu i wrócił z lekkim drucianym pojemnikiem na kółkach. Włożył do niego mapę gwiezdną i zasobniki obrazów.

– Gheerh musiało być wtedy przepięknym, pełnym życia światem – kontynuował i wyjął archaiczną teczkę. – Ten raport opisuje Gheerh. Nazywa tę planetę klejnotem wszechświata i sławi niezliczone dzieła sztuki, mądre obyczaje mieszkańców i piękno krajobrazu.

Lamita ostrożnie wzięła teczkę i także włożyła ją do pojemnika.

– Wiedziałaś, że dziesiąty cesarz przez całe życie był łysy jak kolano? – spytał Emparak.

Lamita ze zdumieniem uniosła brwi.

– Chyba widziałam niewłaściwe fotografie.

– Oczywiście miał implanty, ale trzeba je było odnawiać co kilka miesięcy, bo jego organizm je odrzucał. To był rodzaj alergii, na którą cierpiał przez całe życie – być może miało to związek z zabiegami na długowieczność, nie wiadomo. Wiadomo natomiast, że odbierał tę drobną wadę jako hańbę, zniewagę losu, uniemożliwiającą mu osiągnięcie tak upragnionej doskonałości.

Lamita odetchnęła głośno. Wymknęło jej się wiele mówiące

– Och! Zaświtało słabe, niejasne przeczucie związków między faktami.

– Szpiedzy króla Pantapa odkryli ten słaby punkt cesarza – mówił dalej Emparak – i Pantap, człowiek najwidoczniej gniewny i dumny, z jakichś niewyjaśnionych przyczyn uznał za słuszne uderzyć w tę ranę ze wszystkich pozostałych mu sił. Gdy przybył cesarz, by przyjąć wiernopoddańczy hołd, Pantap – który zresztą był szczęśliwym posiadaczem okazałej brody i czupryny – powiedział dosłownie: „Może i twoja władza jest dostatecznie wielka, by zmusić nas do złożenia ci hołdu, ale nie sięga tak daleko, by kazać rosnąć włosom na twojej czaszce, łysy cesarzu.”

– To chyba nie był dobry pomysł.

– Nie. Prawdopodobnie był to najgorszy pomysł, jaki kiedykolwiek przyszedł komukolwiek do głowy.

– Co się stało potem?

– Dziesiąty cesarz i tak był uważany za popędliwego i mściwego. Gdy to usłyszał, oszalał z wściekłości. Przyrzekł Pantapowi, że ten pożałuje swoich słów, jak jeszcze nikt nigdy nie żałował żadnej obelgi. Powiedział: „Moja władza wystarczy, by pokryć całą tę planetę włosami twoich poddanych, a ciebie zmusić, żebyś się temu przyglądał!”

Lamita z przerażeniem wpatrywała się w starego archiwistę. Czuła się, jakby znienacka otwarła się pod nią przepaść.

– Czy to znaczy, że historia włosianych kobierców… jest historią

zemsty?

– Tak. Niczym więcej.

Uderzyła się dłonią po ustach.

– Ale to przecież szaleństwo!

Emparak przytaknął.

– Tak. Ale prawdziwym szaleństwem jest nie tyle sam pomysł, co bezlitosna konsekwencja, z jaką wprowadzono go w życie. Cesarz jak zwykle rozesłał kapłanów, by głosili jego boski kult i rozpowszechniali go wbrew wszelkim oporom, kazał im przy tym od razu zainstalować kult wokół włosianych kobierców – ten cały skomplikowany logistyczny system, kastowość, hierarchię i tak dalej. Z niedobitków armii Gheery rekrutowali się żeglarze kosmiczni, przewożący gobeliny z poszczególnych planet do Gheerh. Samą Gheerh, cały układ słoneczny, zamknięto w pęcherzu nadprzestrzennym i w ten sposób sztucznie usunięto z normalnego wszechświata, by uniemożliwić wszelką ucieczkę i jakąkolwiek ingerencję z zewnątrz. Wybrane, szczególnie bezwzględne oddziały zbombardowały kulturę mieszkańców Gheerh, cofając ich rozwój do społeczeństwa prymitywnego, potem rozpoczęły swój dręczący, powolny marsz, siejąc powszechne zniszczenie. Wokół królewskiego pałacu rozpoczęli umacniać podłoże i wykładać je pierwszymi włosianymi gobelinami.

– A król? – spytała Lamita. – Co się stało z Pantapem?

– Cesarz polecił, by Pantapa przykuto łańcuchami do własnego tronu i podłączono do systemu podtrzymującego życie, który miał utrzymywać go przy życiu przez wiele tysięcy lat. Chciał, żeby Pantap patrzył na los swego ludu, nie mogąc mu pomóc. Najpierw musiał obserwować przez okna sali tronowej, jak ulica po ulicy zrównują z ziemią stolicę i oczyszczoną powierzchnię pokrywają kobiercami z włosów. Później oddziały zaczęły filmować wszystkie swoje działania, zaborcze walki, prace budowlane i przesyłać te obrazy drogą radiową na ekrany ustawione przed bezradnym królem.

Lamita była przerażona.

– Czy to znaczy, że Pantap może jeszcze żyć?

– Nie można tego wykluczyć – przyznał archiwista, – choć nie wydaje mi się, by tak było, gdyż technika podtrzymywania życia nie była wtedy tak doskonała jak teraz. W każdym razie pałac musi tam jeszcze stać, prawdopodobnie pośród bardzo dużego obszaru, na którym najstarsze kobierce już dawno rozsypały się w proch. Widocznie ekspedycja Gheera nie znalazła go, w przeciwnym razie odkryliby Pantapa lub to, co po nim zostało.

Młoda historyczka potrząsnęła głową.

– To trzeba wyjaśnić. Musi się o tym dowiedzieć Rada; trzeba tam jeszcze raz kogoś posłać… – spojrzała na Emparaka. – I to funkcjonowało przez cały ten czas?

– Cesarz zmarł krótko po uruchomieniu systemu włosianych kobierców. Jego następca, jedenasty i ostatni cesarz, tylko raz na krótko odwiedził Gheerę. Z kilku notatek można wywnioskować, że to wszystko budziło w nim wstręt, ale nie zdecydował się położyć temu kresu – prawdopodobnie przez lojalność wobec wcześniejszych cesarzy. Po powrocie kazał wymazać tę prowincję ze wszystkich map gwiezdnych i wszystkich nośników danych, pozostawił ją samą sobie. Od tej pory maszyneria działała, tysiąclecie po tysiącleciu.

Na parę kochanków opadło milczenie.

– A więc taka jest historia włosianych kobierców – wyszeptała wstrząśnięta Lamita.

Emparak kiwnął głową. Potem zamknął szafę.

Lamita rozejrzała się, ciągle jeszcze jak oniemiała od tego, co usłyszała, jej spojrzenie powędrowało wzdłuż i wszerz po korytarzach, po niezliczonych innych szafach, wyglądających jak ta, coraz dalej i dalej, nie było widać końca.

– Te wszystkie szafy – spytała cicho. – Co w nich jest?

Archiwista spojrzał na nią, a w jego oczach zamigotała nieskończoność.

– Inne historie – powiedział.

Epilog

Supeł po suple, ciągle te same ruchy dłoni, zawiązujące stale takie same węzły na delikatnych włosach, nieskończenie cieniutkie i drobniutkie, z pokurczonymi dłońmi i zaczerwienionymi oczyma – a niemal nie posuwał się naprzód, choć bardzo się starał i spieszył. Każdą godzinę spędzał, kucając przy ramie tkackiej, przy której siedział już jego ojciec, a przed nim ojciec ojca i dziadek, przygarbiony i napięty, przy oku stara, na pół zmętniała soczewka, ramiona wsparte o deskę na wysokości piersi, samymi tylko drżącymi czubkami palców prowadził igłę tkacką. Supeł po suple tkał w gorączkowym pośpiechu, jakby ktoś go gonił, jakby walczył o życie; plecy bolały aż po kark, w skroniach pulsował dręczący ból głowy, uciskał mu oczy tak mocno, że czasem już nawet nie mógł rozpoznać igły tkackiej. Próbował nie słuchać tych nowych odgłosów wypełniających dom – głośnych, pełnych buntu dyskusji prowadzonych przez jego żony i córki na dole w kuchni, a przede wszystkim głosu dobywającego się z ustawionego tam przez nie urządzenia, wygłaszającego wyłącznie bluźniercze mowy.

Schodami prowadzącymi do pracowni tkackiej wspinały się ciężkie kroki. Nie mogły zostawić go w spokoju. Zamiast wypełniać swoje przydzielone im przez naturę obowiązki, cały dzień przesiadywały i paplały te głupie komunały o *nowych czasach*, stale ktoś przychodził z wizytą i włączał się w to nieustanne bredzenie. Parsknął i zaciągnął węzeł, nad którym akurat pracował. Nie odkładając soczewki powiększającej, sięgnął po następny z włosów, które przygotował obok na tekstylnej poduszce, czyściutko wyczesanych i pojedynczo przyciętych do odpowiedniej długości.

– Ostvan…

To była Garliada. Zacisnął szczęki, aż zabolały go zęby, ale nie odwrócił się.

– Ostvan, mój synu…

Ze złością zdarł z czoła opaskę przytrzymującą na czole starą lupę i gwałtownie odwrócił się do niej.

– Nie możecie zostawić mnie w spokoju? – krzyknął z poczerwieniałą od gniewu twarzą. – Nie możecie mnie *wreszcie* zostawić w spokoju? Jak długo będziecie jeszcze zaniedbywać swoje obowiązki i stale przeszkadzać mi w pracy?

Garliada tylko stała ze swoimi długimi, białymi jak gołąb włosami i patrzyła na niego. To zatroskane, współczujące spojrzenie jej jasnych oczu doprowadziło go do wściekłości.

– Czego chcesz? – wrzasnął na nią.

– Ostvan – powiedziała łagodnie. – Nie chcesz w końcu przestać?

– Nie zaczynaj z tym znowu! – krzyknął i odwrócił się od niej, przesunął soczewkę powiększającą z powrotem we właściwe położenie. Jego palce sięgnęły po igłę tkacką i następny włos.

– Ostvan, to, co robisz, nie ma sensu…

– Jestem tkaczem włosianych gobelinów, jak mój ojciec był tkaczem włosianych gobelinów, a przed nim jego ojciec i tak dalej. Co mam robić innego, niż tkać kobierzec?

– Ale nikt nie kupi twojego kobierca. Nie ma już handlarzy gobelinów. Cesarscy żeglarze już nie przylatują. Teraz jest inaczej.

– Kłamstwo. Wszystko kłamstwo.

– Ostvan…

Ten matczyny ton w jej głosie! Czemu nie może odejść? Czemu nie może po prostu pójść na dół do kuchni i zostawić go w spokoju, pozwolić bez przeszkód robić, co ma do zrobienia? To był jego obowiązek, święta służba, sens jego życia – kobierzec do cesarskiego pałacu… Nerwowymi ruchami wiązał supły, niedbale, pośpiesznie. Będzie je potem musiał wszystkie rozpruć, potem, gdy zostawią go w spokoju.

– Ostvan, proszę! Nie mogę na to patrzeć.

Szczęki bolały go ze złości.

– Nie powstrzymasz mnie. Jestem to winien mojemu ojcu. I mam zamiar spłacić ten dług!

Pracował dalej, szybko, gorączkowo, jakby miał jeszcze dziś skończyć cały wielki kobierzec. Wiązał supeł po suple, ciągle te same ruchy dłoni, szybko, szybko, stale te same węzły metodą przekazywaną od tysiącleci, delikatne i drobniutkie, na trzeszczącej ramie tkackiej, opierając się drżącymi ramionami o zatłuszczoną, wytartą deskę.

Nie odchodziła. Stała nadal w tym samym miejscu. Jej spojrzenie czuł boleśnie na plecach.

Ręce zaczęły mu drżeć, tak mocno, że musiał przerwać tkanie. Nie może tak pracować. Nie, dopóki ona tu stoi. Czemu w końcu nie pójdzie? Nie odwracał się, ściskał tylko kurczowo igłę tkacką i czekał. Oddychał z trudem.

– Jestem to winien memu ojcu i spłacę ten dług! – upierał się.

Milczała.

– I… – chciał dodać i przerwał.

Jeszcze raz zaczął:

– I… – dalej nie. To była granica, której nie mógł przekroczyć. Udało mu się sięgnąć po następny włos, próbował trafić nim w ucho igły tkackiej, ale ręce drżały zbyt mocno.

Nie odchodziła. Stała tu, milczała, po prostu czekała.

– Jestem to winien memu ojcu. I… i jestem to winien memu bratu! – wyrzucił z siebie, głosem rozdzierającym jak brzęk

pękającego szkła.

I stało się to, co nie miało prawa zdarzyć się nigdy: igła tkacka wyślizgnęła mu się z dłoni, upadła na gobelin i rozerwała delikatną jak mgła fakturę; rysa szerokości dłoni, praca wielu lat.

Wtedy, nareszcie, przyszły łzy.

Andreas Eschbach

***